

Agatha Christie

Obligacje za milion dolarów

Przełożył Jacek Makojnik

Tytuł oryginału: Agatha Christie's Poirot. Book Three

Skąd ten ogród masz, ach, skąd?

Herkules Poirot ułożył przed sobą pokaźny plik korespondencji. Wziął list znajdujący się na wierzchu, przez chwilę studiował adres, po czym starannie przeciął kopertę niewielkim nożem do papieru, który zawsze leżał na stoliku. Okazało się, że w środku jest następna koperta, starannie zaklejona purpurowym lakiem i opatrzona napisem: *Osobiste i poufne*.

Brwi na jajowatej głowie Herkulesa unosiły się odrobinę.

— *Patience! Nous allons arriver** — mruknął i jeszcze raz skorzystał z noża do papieru. Tym razem w kopercie znajdował się list napisany nierównymi, wąskimi literami. Niektóre słowa były grubo podkreślone.

Herkules Poirot rozłożył go i zaczął czytać. Na samej górze ponownie widniał nagłówek: *Osobiste i poufne*. Z prawej strony umieszczono adres: *Rosebank, Charman's Green, Bucks*, oraz datę: dwudziesty pierwszy marca.

Szanowny Panie Poirot!

Polecila mi Pana stara, dobra przyjaciółka, która rozumie trapiące mnie ostatnio zmartwienia. Co prawda, nie zna ona dokładnie okoliczności — te zachowuję wyłącznie dla siebie — jako że jest to sprawa prywatna. Przyjaciółka zapewniła mnie, że jest Pan uosobieniem dyskrecji i że nie muszę się obawiać wmieszania w tę sprawę policji, czego — nawet gdyby moje podejrzenia okazały się słuszne — chciałabym uniknąć. Oczywiście mogą się całkowicie mylić. Niestety, jestem zbyt roztrzęsiona, a na dodatek przemęczona — co jest wynikiem bezsenności, na którą ostatnio cierpię, oraz ciężkiej choroby, którą przeszedłam ubiegłej zimy — abym mogła sama zająć się wyjaśnieniem tej sprawy. Brakuje mi po temu zarówno środków, jak i zdolności. Z drugiej strony, muszę raz jeszcze powtórzyć, że jest to niebywale delikatna, rodzinna sprawa i że z wielu powodów pragnę, aby nie ujrzała ona światła dziennego. Jeśli tylko upewnię się co do faktów, potrafię załatwić wszystko we własnym zakresie i wolałabym, by tak się stało. Mam nadzieję, że przedstawiłam swoje stanowisko wystarczająco jasno. Jeśli zdecyduje się Pan zająć moją sprawą, byłabym niezmiernie zobowiązana, gdyby zechciał Pan przesłać mi wiadomość na powyższy adres.

Z poważaniem,

Amelia Barrowby

Poirot dwukrotnie przeczytał list. Jego brwi ponownie się uniosły. Później odłożył go na bok i zajął się następną kopertą ze stosu.

Punktualnie o dziesiątej wszedł do pokoju, w którym panna Lemon, jego osobista sekretarka, siedziała w oczekiwaniu na przydział obowiązków na ten dzień. Panna Lemon miała czterdzieści osiem lat i nieprzyjemną aparycję. W gruncie rzeczy sprawiała wrażenie kupy kości połączonych ze sobą na chybił trafił. Jej największą pasją był porządek; w tym mogłaby konkurować z samym Poirotem, a chociaż potrafiła myśleć, nigdy tego nie robiła bez wyraźnego polecenia.

Poirot wręczył jej poranną korespondencję.

— Zechce pani łaskawie napisać odpowiedzi odmowne, *mademoiselle*, oczywiście proszę zadbać o odpowiedni ton odmowy.

Panna Lemon przejrzała szybko listy, znacząc każdy z nich jakimś hieroglifami, czytelnymi tylko dla niej samej. Był to rodzaj jej osobistego szyfru: „Wazelina”, „Prosto z mostu”, „Krótko”, „W rękawiczkach” i tak dalej. Kiedy skończyła, skinęła głową w oczekiwaniu na dalsze instrukcje.

Poirot wręczył jej list od Amelii Barrowby. Panna Lemon wydobyła go z podwójnej koperty, przeczytała i spojrzała pytająco.

— Tak, panie Poirot? — Ołówek w jej dłoni zawisnął nad notesem gotowy do pracy.

— Co pani sądzi o tym liście, panno Lemon?

Z nieznacznym grymasem niezadowolenia sekretarka odłożyła ołówek i jeszcze raz przeczytała list.

Jego treść nie miała dla panny Lemon żadnego znaczenia, poza tym, że mogła stanowić wskazówkę, jak należy skomponować odpowiedź. Bardzo rzadko zdarzało się, by Poirot odwoływał się do ludzkiej strony jej natury, w przeciwieństwie do umiejętności zawodowych. Ilekroć próbował to robić, panna Lemon reagowała z pewnym rozdrażnieniem. Była bowiem niemal jak doskonała maszyna i chlubiła się kompletnym brakiem zainteresowania ludzkimi problemami. Prawdziwą życiową pasją panny Lemon było rozmyślanie nad wynalezieniem doskonałego systemu prowadzenia kartotek. Tak doskonałego, aby wszelkie inne systemy musiały odejść w zapomnienie. Śniła o takim systemie po nocach. Niemniej jednak potrafiła wydawać bystre sądy w sprawach czysto ludzkich, o czym Herkules Poirot dobrze wiedział.

— A więc?

— To starsza osoba — odparła panna Lemon. — Nieźle robi w majtki.

— Ach! Sądzi pani, że cierpi na pęcherz? Panna Lemon uznała, że Poirot już dość długo przebywa w Wielkiej Brytanii, by rozumieć pewne slangowe wyrażenia, więc zignorowała pytanie. Spojrzawszy na podwójną kopertę, rzekła tylko:

— Wszystko cicho—sza. I właściwie nic konkretnego.

— Tak — odparł Poirot. — Zwróciłem na to uwagę.

Ręka z ołówkiem ponownie zawisła nad notatnikiem. Tym razem Poirot zareagował:

— Niech pani napisze, że będę zaszczycony, mogąc ją odwiedzić. Oczywiście dzień i porę pozostawiam do jej decyzji. Chyba że życzy sobie, aby spotkanie odbyło się tutaj. Aha, proszę napisać ten list odręcznie.

— Dobrze, panie Poirot.

Detektyw wręczył panie Lemon pozostałą korespondencję.

— A to są rachunki.

Sprawne dłonie sekretarki szybko je posortowały.

— Zapłacę wszystkie, oprócz tych dwóch — oznajmiła.

— Dlaczego akurat tych dwóch? — Poirot był wyraźnie zdziwiony. — Przecież wszystko się zgadza.

— Tak, ale to są firmy, z którymi rozpoczął pan współpracę bardzo niedawno. A nie należy płacić zbyt terminowo, kiedy dopiero co otworzyło się rachunek. Mogłoby to wzbudzić podejrzenia, że liczy pan na jakiś kredyt.

— Aha — mruknął Poirot. — Chylę czoło przed pani znajomością zwyczajów brytyjskich kupców.

— Niewiele jest rzeczy, których na ich temat nie wiem — odparła panna Lemon z ponurą miną.

List do panny Amelii Barrowby został natychmiast napisany i wysłany, jednak odpowiedź nie nadchodziła. Może, myślał Herkules Poirot, starsza pani sama poradziła sobie ze swą tajemnicą. A jednak czuł się nieco zaskoczony. W takim wypadku miał prawo spodziewać się grzecznościowego liściku z wyjaśnieniem, że jego usługi nie będą jej już potrzebne.

Nie dalej niż pięć dni później, rano, po otrzymaniu przydziału obowiązków, panna Lemon powiedziała:

— Nic dziwnego, że nie było odpowiedzi od tej panny Barrowby. Ona nie żyje.

Herkules Poirot odezwał się nadzwyczaj łagodnie:

— Ach... nie żyje...

Brzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie. Panna Lemon otworzyła torebkę i wyjęła z niej skrawek gazety.

— Zobaczyłam to w metrze i wydarłam.

Rejestrując z aprobatą fakt, że chociaż panna Lemon użyła słowa „wydarłam”, to wygląd wycinka

wskazywał wyraźnie na użycie nożyczek, Poirot przeczytał fragment pochodzący z rubryki *Urodziny, zgonu i śluby dziennika „Morning Post”*: *Dwudziestego szóstego marca — nagle — Amelia Jane Barrowby, lat 73. Uprasza się o nieprzysyłanie kwiatów.*

Poirot przeczytał raz jeszcze, mrucząc pod nosem:

— Nagle... — Po chwili odezwał się: — Czy będzie pani tak miła, panno Lemon, i zechce napisać jeszcze jeden list?

Ołówek zawisł w powietrzu. Panna Lemon, błędząc myślami przy zawłościach systemu prowadzenia kartotek, stenografowała szybko i poprawnie, co następuje:

Szanowna Pani Barrowby!

Wprawdzie nie otrzymałem od Pani żadnej odpowiedzi, jednak ponieważ w piątek będę w okolicach Charman's Green, pozwolę sobie odwiedzić Panią w celu przedyskutowania sprawy, o której pisała Pani w swym liście do mnie.

Z poważaniem, itd.

— Niech pani przepisze ten list na maszynie i jak najszybciej wyśle. Powinien dojść do Charman's Green jeszcze dziś.

Nazajutrz nadeszła odpowiedź w kopercie z czarną ramką:

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na Pański list informuję, że moja ciotka, panna Barrowby, zmarła w dniu dwudziestym szóstym marca, tak więc sprawa, o której Pan wspomniał, stałą się nieaktualna.

Z poważaniem,

Mary Delafontaine

Poirot uśmiechnął się do siebie i mruknął: — Nieaktualna... Hmm... To się dopiero okaże. *En avant** — do Charman's Green.

Rosebank* okazał się domem w pełni zasługującym na swą nazwę, co rzadko można powiedzieć o budynkach tej klasy i charakteru.

Herkules Poirot zatrzymywał się kilka razy na ścieżce prowadzącej do drzwi frontowych, przyglądając się starannie rozplanowanym rabatkom po obu jej stronach. Podziwiał krzewy znakomicie zapowiadających się róż, kwitnące żonkile, wczesne tulipany oraz niebieskie hiacynty. Brzeg ostatniej rabatki był częściowo wyłożony muszlami.

Poirot mruknął pod nosem:

— Jak to szła ta angielska rymowanka, którą śpiewają dzieciaki?

Mary, Mary, nie do wiary,

Skąd ten ogród masz, ach, skąd?

Drobne muszelki, srebrne kropelki

*I ślicznych panienek rząd.**

— Może nie ma całego rzędu, ale z całą pewnością jest przynajmniej jedna, tak więc rymowanka nie jest bez sensu.

Drzwi uchylły się i stanęła w nich ładna, schludnie ubrana pokojówka, która z pewnym zdziwieniem spojrzała na mamroczącego coś do siebie cudzoziemca z olbrzymimi wąsami. Poirot zauważył, że dziewczyna ma śliczne duże, niebieskie oczy i różowe policzki.

Uchylił kurtuazyjnie melonika.

— Przepraszam, czy mieszka tu panna Amelia Barrowby?

Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną; jej niebieskie oczy zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe.

— Och, proszę pana, to pan nie wie? — odezwała się wreszcie. — Pani nie żyje. To stało się tak nagle. We wtorek wieczorem.

Zawahała się, niepewna, którego z dwóch silnych instynktów usłuchać. Czy pójść za głosem rozsądku nakazującym rezerwę wobec cudzoziemca, czy też pozwolić sobie na rozkoszną pogawędkę o chorobach i śmierci, co stanowi ulubioną rozrywkę osób z jej klasy społecznej.

— Zdumiewasz mnie, panienko — rzekł mijając się nieco z prawdą Herkules Poirot. — Byłem z nią na dzisiaj umówiony. Może jednak mógłbym się przynajmniej zobaczyć z drugą panią, która tutaj mieszka?

Dziewczyna wyglądała na niezdecydowaną.

— Pani? Cóż, może się zgodzi, ale nie wiem, czy w ogóle chce z kimkolwiek rozmawiać...

— Ze mną zechce — przerwał jej Poirot i wręczył wizytówkę.

Władczość jego tonu odniosła zamierzony efekt. Różanolica pokojówka cofnęła się i wprowadziła Poirot do salonu po prawej stronie holu, po czym z wizytówką w ręku udała się po swą panią.

Herkules Poirot rozejrzał się dookoła. Pokój, w którym się znajdował, był po prostu konwencjonalnym salonem. Tapeta w kolorze owsianki, pod sufitem szlaczek, jakieś nieokreślone kretony, różowe poduszki i kotary oraz wiele porcelanowych bibelotów.

Nagle Poirot poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach na taras dziewczynę. Niewysoka i blada, miała kruczoczarne włosy oraz podejrzliwe spojrzenie.

Weszła do środka, a kiedy Poirot lekko się skłonił, odezwała się oschle:

— Po co pan tu przyszedł?

Poirot nie odpowiedział, tylko uniósł nieznacznie brwi.

— Nie jest pan prawnikiem — nie? — Jej angielski był dość poprawny, jednak ani przez chwilę nie można było mieć wątpliwości, iż dziewczyna nie jest Angielką.

— A dlaczego miałbym nim być?

Dziewczyna przyglądała mu się z ponurą miną.

— Pomyślałam, że może pan nim jest. Pomyślałam, że przyszedł pan powiedzieć, że pani nie wiedziała, co robi. Słyszałam już o takich rzeczach. Ale to nieprawda. Pani chciała, bym dostała te pieniądze, i dostanę je. Jeśli trzeba, wynajmę sobie prawnika. Pieniądze są moje. Zapisala mi je i koniec. — Wyglądała teraz okropnie z wysuniętym do przodu podbródkiem i błyszczącymi złością oczami.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wysoka kobieta.

— Katrino — powiedziała.

Dziewczyna dosłownie skurczyła się, zarumieniła, mruknęła coś i wyszła.

Poirot zwrócił się w stronę kobiety, która tak skutecznie zapanowała nad sytuacją, wymawiając jedno tylko słowo. W jej głosie słyhać było władczość, pogardę oraz domieszkę ironii. Poirot zrozumiał, iż ma do czynienia z właścicielką domu, Mary Delafontaine.

— Pan Poirot? Wysłałam do pana list. Czyżby go pan nie otrzymał?

— Niestety, byłem poza Londynem.

— Ach, rozumiem. To wszystko wyjaśnia. Powinam się chyba przedstawić. Nazywam się Delafontaine. A to mój mąż. Panna Barrowby była moją ciotką.

Pan Delafontaine wszedł tak cicho, że Poirot go nie zauważył. Był to wysoki mężczyzna o siwych włosach i nieokreślonym sposobie bycia. Skubał nerwowo brodę i ciągle spoglądał na żonę. Wyraźnie oczekiwał, aby to ona prowadziła rozmowę.

— Proszę mi wybaczyć, że zakłócam państwu spokój w tak trudnych chwilach — tłumaczył się Poirot.

— Ależ to nie pańska wina — odparła pani Delafontaine. — Ciotka zmarła we wtorek wieczorem. Zupełnie nagle.

— Całkiem nieoczekiwanie — dodał pan Delafontaine. — To dla nas straszny cios. — Jego oczy skierowane były w stronę drzwi, którymi wyszła dziewczyna.

— Przepraszam raz jeszcze — powiedział Poirot, postępując krok w kierunku wyjścia.

— Chwileczkę — powstrzymał go pan Delafontaine. — Mówił pan, że był na dziś umówiony z ciotką Amelią? Czy tak?

— *Parfaitement.**

— Może zechce nam pan coś o tym powiedzieć? — odezwała się gospodyni. — Może potrafimy w czymś pomóc?

— To była sprawa prywatna — odparł Poirot. — Jestem detektywem.

Pan Delafontaine przewrócił porcelanową figurkę, którą się bawił. Jego żona wyglądała na zakłopotaną.

— Detektywem? I był pan umówiony z cioteczką? Ależ to niezwykle! Czy naprawdę nie może nam pan zdradzić nic więcej, panie Poirot? To... to zaiste niewiarygodne.

Poirot milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy się wreszcie odezwał, starannie dobierał słowa:

— Muszę się przyznać, *madame*, że nie bardzo wiem, co powinienem w tej sytuacji uczynić.

— Niech pan posłucha — odezwał się pan Delafontaine. — Czy ciotka wspomniała coś na temat Rosjan?

— Rosjan?

— Tak. Wie pan — bolszewików, czerwonych...

— Nie wygłupiaj się, Henry — ostro przerwała mu żona.

— Przepraszam... Przepraszam... Po prostu się zastanawiałem — tłumaczył się pan Delafontaine, wyraźnie skruszony.

Mary Delafontaine spojrzała na Poirota. Miała oczy bardzo niebieskie, jak niezapominajki.

— Jeśli może nam pan cokolwiek zdradzić, bardzo proszę, aby pan to zrobił — powiedziała. — Zapewniam, że proszę o to nie bez powodu.

Pan Delafontaine wyglądał na spłoszonego.

— Ależ, kochanie, bądź ostrożna. Przecież możemy się mylić.

Jego żona znów uciszyła go spojrzeniem.

— A więc, panie Poirot?

Poirot z wolna pokręcił głową. Zrobił to z wyraźnym żalem, lecz jednak zrobił.

— Przykro mi, *madame*, ale obawiam się, że w tej chwili nic nie mogę powiedzieć.

Skłonił się, chwycił swój kapelusz i ruszył w stronę drzwi. Mary Delafontaine wyszła za nim do holu. Poirot już w progu zwrócił się do niej:

— Przypuszczani, że bardzo pani lubi swój ogród? — zapytał.

— Ja? Tak, poświęcam mu sporo czasu.

— *Je vous fait mes compliments.* *

Skłonił się raz jeszcze i skierował w stronę bramy. Kiedy przeszedłszy przez nią, skręcił w prawo, spojrzał za siebie i zauważył dwie rzeczy: bladą twarz, mężczyznę o typowo wojskowej, wyprostowanej posturze, chodzącego tam i z powrotem po drugiej stronie ulicy.

Herkules Poirot pokiwał głową i mruknął pod nosem:

— *Definitivement.* * W tej dziurze siedzi mysz! I cóż teraz robi kot?

Podjęta decyzja wymagała udania się na najbliższą pocztę, skąd Poirot zatelefonował w kilka miejsc. Rezultaty rozmów zdawały się satysfakcjonujące. Z poczty Poirot skierował swe kroki na posterunek policji w Charman's Green, gdzie zapytał o inspektora Simsa.

Inspektor Sims był wysokim, tęgim, jowialnym mężczyzną.

— Pan Poirot? — spytał. — Tak myślałem. Właśnie przed chwilą telefonował w pańskiej sprawie komisarz okręgowy. Mówił, że może pan wpadnie. Proszę do mojego biura.

Inspektor zamknął drzwi, po czym wskazał Poirotowi krzesło, sam usiadł na drugim i spojrzał

pytająco.

— Działa pan bardzo szybko, panie Poirot — rzekł. — Przyszedł pan do nas w sprawie Rosebank, zanim jeszcze upewniliśmy się, że należy się nią zająć. Jak pan to wyniuchał?

Poirot wyjął list, który otrzymał od panny Barrowby, i wręczył go inspektorowi. Ten przeczytał go z pewnym zainteresowaniem.

— Ciekawe — powiedział. — Niestety, można go dowolnie interpretować. Szkoda, że starsza pani nie wyraziła się trochę jaśniej. Mogłoby nam to teraz pomóc,

— Albo nie byłoby w ogóle takiej potrzeby.

— Jak to?

— Panna Barrowby żyłaby do dziś.

— Aż tak daleko posuwa się pan w swych przypuszczeniach? Cóż... może się pan nie myli.

— Błagam, inspektorze, niech mi pan przedstawi fakty. Właściwie ich nie znam.

— Proszę bardzo, to żaden kłopot. Starsza pani poczuła się źle we wtorek po obiedzie. Wyglądało to bardzo groźnie. Konwulsje, skurcze i tym podobne... Posłano po lekarza, ale zanim przybył, panna Barrowby zmarła. Wydawało się, że to jakiś atak, jednak lekarzowi coś się nie podobało. Długo się wahał, wreszcie grzecznie, acz stanowczo odmówił wypisania aktu zgonu. I jeśli chodzi o rodzinę, to nie wiedzą nic więcej. Czekają na wyniki sekcji. My jednak jesteśmy już o krok dalej. Lekarz od razu miał nosa, zresztą wykonywał sekcję razem z naszym koronerem. Żadnych wątpliwości. Starsza pani połknęła wielką dawkę strychniny.

— Aha!

— No właśnie. Paskudna sprawa. Teraz pytanie, kto jej to podał? W każdym razie stało się to bardzo krótko przed śmiercią. Pierwsza myśl, że truciznę wsypano przy kolacji, ale szczerze mówiąc, to lipa.

Na kolację była zupa z karczochów podana na stół w wazie, pieróg z rybą oraz tarta z jabłkami.

Panna Barrowby, pan Delafontaine oraz pani Delafontaine. Do tego jeszcze opiekunka panny Barrowby, młoda dziewczyna, pół-Rosjanka. Nie siadała do stołu z rodziną, jadła to, co zostało. Jeszcze służąca, ale akurat miała wychodne. Zostawiła zupę na płycie, a pieróg w piekarniku. Tarta była na zimno. Cała trójka jadła to samo, a poza tym nie sądzę, by strychninę podano bezpośrednio. Jest gorzka jak piołun. Lekarz mówi, że się ją wyczuje nawet w roztworze jeden do tysiąca.

— A kawa?

— To już prędzej, tyle że starsza pani nigdy nie piła kawy.

— Tak, rozumiem, to chyba nie do przeskoczenia. A co piła do obiadu?

— Wodę.

— Coraz gorzej.

— Ciężki orzech do zgryzienia, co?

— Czy starsza pani miała jakieś pieniądze?

— O ile się orientuję, była bardzo zamożna. Ale nie wiem jeszcze nic konkretnego. Ci Delafontaine 'owie cienko przędli i ciotka pomagała im utrzymać dom.

Poirot uśmiechnął się nieznacznie.

— To znaczy, że podejrzewa pan Delafontaine'ów. Które z nich?

— Nie mogę powiedzieć, że któreś podejrzewam szczególnie, są jedynymi krewnymi, więc dzięki jej śmierci dziedziczą pokaźną sumkę. A wszyscy wiemy, jaka jest ludzka natura.

— Czasem dość nieludzka... tak, to prawda. Czy starsza pani jadła coś jeszcze? Albo piła?

— Cóż, właściwie...

— Ach, *voilà!* Czuję, że coś pan jeszcze ma! Że trzyma jeszcze, jak to mówicie, jakiegoś asa w rękawie. Zupa, pieróg, tarta z jabłkami — *betise!** A więc przejdźmy do sedna sprawy.

— Na razie nie mam pewności. Ale starsza pani przyjmowała jakieś proszki. Wie pan, nie tabletki, tylko takie coś z papieru ryżowego wypełnione lekarstwem. Coś zupełnie nieszkodliwego. Na trawienie.

— Zachwycające. Nic prostszego jak wysypać zawartość i zastąpić ją strychniną. Popija się wodą i łyka, nie czując smaku.

— Zgadza się. Problem jednak w tym, że lekarstwo podała pannie Barrowby dziewczyna.

— Ta Rosjanka?

— Tak. Katrina Reiger. Była kimś w rodzaju opiekunki starszej pani. Pielęgniarką, a zarazem osobą do towarzystwa. No i dziewczyną na posyłki. Przynieś, wynieś, pozamiataj, wymasuj plecy, podaj lekarstwa, przejdź się do apteki, i tak dalej. Wie pan, jak to jest ze starszymi kobietami — niby starają się być miłe, ale tak naprawdę potrzebują czarnego niewolnika.

Poirot uśmiechnął się.

— I widzi pan, jak jest — kontynuował inspektor Sims. — Nie bardzo to wszystko trzyma się kupy. Po co dziewczyna miałaby zabijać swą pracodawczynię? Przecież straci posadę. A teraz niełatwo o

pracę. W dodatku nie ma żadnej praktyki...

— Ale jeśli pudełko z kapsułkami leżało gdzieś na wierzchu, to truciznę mógł podłożyć praktycznie każdy z domowników.

— Oczywiście mamy to na uwadze. Nie będę ukrywał, że staramy się wywęszyć to i owo, po cichu, rozumie pan. Kiedy zrealizowano ostatnią receptę. Kto to zrobił. Gdzie zwykle trzymano lek... Cierpliwość i dużo koronkowej roboty — to powinno przynieść efekty. Jest jeszcze adwokat panny Barrowby. Umówiłem się z nim na jutro. No i szef banku. Mamy naprawdę wiele do zrobienia.

Poirot podniósł się z miejsca.

— Mała prośba, inspektorze. Zawiadomi pan mnie, jak się sprawy potoczą? Będę naprawdę bardzo wdzięczny. Oto mój numer telefonu.

— Ależ oczywiście, panie Poirot. W końcu co dwie głowy, to nie jedna. Poza tym ma pan pełne prawo. To przecież pan dostał ten list, no i w ogóle.

— Jest pan doprawdy zbyt uprzejmy — odparł Poirot, po czym pożegnał się i wyszedł.

Już następnego popołudnia poproszono go do telefonu.

— Czy to pan Poirot? Tu inspektor Sims. Ta sprawa, wie pan jaka, zaczyna powoli wychodzić na prostą.

— Naprawdę? Proszę nie trzymać mnie w niepewności.

— Dobrze. A więc pierwsza rzecz — chyba dość ważna. Panna B. zostawiła swej siostrzenicy niewielki legat, zaś całą resztę pannie K. Jako dowód wdzięczności za wzorową opiekę oraz oddanie — tak się wyraziła. To przecież całkowicie zmienia postać rzeczy.

W umyśle Poirota natychmiast pojawił się obraz. Błada zacięta twarz i zdecydowany głos, mówiący: *Pieniądze są moje. Zapisala mi je i koniec.*

A więc spadek nie był dla Katriny niespodzianką — wiedziała o nim już wcześniej.

— Druga rzecz — mówił dalej inspektor Sims. — Kapsułki podawała tylko i wyłącznie panna K.

— Jest pan tego całkowicie pewien?

— Tak. Sama dziewczyna to potwierdziła. I co pan o tym myśli?

— Nadzwyczaj interesujące.

— Potrzebujemy jeszcze tylko jednej rzeczy — informacji, w jaki sposób dziewczyna weszła w posiadanie strychniny. To nie powinno być zbyt trudne.

— Ale na razie nie udało się panu jej zdobyć?

— Nie. Zbyt krótko się tym zajmuję. Śledztwo wdrożono dopiero dziś rano.

— I co postanowiono?

— Odroczone je o tydzień.

— A co z młodą damą — panną K.?

— Zostanie zatrzymana jako podejrzana o morderstwo. Nie chcę ryzykować. A nuż we wsi ma jakichś przyjaciół, którzy pomogą jej się ulotnić?

— Nie ma — powiedział Poirot. — Myślę, że nie ma żadnych przyjaciół.

— Naprawdę? Dlaczego pan tak uważa?

— Tak mi się po prostu wydaje. Czy są jeszcze jakieś „rzeczy”, jak pan je nazywa?

— Nie, nic szczególnie ważnego. Panna B. kombinowała coś ostatnio ze swymi udziałami — musiała umoczyć dość pokaźną sumkę. To dosyć dziwne, ale prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, aby miało związek z zasadniczą sprawą.

— Możliwe, że ma pan rację. Cóż, jestem bardzo wdzięczny, że zechciał pan zatelefonować. To naprawdę bardzo miłe z pańskiej strony.

— Ależ nie ma o czym mówić. Staram się zawsze dotrzymywać danego słowa. Poza tym, widziałem, że zainteresowała pana ta sprawa. Kto wie, może przed zakończeniem śledztwa poproszę jeszcze o pańską pomoc?

— Będzie mi bardzo miło. Może na przykład pomógłoby panu, gdybym tak odnalazł przyjaciela tej dziewczyny?

— Przecież mówił pan, że ona nie ma przyjaciół? — odparł inspektor Sims, wyraźnie zdziwiony.

— Pomyliłem się. Ma jednego — odpowiedział Herkules Poirot i zanim inspektor zdołał zadać kolejne pytanie, odwiesił słuchawkę.

Z poważną miną wszedł do pokoju, w którym panna Lemon przepisywała coś na maszynie. Na widok swego pracodawcy oderwała dłonie od klawiszy i spojrzała pytająco.

— Chciałbym, aby wyobraziła sobie pani pewną sytuację — odezwał się Poirot.

Panna Lemon, zrezygnowana, opuściła ręce na kolana. Lubiła pisać na maszynie, płacić rachunki, segregować dokumenty, zawierać umowy. Wyobrażanie sobie jakichś hipotetycznych sytuacji śmiertelnie ją nudziło, jednak traktowała to po prostu jako nieprzyjemną część obowiązków.

— Jest pani młodą Rosjanką — zaczął Poirot.

— Tak — zgodziła się panna Lemon.

— Jest pani w tym kraju zupełnie sama. Nie ma pani żadnych przyjaciół, ale jednocześnie ma pani powody, by nie chcieć wracać do Rosji. Pracuje pani jako opiekunka pewnej staruszki. Jest pani potulna i na nic się nie skarży.

— Tak — powtórzyła panna Lemon posłusznie, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, że zachowuje się potulnie wobec jakiegokolwiek staruszki pod słońcem.

— Ta starsza kobieta ma do pani słabość. Postanawia zostawić pani w spadku swój majątek. Mówi pani o tym... — Poirot przerwał na moment.

— Tak — powiedziała raz jeszcze panna Lemon.

— I nagle starsza pani coś odkrywa... Może ma to związek z pieniędzmi. Na przykład, że nie była pani wobec niej uczciwa. Mogło to być także coś poważniejszego... lekarstwo, które smakowało inaczej, coś nie tak z jedzeniem... W każdym razie zaczyna o coś panią podejrzewać i pisze list do bardzo sławnego detektywa... *enfin**, do najślawniejszego detektywa... czyli do mnie! Mam odwiedzić ją w najbliższych dniach. A wtedy będzie, jak wy to mówicie, po herbacie. Umiejętność szybkiego działania to wielka rzecz! Tak więc staruszka umiera przed przyjazdem sławnego detektywa. A pani dostaje pieniądze... Niech mi pani powie, czy to brzmi logicznie?

— Całkiem logicznie — odparła panna Lemon. — To znaczy, jeśli chodzi o tę Rosjankę. Osobiście nigdy nie przyjąłabym posady opiekunki starszej osoby. Lubię dokładnie znać zakres swych obowiązków. No i oczywiście nigdy nie przyszłoby mi do głowy zamordowanie kogoś.

Poirot westchnął.

— Jakże brakuje mi mego przyjaciela Hastingsa. On miał taką wyobraźnię! Takie romantyczne usposobienie! To prawda, że jego domysły zawsze okazywały się błędne, ale już samo to było wskazówką.

Panna Lemon milczała. Wielokrotnie wysłuchiwała opowieści o kapitanie Hastingsie i wcale nie miała na to ochoty. Spojrzała tęsknie na kartkę wkręconą w maszynę.

— A więc pani wydaje się to logiczne.

— A panu nie?

— Zaczynam się obawiać, że mnie także. Zadzwoił telefon i panna Lemon wstała, by go odebrać. Po chwili wróciła.

— To znowu inspektor Sims. Poirot pobiegł do aparatu.

— Halo! Słucham pana! Czy zdarzyło się coś nowego?

— Znaleźliśmy opakowanie ze strychniną. W pokoju dziewczyny — wciśnięte pod materac. Więc chyba klamka zapadła.

— Tak — odparł Poirot. — Myślę, że zapadła. — Jego głos brzmiał teraz zupełnie inaczej. Dźwięczała w nim pewność siebie.

Odłożywszy słuchawkę, Poirot usiadł przy biurku i zaczął odruchowo przekładać różne przedmioty. Przez cały czas mruczał do siebie:

— Coś tam było nie tak. Czuję to... Nie, nie czuję. To musiało być coś, co zobaczyłem. *En avant**, szare komórki! Pomyślmy. Czy wszystko było w logicznym porządku? Dziewczyna... jej obawy o pieniądze; *madame* Delafontaine; jej mąż... wspomniał coś o Rosjanach... imbecyl, ależ z niego imbecyl! Pokój, ogród... ha! Właśnie ogród!

Siedział teraz sztywno i niemal bez ruchu. Nagle w jego zielonych oczach coś błysnęło. Zerwał się z miejsca i wszedł do sąsiedniego pokoju.

— Panno Lemon. Czy będzie pani tak miła i zechce oderwać się na pewien czas od swych zajęć, by przeprowadzić dla mnie małe dochodzenie?

— Dochodzenie, panie Poirot? Obawiam się, że to nie jest moja najsilniejsza strona...

Poirot przerwał jej:

— Mówiła pani kiedyś, że wie wszystko o tutejszych kupcach.

— Tak, to prawda — odparła panna Lemon.

— A więc sprawa jest prosta. Pojedzie pani do Charman's Green i odszuka handlarza ryb.

— Handlarza ryb? — spytała panna Lemon, zaskoczona.

— Właśnie tak. Handlarza, który zaopatrywał Rosebank w ryby. Kiedy już go pani odnajdzie, proszę zadać mu pewne pytanie.

Wręczył jej kartkę. Panna Lemon wzięła ją, przeczytała bez żadnego zainteresowania i skinęła głową. Następnie założyła pokrywę na maszynę.

— Do Charman's Green pojedziemy razem. Pani uda się na poszukiwania handlarza, a ja na posterunek policji. Z Baker Street to nie więcej niż pół godziny.

Kiedy Poirot pojawił się na posterunku, inspektor Sims nie potrafił ukryć swego zdziwienia.

— Szybko się pan zjawił, panie Poirot. Rozmawialiśmy przez telefon niecałą godzinę temu.

— Mam do pana wielką prośbę, inspektorze. Chciałbym porozmawiać z tą dziewczyną, Katriną... nie pamiętam nazwiska.

— Katriną Reiger? Ależ proszę bardzo. Nie widzę żadnych przeszkód.

Twarz Katriny była jeszcze bardziej ziemista i zacięta, niż wtedy gdy Poirot widział ją po raz pierwszy.

— *Mademoiselle* — zaczął Poirot. — Chcę, aby pani uwierzyła, że nie jestem jej wrogiem. Chciałbym, aby powiedziała mi pani prawdę.

— Powiedziałam prawdę. Wszystkim mówiłam prawdę! Jeśli pani została otruta, to nie przeze mnie! To wszystko pomyłka. Nie chcecie dopuścić, bym dostała te pieniądze.

Jej głos brzmiał chrapliwie. Poirot pomyślał, że nieszczęsna dziewczyna wygląda jak mysz zapędzona w kąt.

— Niech mi pani powie, jak było z tymi kapsułkami. Czy nikt inny nie miał do nich dostępu?

— Przecież już mówiłam, że nie. Właśnie tamtego popołudnia zrobiono je w aptece. Przyniosłam je do domu w torebce... na chwilę przed obiadem. Otworzyłam pudełko i dałam pani Barrowby jedną kapsułkę wraz ze szklanką wody.

— I nikt poza panią ich nie ruszał?

— Nikt!

Mysz zapędzona w kąt... ale odważna!

— A pani Barrowby jadła tylko to, co wszyscy inni? Zupę, pieróg z rybą i tarte. Czy tak?

— Tak. — Rozpaczliwe „tak”... ciemne, palące oczy, które widziały wokół siebie tylko ciemność.

Poirot poklepał ją po ramieniu.

— Proszę nie tracić nadziei, *mademoiselle*. Jeszcze nie wszystko stracone. Ani wolność, ani pieniądze, ani życie bez kłopotów...

Spojrzała na niego podejrzliwie. Kiedy wyszedł, Sims odezwał się:

— Niezupełnie dotarło do mnie to, co mówił pan przez telefon. Coś o tym, że dziewczyna ma jakiegoś przyjaciela.

— Ma jednego. Mnie! — odparł Herkules Poirot i zanim inspektor zdążył pozbierać myśli, wyszedł.

Kiedy spotkali się w herbaciarni „Pod Zielonym Kotem”, panna Lemon nie trzymała swego pracodawcy w niepewności, tylko od razu przeszła do rzeczy:

— Facet nazywa się Rudge, ma sklep na High Street i miał pan całkowitą rację. Dokładnie półtora

tuzina. Zanotowałam wszystko, co powiedział. — Wręczyła mu kartkę.

Herkules Poirot wydał z siebie głęboki pomruk zadowolonego kota.

Sam udał się do Rosebank. Kiedy znalazł się w ogrodzie, mając za plecami zachodzące słońce, Mary Delafontaine wyszła mu na spotkanie.

— Pan Poirot? — W jej głosie słychać było zdziwienie. — To znowu pan?

— Tak, wróciłem.

Zamilkł na moment, by po chwili powiedzieć:

— Kiedy byłem tu po raz pierwszy, przypomniałem sobie słowa dziecięcej piosenki:

Mary, Mary, nie do wiary,

Skąd ten ogród masz, ach, skąd?

Drobne muszelki, srebrne kropelki

I ślicznych panienek rząd.

— Chociaż to nie były drobne muszelki, tylko skorupy ostryg. — Jego ręka wskazała na kwietnik.

Usłyszał, jak Mary Delafontaine wstrzymała oddech. Patrzyła na niego pytająco. Skinął głową.

— *Mais oui**, ja... wiem! Służąca zostawiła gotowy obiad... na pewno przysięgnie, zresztą Katrina także, że nie jedliście nic innego. Tylko państwo sami wiedzą, że kupiła pani półtora tuzina ostryg... mały poczęstunek *pour la bonne tante**. A tak łatwo można naszpikować ostrygę strychniną. Połyka się ją — *comme ça!** Ale zostały skorupki. Nie mogła ich pani wyrzucić do kosza na śmieci, gdyż służąca musiałaby je zauważyć. Więc wpadła pani na pomysł zrobienia z nich obramowania kwietnika. Tylko że było ich trochę za mało. Fatalny efekt! Psuje symetrię pięknego, poza tym drobiazgiem, ogrodu. Te muszle zupełnie tu nie pasują, zwróciłem na to uwagę już przy pierwszej wizycie.

— Przypuszczam, że w rozwiązaniu zagadki pomógł panu list — powiedziała Mary Delafontaine. — Wiedziałam, że go wysyła, ale nie miałam pojęcia, co napisała.

— W każdym razie tyle, że jest to sprawa rodzinna — odparł Poirot wymijająco. — Gdyby chodziło o Katrinę, nie byłoby potrzeby tuszowania całej sprawy. Rozumiem, że pani albo mąż wykorzystywaliście papiery wartościowe pani Barrowby dla własnych zysków i któregoś dnia ona się tego domyśliła...

Mary Delafontaine skinęła głową.

— Robiliśmy to przez wiele lat — skubaliśmy trochę tu, trochę tam... Nigdy nie przypuszczałam, że będzie na tyle bystra, aby się zorientować. A później dowiedziałam się, że chce zatrudnić detektywa... no i postanowiła wszystko zapisać tej nędznej kreaturze, Katrinie.

— I dlatego podłożyliście strychninę w jej pokoju. W ten sposób uwalnialiście się od podejrzeń, jednocześnie posyłając niewinne dziecko na długie lata do więzienia. Czy pani nie ma litości, *madame*?

Mary Delafontaine wzruszyła ramionami. Jej oczy w kolorze niezapominajek patrzyły prosto w oczy Poirota. Przypomniawszy sobie nienaganność jej zachowania w dniu, gdy przyszedł tu po raz pierwszy, oraz ryzykowne wypowiedzi jej męża. Tak, to nieprzeciętna kobieta. Tyle że nieludzka.

— Litości? — powtórzyła. — Dla tej nędznej, wciąż coś knującej, małej żmii? — Nawet nie starała się ukryć pogardy.

— Myślę, *madame* — odezwał się Herkules Poirot — że w całym pani życiu istniały tylko dwie rzeczy, na których pani zależało. Jedną z nich jest pani mąż.

Jej usta zaczęły drżeć.

— A drugą — ogród.

Rozejrzał się dokoła. Spojrzeniem zdawał się przeproszać kwiaty za to, co zrobił i co miał zamiar zrobić.

Ekspres do Plymouth

Alec Simpson, oficer Królewskiej Marynarki Wojennej, wszedł na peronie dworca w Newton Abbot do wagonu pierwszej klasy ekspresu do Plymouth. Za nim wszedł bagażowy, dźwigając ciężką walizkę. W przedziale chciał natychmiast położyć ją na półce, jednak młody porucznik powstrzymał go:

— Nie. Niech na razie zostanie na siedzeniu. Sam ją tam później wsadzę. Proszę, to dla pana.

— Dziękuję panu. — Bagażowy, odebrawszy spory napiwek, wysiadł.

Trzasnęły drzwi, a po chwili donośny głos poinformował pasażerów:

— Tylko do Plymouth. Przesiadka do Torquay. Następny przystanek w Plymouth.

Rozległ się gwizdek i pociąg ruszył.

Porucznik Simpson miał cały przedział dla siebie. Grudniowe powietrze było przenikliwie zimne, zamknął więc okno. Jednak już po chwili pociągnął nosem i skrzywił się. A cóż to za smród?! Przypominał mu pobyt w szpitalu, kiedy to miał operowaną nogę. Tak, chloroform... to właśnie to!

Ponownie opuścił okno i zmienił miejsce tak, że siedział teraz tyłem do kierunku jazdy. Wyjął z kieszeni fajkę i zapalił. Przez chwilę wyglądał przez okno.

W końcu wstał, wyciągnął z walizki parę gazet i czasopism, po czym próbował wcisnąć ją pod siedzenie. Bez rezultatu. Uniemożliwiała to jakaś ukryta przeszkoda. Z rosnącą niecierpliwością spróbował jeszcze raz, tym razem pchając walizkę z całej siły. Jednak znowu utknęła w połowie.

— Dlaczego, do diabła, nie chce wejść? — mruknął, po czym pochylił się i zajrzał pod siedzenie...

Chwilę później ciszę nocną przerwał donośny krzyk. Długi pociąg zatrzymał się z wysiłkiem, posłuszny działaniu hamulca bezpieczeństwa.

— *Mon ami* — odezwał się Poirot. — Widzę, że bardzo zainteresowała cię tajemnica ekspresu do Plymouth. Proszę, przeczytaj to.

Chwycił kartkę, którą wyciągnął nad stołem w swoją stronę. Był to list. Bardzo krótki i zwięzły:

Szanowny Panie!

Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli Pan zechce odwiedzić mnie najszybciej, jak to tylko możliwe.

Z poważaniem,

Ebenezer Halliday

Nie widząc żadnego związku pomiędzy tym listem a sprawą ekspresu, spojrzałem pytająco na Poirot.

W odpowiedzi wziął gazetę i przeczytał na głos:

— Ostatniej nocy dokonano sensacyjnego odkrycia. Jadący do Plymouth młody oficer Królewskiej Marynarki Wojennej znalazł pod siedzeniem w swoim przedziale zwłoki zaszytowanej kobiety. Oficer natychmiast zatrzymał pociąg, ciągnąc za hamulec bezpieczeństwa. Ofiara, elegancko ubrana kobieta w wieku około trzydziestu lat, nie została dotychczas zidentyfikowana.

A później mamy coś takiego:

Kobietę, której zwłoki znaleziono w jadącym do Plymouth ekspresie, zidentyfikowano jako panią Rupertową Carrington.

Czy teraz już rozumiesz, mój drogi? Bo jeśli nie, to mogę jeszcze dodać, że pani Carrington, zanim wyszła za mąż, nazywała się Flossie Halliday. Była córką starego Hallidaya, amerykańskiego króla stali.

— I on wysłał do ciebie list? To wspaniałe!

— Pomogłem mii dawno temu. Taka prosta sprawa z obligacjami na okaziciela. Kiedyś, gdy byłem w Paryżu z okazji wizyty królewskiej, pokazano mi pannę Flossie. *La jolie petite pensionnaire!** Miała także *joli dot!** Były z tego powodu problemy. O mało co zrobiłaby fałszywy krok.

— Jaki?

— Pewien hrabia... De la Rochefour. *Un bien mauvais sujet!** Niezłe ziółko, jak się u was mówi, czyli po prostu zwykły poszukiwacz przygód, zdołał omotać młodą, romantyczną dziewczynę. Na szczęście, jej ojciec wystarczająco szybko zwęszył, co się święci, i zabrał ją powrotem do Ameryki. Parę lat później dowiedziałem się o jej ślubie. Jednak nie wiem nic o jej mężu.

— Hmm — powiedziałem. — Wielmożny pan Rupert Carrington z całą pewnością nie jest świętym. Przepuścił własne pieniądze na wyścigach, więc śmiem sądzić, że dolary starego Hallidaya przyszły w samą porę. Naprawdę, trudno byłoby znaleźć drugiego takiego przystojnego, dobrze ułożonego i pozbawionego jakichkolwiek skrupułów drania.

— Ach, biedna młoda pani! *Elle n'est pas bien tombee!**

— Przypuszczalnie od razu postawił sprawę jasno. Pociągały go jej pieniądze, nie ona sama. Z tego, co wiem, niedługo po ślubie rozstali się. Chodziły plotki, że wkrótce dojdzie do formalnej separacji.

— Stary Halliday nie jest głupcem. Jestem przekonany, że dobrze ją zabezpieczył.

— Tak myślę. W każdym razie wiem na pewno, że Rupert Carrington jest w strasznych opałach.

— Aha! Zastanawiam się...

— Nad czym?

— Drogi przyjacielu, nie skacz mi do gardła. Rozumiem twoje zainteresowanie, niemniej... Może byś tak pojechał ze mną do pana Hallidaya. Postój taksówek jest zaraz za rogiem.

Po kilku minutach znaleźliśmy się na Park Lane przed wspaniałym domem wynajmowanym przez amerykańskiego magnata. Wprowadzono nas do biblioteki, gdzie niemal natychmiast zjawił się wysoki, tęgi mężczyzna o świdrujących oczach i wystającym podbródku, nadającym mu agresywny wygląd.

— Pan Poirot? — zaczął Halliday. — Chyba nie muszę tłumaczyć, w jakiej sprawie chciałem się z panem spotkać. Czyta pan gazety, a ja nie lubię zasypiać gruszek w popiele. Przypadkowo dowiedziałem się, że jest pan w Londynie, a pamiętam, jak dobrze poradził pan sobie z tamtymi obligacjami. Nigdy nie zapominam nazwisk. Spiknąłem się ze Scotland Yardem, ale potrzebny mi także swój człowiek. Pieniądze nie grają żadnej roli. Wszystkie były przeznaczone dla mojej dziewczynki... a teraz już jej nie ma... Wydam ostatniego centa, aby złapać tego przekłętego drania! Rozumiemy się? Pan ma tylko dostarczyć towar.

Poirot skłonił się.

— Przyjmuję tę sprawę, *monsieur*, tym chętniej, że miałem okazję kilkakrotnie spotkać pańską córkę w Paryżu. Chciałbym teraz, aby dokładnie opowiedział mi pan o szczegółach jej podróży do Plymouth, a także o wszystkim innym, co pańskim zdaniem może mieć jakikolwiek związek ze sprawą.

— No cóż — odparł Halliday. — Przede wszystkim córka nie jechała do Plymouth. Miała się przyłączyć do towarzystwa zgromadzonego w Avonmead Court, posiadłości księżnej Swansea. Wyjechała z Londynu o dwunastej czternaście, pociągiem do Paddington. Do Bristolu, gdzie miała przesiadkę, dojechała o czternastej pięćdziesiąt. Oczywiście większość ekspresów do Plymouth jedzie *via* Westbury i nie przejeżdża nawet w pobliżu Bristolu. Ten o dwunastej czternaście jedzie bez zatrzymywania się do Bristolu, a później staje jeszcze w Weston, Taunton, Exeter oraz Newton Abbot. Córka jechała sama, w przedziale zarezerwowanym aż do Bristolu, zaś jej pokojówka w najbliższym wagonie trzeciej klasy. — Poirot skinął głową, a pan Halliday mówił dalej: — W Avonmead zebrało się wesołe towarzystwo. W planie było kilka balów, w związku z czym córka

wiozła niemal całą biżuterię, o łącznej wartości około stu tysięcy dolarów.

— *Un moment* — przerwał mu Poirot. — Kto opiekował się biżuterią? Córka czy pokojówka?

— Córka. Zawsze wozila ją w niewielkiej niebieskiej walizeczce z marokinu.

— Proszę mówić dalej.

— W Bristolu Jane Mason, pokojówka, wzięła bagaże i przeszła do wagonu córki. Tam, ku swemu największemu zdziwieniu usłyszała, że Flossie zmieniła plany i zamiast wysiąść w Bristolu, postanowiła jechać dalej. Kazała Mason wziąć bagaże i oddać je do przechowalni. Pozwoliła jej pójść do bufetu na herbatę, ale potem miała czekać na dworcu na Flossie, która powinna wrócić do Bristolu popołudniowym pociągiem. Służąca, choć bardzo zdziwiona, zrobiła to, co jej kazano. Oddała bagaże do przechowalni, napiła się herbaty i czekała. Lecz przyjechało kilka pociągów z Plymouth, a Flossie wciąż nie było. Wreszcie po przyjeździe ostatniego panna Mason postanowiła pozostawić bagaże w przechowalni i spędzić noc w pobliskim hotelu. Dziś rano przeczytała w gazecie o tragedii i wróciła do miasta pierwszym pociągiem.

— Czy wie pan o czymś, co mogło wpłynąć na nagłą zmianę planów pańskiej córki?

— No więc właśnie... Według Jane Mason, w Bristolu Flossie nie była już sama w przedziale. Był z nią jakiś mężczyzna, który stał tyłem do drzwi i wyglądał przez okno z drugiej strony. Mason nie widziała jego twarzy.

— To był oczywiście wagon z korytarzem?

— Tak.

— Z której strony był korytarz?

— Od strony peronu. W czasie rozmowy z Mason córka stała w korytarzu.

— Czy nie wydaje się panu... Przepraszam! — Wstał i starannie ustawił kałamarz, który stał trochę krzywo. — *Je vous demande pardon** — mówił dalej, siadając. — Bardzo źle wpływa na mnie najmniejszy nieporządek. To dziwne, prawda? A więc, co to ja, mówiłem... czy nie uważa pan, że właśnie to niespodziewane spotkanie skłoniło pańską córkę do nagłej zmiany planów?

— Wydaje mi się to jedynym logicznym wytłumaczeniem.

— Ale nie wie pan, kim mógł być ten mężczyzna? Milioner wahał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

— Nie, nie mam pojęcia.

— Dobrze. A teraz niech mi pan powie, kto i w jaki sposób odkrył ciało?

— Znalazł je młody oficer Marynarki, który natychmiast podniósł alarm. Pociągiem podróżował

lekarz. Zbadał zwłoki. Stwierdził, że Flossie została najpierw pozbawiona przytomności za pomocą chloroformu, a następnie zasztyletowana. Według doktora, nie żyła już od około czterech godzin. Tak więc do zabójstwa musiało dojść niedługo po odjeździe z Bristolu, prawdopodobnie jeszcze przed Weston, ewentualnie między Weston a Taunton.

— A walizeczka z klejnotami?

— Zniknęła.

— Jeszcze jeden drobiazg, *monsieur*. Majątek pańskiej córki... kto go dziedziczy po jej śmierci?

— Zaraz po ślubie Flossie sporządziła testament, na mocy którego wszystko dziedziczy jej mąż. — Tu Ebenezer Halliday zawahał się na moment. Po chwili zdecydował się mówić dalej. — Chyba powinienem panu powiedzieć, że uważam swego zięcia za wyjątkowego drania, od którego, zgodnie z moją radą, córka postanowiła ostatecznie się uwolnić. Legalnymi środkami. Zabezpieczyłem jej pieniądze w taki sposób, że za życia córki zięć nie miał szans położenia na nich łapy. Jednak mimo że od wielu lat nie mieszkali razem, córka często ugiwała się przed jego finansowymi żądaniami. Po prostu wołała to niż jawny skandal. Ja jednak uważałem, że należy z tym wreszcie skończyć. Hossie w końcu zgodziła się i moi prawnicy wzięli sprawę w swoje ręce.

— A gdzie jest teraz *monsieur* Carrington?

— W mieście. Z tego co wiem, wyjeżdżał wczoraj na wieś. Wrócił dopiero wieczorem.

Poirot zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Myślę, że to wszystko, *monsieur*.

— Czy chciałby pan porozmawiać z Jane Mason?

— Jeśli to możliwe...

— Oczywiście. — Halliday zadzwonił, po czym wydał lokajowi odpowiednie dyspozycje.

Kilka minut później do pokoju weszła Jane Mason, przyzwoicie wyglądająca kobieta o grubych rysach i twarzy mimo tragedii tak wypranej z emocji, jak to się zdarza tylko dobrym służącym.

— Czy pozwoli panienka, że zadam jej kilka pytań? Przede wszystkim, czy pani Carrington zachowywała się wczoraj rano tak jak zwykle? To znaczy, czy nie była zdenerwowana albo podniecona?

— Och nie, proszę pana. Nic takiego nie zauważyłam.

— Ale w Bristolu zachowywała się już inaczej?

— Tak, proszę pana. Pani była bardzo zdenerwowana, tak mocno, że niemal nie wiedziała, co mówi.

— A co dokładnie powiedziała?

— O ile pamiętam, proszę pana, pani powiedziała: „Mason, musiałam zmienić plany. Zdarzyło się coś ważnego. Nie wysiadam teraz, tylko jadę dalej. Ty weźmiesz bagaże, oddasz je do przechowalni, później pójdziesz na herbatę i zaczekasz na mnie na dworcu”.

„Mam tu na panią czekać, proszę pani?” — spytałam.

„Tak, tak — odparła. — Nie oddalaj się z dworca. Wrócę późniejszym pociągiem. Nie wiem dokładnie, o której... chyba niezbyt późno.”

„Dobrze, proszę pani” — odpowiedziałam. Nie miałam prawa zadawać pytań, ale pomyślałam, że to dziwne.

— Nie w stylu pani Carrington, prawda?

— Nie, zupełnie nie, proszę pana.

— A co sobie panienka o tym pomyślała?

— Pomyślałam, proszę pana, że to musi mieć jakiś związek z tym panem, który stał w przedziale. Pani nie odzywała się do niego, ale co jakiś czas odwracała się w jego stronę, tak jakby chciała zapytać, czy mówi to, co powinna.

— Ale nie widziała panienka twarzy tego mężczyzny?

— Nie, proszę pana. Przez cały czas stał tyłem do mnie.

— A czy potrafi go panienka opisać?

— Miał na sobie jasny, lekki płaszcz i podróżną czapkę. Był wysoki, szczupły i miał ciemne włosy.

— Nie widziała go pani nigdy wcześniej?

— Nie, proszę pana, wydaje mi się, że nie.

— Czy przypadkiem nie był to pan Carrington?

Mason wyglądała na wstrząśniętą.

— Och nie, proszę pana! Nie sędzę.

— Ale nie jest panienka tego pewna?

— Ten mężczyzna był zbudowany mniej więcej tak, jak pan Carrington, proszę pana, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że to mógłby być on. Tak rzadko go widzujemy... Nie, nie mogę

powiedzieć, że to na pewno nie był on!

Poirot podniósł z dywanu szpilkę, skrzywił się z niesmakiem, po czym pytał dalej:

— Czy jest możliwe, że ten mężczyzna wsiadł do pociągu już w Bristolu, zanim zdążyła panienka przejść do wagonu, którym podróżowała pani Carrington?

Mason zamyśliła się.

— Tak, proszę pana. Mogło tak być. Mój wagon był bardzo zatłoczony, więc minęło kilka minut, zanim udało mi się wy siąść. A później, na peronie, także był straszny tłok. Zanim doszłam do wagonu pani, minęła dłuższa chwila. Ale w takim razie miałby najwyżej minutę albo dwie na rozmowę z panią. Nie przyszło mi to do głowy, byłam przekonana, że przyszedł z innego wagonu, w czasie jazdy.

— Rzeczywiście, jest to bardziej prawdopodobne. Poirot urwał, ponownie spojrzął na szpilkę i znów się skrzywił.

— Czy wie pan, jak pani była ubrana? — Gazety podają trochę szczegółów, ale chciałbym, aby panienka je potwierdziła.

— Pani miała na sobie toczek z białego lisa z białą woalką w kropki i jaskrawoniebieską garsonkę z lamówkami.

— Hm... to raczej rzucający się w oczy strój.

— Tak — zauważył pan Halliday. — Inspektor Japp ma nadzieję, że to pomoże w ustaleniu dokładnego miejsca. Ktokolwiek widział Flossie, musiał ją zapamiętać.

— *Précisément!** Dziękuję, *mademoiselle*. Służąca wyszła.

— Dobrze! — Poirot wstał. — Na razie nie mogę zrobić nic więcej. Prosiłbym tylko, aby powiedział mi pan wszystko... Ale naprawdę wszystko.

— Już to zrobiłem.

— Jest pan pewien?

— Absolutnie.

— W takim razie nie mam nic do dodania. Przykro mi, ale muszę odmówić przyjęcia tej sprawy.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie jest pan ze mną do końca szczery.

— Ależ zapewniam pana...

— Nie, coś pan ukrywa.

Nastała chwila milczenia, po czym Halliday wyjął z kieszeni złożoną kartkę i wręczył ją memu przyjacielowi.

— Myślę, że to o to panu chodziło, *monsieur Poirot*... choć skręca mnie z ciekawości, skąd pan wiedział!

Poirot uśmiechnął się i rozłożył kartkę. Był to list napisany wąskim, pochyłym pismem. Poirot przeczytał go na głos:

Chère Madame!

Z wielką radością oraz niecierpliwością czekam na przyjemność ponownego z Panią spotkania. Po tym, jak tak uprzejmie zechciała Pani odpowiedzieć na mój list, niemal nie mogę opanować swej wielkiej niecierpliwości.

Nigdy nie zapomniałem tamtych dni w Paryżu. To okrutne, że musi Pani opuścić jutro Londyn. Lecz i tak już wkrótce, może nawet wcześniej niż Pani myśli, dostąpię zaszczytu ujrzenia Damy, której wspomnienie od tylu już lat rządzi moim sercem.

*Oddany i darzący Panią
niezmiennym uczuciem —
Armand de la Rochefour*

Poirot z ukłonem oddał Hallidayowi list.

— Oczywiście, *monsieur*, nie wiedział pan, że córka zamierzała odnowić znajomość z hrabią de la Rochefour?

— To spadło na mnie jak grom z jasnego nieba! Znalazłem ten list w torebce mojej córki. Jak pan zapewne wie, panie Poirot, ten tak zwany hrabia to uwodziciel w najgorszym stylu.

Poirot skinął głową.

— Ale skąd pan wiedział o tym liście? — dziwił się pan Halliday. Poirot uśmiechnął się:

— Ależ, *monsieur*, wcale nie wiedziałem. Ale tropić ślady stóp i rozpoznawać popiół różnych gatunków papierosów, to zbyt mało, by być dobrym detektywem. Prawdziwy detektyw musi być także dobrym psychologiem! Wiedziałem, że nie lubi pan swego zięcia i nie ufa mu. W dodatku śmierć pańskiej córki jest dlań bardzo korzystna. Co więcej, pasuje on do opisu osoby, o której mówiła

służąca. A mimo to nie zauważyłem, by zdradzał pan jakiegokolwiek zainteresowanie jego kandydaturą na podejrzanego. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że pańskie podejrzenia skierowane są przeciwko komuś zupełnie innemu. A więc — coś pan przede mną ukrył.

— Ma pan rację, panie Poirot. Byłem przekonany o winie Ruperta aż do chwili, kiedy znalazłem ten list. Okropnie mnie to wytrąciło z równowagi.

— Tak, rzeczywiście. Hrabia pisze: ... *już wkrótce, może nawet wcześniej niż Pani myśli...* Najwyraźniej nie miał zamiaru czekać, aż doniosą panu, że znów się pojawił. Ciekawe, czy to on był tym tajemniczym mężczyzną, który wszedł do przedziału zajmowanego przez pańską córkę? O ile dobrze pamiętam, hrabia de la Rochefour to także wysoki brunet? Milioner skinął głową.

— Cóż, *monsieur*, pozostaje mi tyczyć panu miłego dnia. Oczywiście Scotland Yard ma listę skradzionych klejnotów?

— Tak. Jeśli się nie mylę, przed chwilą zjawił się inspektor Japp. Może chce pan z nim porozmawiać?

Japp był naszym starym przyjacielem. Powitał Poirota z sympatią podszytą lekkim szyderstwem:

— Jak się pan miewa, przyjacielu? Chyba nie ma pan do mnie żalu, choć rzeczywiście inaczej podchodzimy do różnych spraw? A jak tam pańskie szare komóreczki? Sprawniejsze z każdym dniem?

Poirot rozjaśnił się na jego widok.

— Funkcjonują, drogi Jappie, zapewniam pana, że funkcjonują.

— A więc wszystko w porządku. Myślę, że to pan Rupert Carrington, a może jakiś bandyta? Oczywiście mamy oko na wszystkie meliny, w których mogą wypłynąć świecełki. Więc kiedy przestępca będzie próbował pozbyć się ich, natychmiast się o tym dowiemy. Bo chyba nie ukradł po to, by napawać się ich blaskiem. To raczej nie wchodzi w rachubę. Teraz próbuję się dowiedzieć, gdzie też pan Rupert Carrington podziewał się wczoraj. To nie jest do końca jasne. Posłałem za nim mojego człowieka.

— Znakomity środek ostrożności, tyle że może spóźniony o dzień — odparł spokojnie Poirot.

— Pana zawsze trzymają się żarty... Cóż, muszę zniknąć. Wybieram się na dworzec Paddington, a stamtąd walę prosto do Bristolu, Weston oraz Taunton. No to do zobaczenia.

— Czy zechce pan spotkać się ze mną dziś wieczorem i zdradzić mi rezultaty swej wyprawy?

— Jasne, jeśli tylko wrócę.

— Nasz poczciwy inspektor wyraźnie popiera ruch w interesie — mruknął Poirot, kiedy Japp

wyszedł. — Podróżuje, mierzy odciski stóp, zbiera błoto, popiół oraz niedopałki. Jest bardzo pracowity! I gorliwy! A gdybym powiedział cokolwiek na temat psychologii, to wiesz, jaka byłaby jego reakcja? Uśmiech. Poblążliwy uśmiech. Powiedziałyby do siebie: „Biedny Poirot! Starzeje się! Jest coraz bardziej zgrzybiały!” Japp jest typowym przedstawicielem „młodszeo pokolenia dobijającego się do drzwi”. Nieszczęśni, są tak zajęci pukaniem... Nie widzą, że drzwi są otwarte!

— A co ty zamierzasz robić?

— Ponieważ mamy *carte blanche*, pozwolę sobie na wydanie trzech pensów na telefon do „Ritza”, gdzie zapewne zatrzymał się hrabia. Następnie, jako że przemoczyłem buty i już dwukrotnie kichnąłem, wrócę do siebie i na palniku spirytusowym zaparzę sobie ziółka.

Nie widziałem Poirota aż do następnego ranka. Kiedy się u niego zjawiłem, spokojnie kończył jeść śniadanie.

— No i? — spytałem niecierpliwie. — Co się wydarzyło?

— Nic.

— A Japp?

— Nie widziałem się z nim.

— A hrabia?

— Przedwczoraj opuścił hotel.

— W dniu morderstwa?

— Tak.

— A więc wszystko jasne? Rupert Carrington jest niewinny.

— Dlatego, że hrabia de la Rochefour opuścił hotel? Nie tak szybko, mój drogi.

— Tak czy owak, trzeba go śledzić, aresztować! Ale jaki mógł być motyw zabójstwa?

— Bizuteria wartości stu tysięcy dolarów jest motywem wystarczająco dobrym dla każdego. Nie, mój drogi, pytanie brzmi: „Dlaczego zdecydował się zabić?” Przecież wystarczyło po prostu zabrać jej te klejnoty. Z pewnością nie zdecydowałyby się na oddanie sprawy do sądu.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ była kobietą, *mon ami*. Kiedyś kochała tego człowieka. Dlatego cierpiałyby w milczeniu. A hrabia, który zna się wspaniale na damskiej psychologii — świadczą o tym jego liczne

sukcesy — świetnie o tym wiedział. Z drugiej strony, jeżeli to Rupert Carrington ją zabił, po co zabrał klejnoty?

— Aby wprowadzić nas w błąd.

— Może masz rację, przyjacielu. A oto nasz drogi Japp we własnej osobie. Poznaję jego sposób pukania do drzwi.

Inspektor był we wspaniałym nastroju.

— ...bry, Poirot. Dopiero co wróciłem. Odwaliłem kawał dobrej roboty! A pan?

— Jeśli o mnie chodzi, to uporządkowałem swoje hipotezy — odparł Poirot pogodnie.

Japp roześmiał się kordialnie.

— Biedaczysko, bardzo się posunął — odezwał się do mnie szeptem. — To nam, młodym, nie wystarcza — powiedział głośno.

— *Quel dommage!** — odparł Poirot.

— Czy chce pan usłyszeć, czego się dowiedziałem?

— Pozwoli pan, że spróbuję odgadnąć. Znalazł pan nóż, którym popełniono zbrodnię. Leżał w pobliżu torów kolejowych, gdzieś pomiędzy Weston a Taunton. Przesłuchał pan także gazeciarza, który w Weston rozmawiał z panią Carrington!

Jappowi opadła szczęka.

— Skąd pan, do licha, wiedział? Tylko proszę mi tu nie wmawiać, że to przez te pańskie wszechmocne szare komórki!

— Cieszę się. Wreszcie przyznaje pan, że są wszechmocne! Niech mi pan powie, czy pani Carrington dała chłopcu szylinga napiwku?

— Nie. To było pół korony!* — Japp odzyskał humor i uśmiechnął się. — Ci bogaci Amerykanie! Zawsze ekstrawagancy!

— I w związku z tym chłopiec ją zapamiętał?

— Oczywiście, że tak. W końcu nie co dzień widuje półkoronówkę. Pani Carrington zatrzymała go i kupiła dwa magazyny. Na okładce jednego z nich było zdjęcie dziewczyny w niebieskiej sukni. „Będzie do mnie pasować” — powiedziała pani Carrington... Och, zapamiętał ją dokładnie. Cóż, jeśli o mnie chodzi, to wystarczy. Według świadectwa lekarskiego morderstwo musiało zostać popełnione przed Taunton. Pomyślałem, że morderca natychmiast pozbył się noża, więc zrobiłem sobie spacer wzdłuż linii kolejowej ... I rzeczywiście, tam był. Z kolei w Taunton wypytywałem trochę o naszego dżentelmena, ale ponieważ jest to dosyć duża stacja, nikt nie zwrócił na niego

uwagi. Prawdopodobnie wrócił do Londynu którymś z późniejszych pociągów.

Poirot pokiwał głową.

— To bardzo prawdopodobne — powiedział.

— Ale po powrocie dowiedziałem się jeszcze jednej rzeczy. Pozbywają się klejnotów! Ten wielki szmaragd został wczoraj wieczorem zastawiony w lombardzie. Jak pan myśli, przez kogo?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ten ktoś jest niewielkiego wzrostu.

Japp wybałuszył oczy.

— Zgadł pan. Jest rzeczywiście niski. To Rudy Narky.

— Kim jest Rudy Narky? — spytałem.

— Wyjątkowo zdolny złodziej klejnotów, proszę pana. Nie zawaha się przed morderstwem. Zwykle pracuje z kobietą, Gracie Kidd, ale chyba nie tym razem. Chyba że związała do Holandii z resztą łupu.

— Aresztowaliście Narky'ego?

— Jasne! Ale ciągle szukamy tego drugiego, tego, który jechał z panią Carrington pociągiem. To on nadał robotę. Ale Narky nie sypnie kumpla.

Zauważyłem, że oczy Poirota mocno pozieleniały.

— Myślę — powiedział cicho — że bez trudu znajdę panu kumpla Narky'ego.

— Jeden z tych pańskich pomysłów? — Japp przez chwilę przyglądał się Poirotowi. — To zadziwiające, jak często się panu udaje. W pańskim wieku, no i w ogóle. Diabelskie szczęście, i tyle.

— Może i tak — mruknął w odpowiedzi mój przyjaciel. — Hastingsie, mój melonik. I szczotka. Doskonale. Teraz kalosze, bo wydaje mi się, że wciąż pada. Nie możemy zmarnować wspaniałego działania ziółek. *Au revoir*, Japp!

— Życzę powodzenia, Poirot.

Poirot zatrzymał pierwszą przejeżdżającą taksówkę i ruszyliśmy w kierunku Park Lane.

Gdy zjawiliśmy się przed domem Hallidaya, Poirot szybko wysiadł, zapłacił kierowcy i zadzwonił do drzwi. Lokajowi, który nam otworzył, szepnął coś na ucho, ten zaś natychmiast zaprowadził nas do niewielkiej, schludnej sypialni.

Poirot rozglądał się przez chwilę. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na niedużym czarnym kufierku. Ukląkł obok niego, przyjrzał się zamkom i wyjął z kieszeni niewielki zwój drutu.

— Poproś pana Hallidaya, aby był łaskaw przyjść tutaj — rzucił przez ramię do lokaja.

Kiedy lokaj wyszedł, Poirot wprawną ręką zaczął manipulować przy zamkach. Po dłuższej chwili oba zamki ustąpiły i Poirot uniósł wieko skrzynki. Zaczął pośpiesznie grzebać w strojach, które się w niej znajdowały. Rozrzucał je po całym pokoju.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki i po chwili do pokoju wszedł Halliday.

— Czego pan tu, do diabła, szuka? — spytał zdumiony.

— Szukam, *monsieur*... O, właśnie tego. — Poirot wyjął z kufra zakiet i spódnicę z jaskrawoniebieskiej satyny oraz toczek z białego lisa.

— Co pan wyprawia z moim kufrem?!

Odwróciłem się i zobaczyłem pokojówkę, Jane Mason.

— Hastingsie, bądź łaskaw zamknąć drzwi. Dziękuję. Tak, i oprzyj się o nie. A teraz, panie Halliday, proszę pozwolić przedstawić sobie Gracie Kidd, inaczej Jane Mason, która już wkrótce, pod przemiłą eskortą inspektora Jappa, dołączy do swego współnika, Rudego Narky'ego.

Poirot machnął lekceważąco ręką.

— To było wyjątkowo proste — powiedział i nałożył sobie jeszcze trochę kawioru. — Najpierw uderzyło mnie, że służąca nie proszona opowiadała o stroju swej pani. Dlaczego z takim zapalem starała się zwrócić naszą uwagę właśnie na ubranie? Nagle zdałem sobie sprawę, że tylko od niej wiemy o tajemniczym mężczyźnie z pociągu. Natomiast ze świadectwa lekarza wynika, że pani Carrington mogła równie dobrze zostać zamordowana przed Bristolem. Ale skoro tak, wtedy byłoby pewne, że służąca była współniczką mordercy. A jeśli była współniczką, musiało jej zależeć na zapewnieniu sobie innych świadków. Strój, który tamtego dnia miała na sobie pańska córka, rzucał się w oczy. Pokojówka ma zwykle dość duży wpływ na to, co założy jej pani... Jeśli tamtego dnia ktoś widział za Bristolem kobietę ubraną w jaskrawoniebieski kostium i toczek z białego lisa, to będzie gotów przysiąc, że widział panią Carrington.

Przeprowadziłem więc rekonstrukcję faktów. Pokojówka zamawia sobie identyczne stroje jak te, w które feralnego dnia będzie ubrana jej pani. Następnie oboje pozbawiają panią Carrington przytomności za pomocą chloroformu i któreś z nich przebija ją nożem prawdopodobnie w tunelu gdzieś pomiędzy Londynem a Bristolem. Ciało ofiary ukrywają pod siedzeniem, a jej miejsce zajmuje panna Mason. W Weston musi zadbać, aby ją tam zapamiętano. W jaki sposób? To proste. Daje małemu gazeciarzowi olbrzymi napiwek, a także zaznacza, że kolor sukni dziewczyny pasuje do koloru jej ubrania. Za Weston wyrzuca przez okno nóż, aby zaznaczyć miejsce, w którym rzekomo zamordowano panią Carrington. Wreszcie albo przebiera się, albo zakłada na wierzch długi płaszcz. W Taunton wysiada z pociągu i najszybciej, jak to tylko możliwe, wraca do Bristolu, gdzie wcześniej jej współnik oddał bagaże do przechowalni.

Ten oddaje jej kwit na bagaż, a sam wraca do Londynu. Ona kilka razy wychodzi na peron, starannie odgrywając swą rolę, spędza noc w hotelu, a rano udaje się w jego ślady.

Gdy Japp wrócił ze swej wyprawy, potwierdził wszystkie moje przypuszczenia. Co więcej, poinformował mnie, że dobrze znany bandzior próbuje sprzedawać zrabowane klejnoty. A kiedy okazało się, że tym bandziorem jest Rudy Narky, który zawsze dotąd pracował z Gracie Kidd, ja już wiedziałem, gdzie jej szukać.

— A hrabia?

— Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że nie miał nic wspólnego z tą sprawą. Ten dżentelmen za bardzo dba o swoją skórę, aby zaryzykować morderstwo. Coś takiego zupełnie do niego nie pasowało.

— Cóż, panie Poirot — powiedział Halliday. — Mam u pana wielki dług. A czek, który wypiszę zaraz po lunchu, pokryje go tylko w niewielkim stopniu.

Poirot uśmiechnął się skromnie i mruknął pod moim adresem:

— Ten poczciwy Japp... To on zgarnie oficjalne zaszczyty. Ale choć ma tę swoją Gracie Kidd, myślę, że nadepnałem mu tym razem na odcisk.

Obligacje za milion dolarów

— Jakże często dochodzi ostatnio do kradzieży obligacji! — zauważyłem któregoś ranka, odkładając gazetę. — Słuchaj, Poirot, może porzucimy trudną sztukę wykrywania sprawców zbrodni, a zajmiemy się ich popełnianiem?

— Czyżbyś chciał, *mon ami*, zbić fortunę szybko, łatwo i przyjemnie?

— Cóż, przeczytaj sobie o tym ostatnim skoku. Obligacje Liberty wartości miliona dolarów, które Bank Londyński i Szkocki wysłał do Nowego Jorku, zniknęły bez śladu na pokładzie liniowca *Olympia*.

— Gdyby nie *mal de mer** oraz kłopoty ze stosowaniem wspaniałej metody Laverguiera przez czas dłuższy niż te kilka godzin potrzebnych do przepłynięcia kanału La Manche, chętnie odbyłbym podróż którymś z tych wielkich liniowców — rozmarzył się Poirot.

— Tak, rzeczywiście — odparłem z entuzjazmem. — Niektóre z nich to prawdziwe pałace! Baseny kąpielowe, sale klubowe, restauracje, palmiarnie... Chyba trudno tam uwierzyć, że w ogóle jest się na morzu.

— Jeśli o mnie chodzi, to zawsze aż za dobrze wiem, kiedy jestem na morzu — odparł smutno Poirot. — A wszystkie te luksusy, które właśnie wyliczyłeś, nic mi nie mówią. Ale pomyśl tylko o tych geniuszach, którzy odbywają swe wojaże jak gdyby incognito! Właśnie na pokładach tych, jak je nazwałeś, pływających pałaców można się zetknąć z prawdziwą śmietanką, *houte noblesse** świata przestępczego!

Roześmiałem się.

— A więc to wzbudza twój entuzjazm! Miałbyś ochotę skrzyżować szpadę z tym, kto zrabował obligacje Liberty?

W tym momencie weszła gospodyni.

— Jakaś młoda pani pragnie się z panem zobaczyć. Oto jej wizytówka.

Na wizytówce widniał napis: *Miss Esmée Farquhar*.

Poirot wlaź pod biurko, wyciągnął stamtąd jakiś zabłąkany okruszek, rzucił go do kosza i dopiero wtedy dał gospodyni znak, by wpuściła gościa.

Po chwili do pokoju weszła jedna z najbardziej czarujących istot, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Miała około dwudziestu pięciu lat, ogromne brązowe oczy i doskonałą figurę. Ubrana była niezwykle gustownie i elegancko.

— Proszę bardzo, niech pani usiądzie, *mademoiselle*. To mój przyjaciel, kapitan Hastings; pomaga mi w rozwiązywaniu różnych problemików.

— Obawiam się, że sprawa, z którą do pana przyszedłam, to raczej wielki problem — odparła dziewczyna i skinąwszy mi wdzięcznie głową, zajęła miejsce. — Przypuszczam, że czytał pan o niej w prasie. Chodzi mi o rabunek obligacji Liberty na pokładzie liniowca *Olympia*.

Musiała dostrzec zdziwienie na twarzy Poirota, gdyż szybko dodała:

— Z pewnością zadaje pan sobie pytanie, co też mogę mieć wspólnego z tak poważną instytucją jak bank. Z jednej strony rzeczywiście nic. Z drugiej — wszystko. Widzi pan, panie Poirot, jestem zaręczona z Filipem Ridgewayem...

— Aha! A pan Filip Ridgeway jest...

— Jest właśnie tym, który transportował obligacje do Nowego Jorku. Oczywiście nie można mu nic zarzucić. To absolutnie nie była jego wina. Jednak jest bardzo załamany tą sprawą, a na dodatek jego wuj twierdzi, że Filip musiał przez nieuwagę wspomnieć komuś, co ze sobą wiezie. To może być straszny cios dla jego dalszej kariery.

— Kim jest jego wuj?

— To pan Vavasour, dyrektor generalny Banku.

— Zechce pani może opowiedzieć mi całą tę historię?

— Oczywiście. Jak pan zapewne wie, Bank chciał poszerzyć strefę swych wpływów o Amerykę. W tym celu zdecydował się wysłać tam obligacje Liberty o wartości miliona dolarów. Żądanie ich przetransportowania pan Vavasour powierzył Filipowi, który od wielu już lat jest zaufanym pracownikiem Banku i zna wszystkie szczegóły operacji prowadzonych w Nowym Jorku. *Olympia* wypłynęła z Liverpoolu dwudziestego trzeciego. Rankiem tego samego dnia pan Vavasour i pan Shaw, dyrektorzy Banku Londyńskiego i Szkockiego, wręczyli Filipowi obligacje. Zostały one przeliczone, zapakowane i zabezpieczone w jego obecności, a następnie natychmiast zamknięte w jego kufrze.

— Czy był to kufer ze zwykłym zamkiem?

— Nie, pan Shaw zażądał wyposażenia go w specjalny, dopasowany przez Hubbsa. Jak już mówiłam, Filip osobiście umieścił paczkę z obligacjami na dnie kufra. Do kradzieży doszło na parę godzin przed przybyciem do Nowego Jorku. Statek został dokładnie przeszukany, jednak nic nie znaleziono. Zupełnie jakby obligacje rozpląnęły się w powietrzu.

Poirot wykrzywił usta.

— Nie rozpląnęły się jednak do końca, skoro już w pół godziny po przybyciu *Olympii* do portu sprzedawano je w niewielkich paczkach. Cóż, przede wszystkim muszę teraz porozmawiać z panem Ridgewayem.

— Chciałam właśnie zaproponować, abyśmy zjedli razem lunch w „Cheshire Cheese”. Będzie tam także Filip. Umówił się ze mną, tylko jeszcze nie wie, że zwróciłam się do pana w jego imieniu.

Oczywiście przystaliśmy na tę propozycję. Do „Cheshire Cheese” udaliśmy się taksówką.

Pan Filip Ridgeway był na miejscu przed nami i wyraźnie zdziwił go widok narzeczonej wchodzącej do lokalu w towarzystwie dwóch zupełnie mu nie znanych mężczyzn. Był on wysokim, przystojnym i sympatycznym człowiekiem, o lekko siwiejących włosach, choć mógł mieć niewiele więcej niż trzydzieści lat.

Panna Farquhar podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Musisz mi wybaczyć, Filipie, że działałam bez twojej wiedzy — odezwała się. — Pozwól, iż przedstawię ci pana Herkulesa Poirota, o którym z całą pewnością wiele razy słyszałeś. A to jego przyjaciel, kapitan Hastings.

Ridgeway był bardzo zdziwiony.

— Oczywiście, że o panu słyszałem, *monsieur* Poirot — powiedział, wyciągając rękę. — Ale nie miałem pojęcia, że Esmée ma zamiar zwrócić się do pana w sprawie mojego, a raczej naszego kłopotu.

— Bałam się, Filipie, że nie pozwolisz mi na to — powiedziała panna Farquhar potulnie.

— A więc postarałaś się, aby mnie postawić przed faktem dokonanym — uśmiechnął się jej narzeczoney. — Mam nadzieję, panie Poirot, że zdoła pan rzucić światło na tę niezwykle zagadkę. Muszę wyznać, iż niemal tracę już rozum ze zmartwienia i zdenerwowania.

Rzeczywiście wyglądał blado i mizernie.

— Dobrze — zarządził Poirot. — Siadajmy więc do lunchu i zastanówmy się wspólnie, co możemy zrobić. Przede wszystkim, chciałbym usłyszeć całą tę historię z ust samego pana Ridgeway.

Podczas gdy ze smakiem jedliśmy wyśmienity stek i firmowy pudding z cynaderkami, Filip Ridgeway szczegółowo opisał okoliczności, w jakich doszło do rabunku obligacji. To, co powiedział, zgadzało się w każdym szczególe z tym, co mówiła wcześniej panna Farquhar.

— A w jaki sposób zorientował się pan, że obligacje zostały skradzione? — spytał Poirot, gdy Filip Ridgeway skończył swą opowieść.

Ten wybuchnął gorzkim śmiechem.

— Tego nie dało się nie zauważyć, *monsieur* Poirot. Po prostu rzucało się w oczy... Mój kufer częściowo wyciągnięto spod koi, był cały podrapany, a dookoła zamka widniały ślady po próbach sforsowania go.

— Rozumiem jednak, że otwarto go kluczem?

— Właśnie. Próbowali sforsować zamek, ale nie dali rady. W końcu jednak zdołali otworzyć go jakimś innym sposobem.

— To dziwne — powiedział Poirot, a w jego oczach pojawiły się tak dobrze mi znane zielone ogniki. — Bardzo dziwne! Tracą tyle czasu na próby wyłamania zamka, i nagle — *sapristi!* — stwierdzają, iż przez cały czas mieli przy sobie klucz! A przecież zamki Hubbsa są niepowtarzalne.

— Właśnie dlatego po prostu nie mogli mieć klucza. Przez cały czas nosiłem go przy sobie.

— Jest pan tego całkowicie pewien?

— Gotów jestem przysiąc. Poza tym, jeżeli mieli klucz albo jego duplikat, to po co zmarnowali tyle czasu na próby wyłamania zamka, którego nie da się wyłamać?

— To właśnie jest pytanie, które sobie zadaję! Mogę zaryzykować stwierdzenie, że jeśli kiedykolwiek uda nam się znaleźć rozwiązanie, będzie miało ono związek z tym dziwnym faktem. A teraz muszę pana poprosić, aby wybaczył mi pytanie, które muszę zadać... Czy jest pan całkowicie pewien, że nie zostawił kufra otwartego?

Filip Ridgeway po prostu spojrzał mu w oczy, Poirot zaś zaczął wymachiwać rękami.

— Ależ takie rzeczy naprawdę się zdarzają. Zapewniam pana! No dobrze, obligacje zostały skradzione. Teraz następna sprawa. Co złodziej z nimi zrobił? W jaki sposób zdołał przetransportować je na ląd?

— Ha! — wykrzyknął Ridgeway. — Właśnie o to chodzi. W jaki sposób? Przecież o całym zajściu natychmiast poinformowano służby celne i każdy pasażer przed opuszczeniem statku został dokładnie przeszukany.

— A domyślam się, że obligacje o tej wartości musiały tworzyć dosyć gruby plik?

— Oczywiście, że tak. Niemal nieprawdopodobne wydaje się, by ukryto je na pokładzie. Zresztą wiemy, że tak się nie stało, ponieważ już w pół godziny po zacumowaniu *Olympii* pojawiły się w sprzedaży. Nawet nie zdążyłem przesłać informacji o ich numerach. Jeden z brokerów twierdzi, że kupił pewną ilość obligacji przed przybyciem *Olympii* do Nowego Jorku. Ale nie da się przecież sprzedać obligacji drogą radiową.

— Drogą radiową na pewno nie, ale może przepływał obok was jakiś holownik?

— Przepływało kilka, ale tylko oficjalnych, a na dodatek już po ogłoszeniu alarmu, kiedy wszystko było pod obserwacją. Mój Boże! Przecież ja oszaleję! Niektórzy zaczynają sugerować, że sam ukradłem te obligacje.

— Ale przecież pana także zrewidowano?

— Tak.

— Widzę, że nie wie pan jeszcze, do czego zmierzam — powiedział Poirot, uśmiechając się enigmatycznie. — Nie szkodzi... Teraz chciałbym dowiedzieć się paru rzeczy na temat banku.

Ridgeway wyjął wizytówkę i skreślił na niej kilka słów.

— Proszę przekazać to mojemu wujowi. Przyjmie pana natychmiast.

Poirot podziękował mu, pożegnał się z panną Farquhar i zaraz udaliśmy się na Threadneedle Street, gdzie znajdowała się centrala Banku Londyńskiego i Szkockiego. Po okazaniu wizytówki poprowadzono nas przez labirynt biur i kontuarów, obok okienek wpłat i wypłat, aż do niewielkiego gabinetu na pierwszym piętrze, gdzie przyjęli nas dyrektorzy. Byli to dwaj poważni panowie, którzy pracując w Banku, zdążyli już posiwieć. Pan Vavasour miał krótką siwą brodę, zaś pan Shaw był starannie ogolony.

— Rozumiem, że jest pan prywatnym detektywem? — odezwał się pan Vavasour. — To dobrze... Bardzo dobrze... Oczywiście przekazaliśmy sprawę w ręce Scotland Yardu. Prowadzi ją inspektor McNeil. To, o ile wiem, bardzo zdolny oficer.

— Jestem o tym głęboko przekonany — odparł Poirot z uśmiechem. — Pozwolą panowie, że zadam im kilka pytań? Najpierw, jeśli chodzi o ten zamek... Kto zamówił go u Hubbsa?

— Ja — rzekł pan Shaw. — W takiej sprawie nie zaufałbym nawet najbardziej zaufanemu pracownikowi. Jeśli zaś chodzi o klucze, to jeden miał pan Ridgeway, a pozostałe dwa — pan Vavasour i ja.

— I żaden z pracowników nie miał do nich dostępu?

Pan Shaw spojrzał pytająco na pana Vavasoura.

— Chyba się nie pomylę, mówiąc, że oba znajdują się w sejfie, do którego włożyliśmy je dwudziestego trzeciego — odparł pan Vavasour. — Tak się nieszczęśliwie złożyło, że mego przyjaciela zmogła choroba akurat tego dnia, kiedy Filip udał się w podróż do Nowego Jorku. Dopiero co wyzdrowiał.

— Zapalenie oskrzeli to w moim wieku już nie żarty... Obawiam się jednak, że przysporzyłem w ten sposób strasznie dużo pracy panu Vavasourowi, zwłaszcza w związku z tym niespodziewanym kłopotem...

Poirot zadał jeszcze kilka pytań. Dążył chyba do określenia stopnia zażyłości pomiędzy wujem a siostrzeńcem. Odpowiedzi pana Vavasoura były krótkie, lecz szczegółowe. Jego siostrzeniec był zaufanym pracownikiem banku i panu Vavasourowi nie było wiadomo, aby miał jakiegokolwiek długi. W przeszłości kilkakrotnie powierzano mu podobne misje.

W końcu odprowadzono nas z ukłonami do drzwi.

— Jestem zawiedziony — powiedział Poirot, kiedy znaleźliśmy się na ulicy.

— . Miałaś nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej? Cóż, to po prostu dwóch nadętych starszych panów.

— To nie ich sztywne zachowanie mnie zawiodło, *mon ami*. Wcale nie spodziewałem się, że dyrektor banku będzie zapalonym, bystrym jak orzeł finansistą, jak to ujmują twoje ulubione powieści. Nie, rozczarowała mnie sama sprawa. Jest za łatwa!

— Łatwa?

— Ależ tak. Czy nie widzisz, że jest wręcz dziecinnie prosta?

— Więc wiesz, kto ukradł obligacje?

— Wiem.

— Ale w takim razie... Musimy... Dlaczego...

— Nie ekscytuj się tak, Hastingsie. Na razie nie będziemy nic robić.

— Ale dlaczego? Na co chcesz czekać?

— Na *Olympię*. We wtorek ma wrócić z Nowego Jorku.

— Ale skoro wiesz, kto ukradł obligacje, dlaczego chcesz czekać? Przecież on może uciec!

— Na jakąś wyspę na Morzu Południowym, z której nie groziłaby mu ekstradycja? Nie, *mon ami*, z pewnością nie odpowiadałyby mu tamtejsze warunki. A co do tego, dlaczego czekam, to — *eh bien* — dla Herkulesa Poirota cała ta sprawa jest oczywista, lecz aby stała się taką dla innych, mniej hojnie przez Naturę obdarowanych — na przykład dla inspektora McNeila — należy ustalić jeszcze kilka drobiazgów. Cóż, muszę brać pod uwagę, że nie wszyscy są tak utalentowani jak ja.

— Dobry Boże, Poirot! Czy wiesz, że byłbym gotów zapłacić sporą sumę, żeby choć raz zobaczyć, jak robisz z siebie durnia?—Ty jesteś jednak piekielnie zarozumiała!

— Nie wściekaj się tak, Hastingsie. Rzeczywiście, zauważyłem, że czasami niemal mnie nie znosisz.

Cóż! Jest to cena, jaką przychodzi mi płacić za swą wielkość!

Powiedziawszy to, mój mały przyjaciel wypiął tors i westchnął tak komicznie, że nie byłem w stanie powstrzymać śmiechu.

Wtorek zastał nas pędzących do Liverpoolu w wagonie pierwszej klasy pociągu L&NWR*. Poirot w dalszym ciągu uparcie odmawiał oświecenia mnie co do swych podejrzeń... bądź też pewności. Zadowalał się jedynie wyrażaniem głębokiego zdziwienia, że dla mnie sprawa nie jest równie oczywista. Jako że szczerze gardzę wszelką kłótnią, ukrywałem swą ciekawość pod maską obojętności.

Kiedy już znaleźliśmy się na nabrzeżu, do którego przybił wielki liniowiec, Poirot natychmiast stał się rześki i czujny. Nasze czynności polegały na wypytywaniu czterech stewardów o przyjaciela Poirota, który dwudziestego trzeciego popłynął do Nowego Jorku.

— Starszy człowiek, w okularach. Inwalida. Prawdopodobnie prawie nie wychodził ze swej kabiny. Nasz opis pasował do niejakiego pana Ventnora, który zajmował kabinę C24, jak się okazało sąsiadującą z kajutą pana Ridgeway. Kompletnie nie miałem pojęcia, w jaki sposób Poirot wydedukował istnienie pana Ventnora oraz jego wygląd, więc byłem bardzo podekscytowany.

— Niech mi pan powie — niemal wykrzyknąłem do stewarda — czy ten pan był w Nowym Jorku pierwszym, który zszedł na ląd?

— Nie, proszę pana. Wręcz przeciwnie. Zszedł jako ostatni.

Zupełnie zbity z tropu, dałem sobie spokój z pytaniami. Przyglądałem się tylko Poirotowi, który uśmiechnął się do mnie złośliwie, podziękował stewardowi i wręczył mu banknot.

Kiedy odeszliśmy, odezwałem się:

— Możesz się uśmiechać, mój drogi, ale to ostatnie pytanie rozbiło w pył twoją teorię.

— Widzę, przyjacielu, że jak zwykle nic nie rozumiesz. To ostatnie pytanie tylko ją potwierdziło.

Rozłożyłem ręce w geście rozpaczy.

— Poddaję się.

Gdy już siedzieliśmy w pędzącym w kierunku Londynu pociągu, Poirot przez kilka minut zajmował się pisaniem jakiegoś listu. Następnie włożył go do koperty i starannie ją zakleił.

— To list do naszego przyjaciela, inspektora McNeila. Zostawimy go w Scotland Yardzie w drodze do restauracji „Rendez-vous”. Zaprosiłem tam na obiad pannę Esmée Farquhar.

— A co z Ridgewayem?

— A co ma być? — odpowiedział Poirot i puścił do mnie oko.

— Przecież... Chyba nie myślisz, że...

— Coraz gorzej idzie ci kojarzenie faktów, Hastingsie. Tak, właśnie tak myślałem. Jeśli Ridgeway okazałby się złodziejem, co przecież było możliwe, mielibyśmy do czynienia z uroczą sprawą i kawałkiem starannej, metodycznej roboty.

— Dla panny Farquhar nie byłoby to takie urocze.

— Może masz rację. A więc tym lepiej, że jest inaczej. Teraz przyjrzyjmy się sytuacji. Widzę, że wprost umierasz z ciekawości. Zapieczętowany pakiet obligacji zostaje wyjęty z kufra, a następnie, jak to ujęła panna Farquhar, rozplywa się w powietrzu. To przy obecnym stanie wiedzy raczej nie wchodzi w rachubę. Pomyślmy więc, co mogło się stać. Wszyscy podkreślają, że przemycenie na ląd pakietu tej wielkości było niemożliwe.

— Tak, ale przecież wiemy...

— Może ty wiesz, mój drogi, ja nie. Ja po prostu przyjąłem, że jeśli coś jest niemożliwe, to nie ma prawa się zdarzyć. Pozostały więc dwa wyjścia: albo pakiet ukryto gdzieś na pokładzie, co byłoby raczej trudne, albo wyrzucono go za burtę.

— Z pływakiem z korka, tak?

— Nie, bez żadnego pływaka.

— Ale gdyby obligacje wyrzucono za burtę, to nie mogłyby pojawić się w sprzedaży w Nowym Jorku.

— Podziwiam twą zdolność logicznego myślenia, Hastingsie. Obligacje sprzedano w Nowym Jorku, a więc nie zostały wyrzucone za burtę. I dokąd nas to doprowadza?

— To punktu wyjścia.

— *Jamais de la vie!* Jeśli pakiet został wyrzucony za burtę, a obligacje pojawiły się w sprzedaży w Nowym Jorku, to znaczy, że pakiet nie zawierał obligacji! Czy istnieje jakikolwiek dowód na to, że je zawierał? Pamiętaj, że pan Ridgeway nie otwierał pakietu od chwili, kiedy mu go wręczono.

— Tak, ale...

Poirot niecierpliwie machnął ręką.

— Daj mi skończyć. Prawdziwe obligacje widziano po raz ostatni w biurze Banku Londyńskiego i Szkockiego rankiem dwudziestego trzeciego. Ponownie pojawiły się w Nowym Jorku w pół godziny po przybyciu *Olympii*, a według jednego człowieka, którego nikt jednak nie chciał wysłuchać, nawet jeszcze przed jej przybyciem. A więc może w ogóle nie trafiły na pokład *Olympii*? Czy była jakaś inna możliwość przewiezienia ich do Nowego Jorku? Tak. Tego samego dnia co *Olympia*, wypłynął do Ameryki Gigantic, który jest rekordzistą, jeżeli chodzi o czas przepłynięcia Atlantyku. Wysłane Gigantikiem obligacje docierają do Nowego Jorku na dzień przed przybyciem *Olympii*. Wszystko jasne. Zapieczętowana paczka jest zwykłą atrapą, a jedynym miejscem, w którym mogło dojść do jej podłożenia, są biura Banku. Każdy z trzech obecnych tam panów mógł z łatwością przygotować identyczny pakiet i zamienić go z właściwym. No i świetnie, obligacje wysyła się do wspólnika w Nowym Jorku, wraz z instrukcją, aby rozpocząć ich sprzedaż, kiedy tylko przyplynie *Olympia*. Ktoś jednak musiał być na jej pokładzie, aby upozorować rabunek.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ, gdyby Ridgeway otworzył pakiet i stwierdził, że ma do czynienia z plikiem nic niewartych papierów, natychmiast skierowałby swe podejrzenia ku Londynowi. Nie, człowiek z sąsiedniej kabiny wykonuje swą robotę, to znaczy pozoruje próbę wyłamania zamka, następnie otwiera go drugim kluczem, zabiera pakiet i wyrzuca go za burtę. Później spokojnie czeka. Na ląd schodzi jako ostatni. Naturalnie, aby uniknąć rozpoznania, nosi okulary i udaje inwalidę.

— Ale kto to był?

— To człowiek, który miał drugi klucz, człowiek, który zamówił zamek, który wcale nie chorował na zapalenie oskrzeli w swym domu na wsi, to „nadęty” staruszek, Shaw! Cóż, mój drogi, również na wysokich stanowiskach trafiają się przestępcy... Ach, proszę, oto i ona! *Mademoiselle!* Udało mi się! Pozwoli pani!

I rozpromieniony Poirot ucałował zdziwioną dziewczynę w oba policzki.

Gniazdo os

John Harrison wyszedł na taras i przez chwilę stał, spoglądając na ogród. Harrison był wysokim mężczyzną o chudej, trupio bladej twarzy. Minę miał zwykle ponurą, kiedy jednak, tak jak w tym właśnie momencie, nieregularne rysy łagodził uśmiech, pojawiało się w nich coś bardzo pociągającego.

John Harrison kochał swój ogród, który nigdy nie wyglądał tak ładnie jak tego sierpniowego wieczora. Pnące róże były wciąż piękne, a w powietrzu unosiła się woń groszku pachnącego.

Znajomy odgłos sprawił, że Harrison gwałtownie odwrócił głowę. Któż to wszedł do ogrodu? Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia, jako że wymuskana sylwetka, krocząca w jego stronę po ścieżce, okazała się kimś, kogo w żadnym wypadku nie spodziewałby się zobaczyć w tej części świata.

— O mój Boże! — wykrzyknął Harrison. — *Monsieur Poirot!*

I rzeczywiście, był to Herkules Poirot, znany na całym świecie detektyw.

— Tak — odparł Poirot. — To właśnie ja. Wszak powiedział pan kiedyś: „Jeśli kiedykolwiek znajdzie się pan w tej części świata, proszę mnie odwiedzić”. Trzymam pana za słowo i oto jestem.

— A ja jestem zachwycony — odparł Harrison serdecznie. — Proszę usiąść. Napijemy się po kropelce.

Zapraszającym gestem wskazał stojący na werandzie stolik z butelkami do wyboru.

— Dziękuję uprzejmie. — powiedział Poirot, siadając w wiklinowym fotelu. — Czy ma pan może *sirop*? Nie? Tak myślałem. W takim razie prosiłbym o odrobinę wody sodowej. Bez whisky. — Po czym, w chwili gdy gospodarz stawiał przed nim szklaneczkę, dodał: — Mój Boże, moje wąsy zupełnie oklapły. To wszystko przez ten upał!

— Co sprowadza pana w ten cichy zakątek? — spytał Harrison, siadając w drugim fotelu. — Wakacje?

— Nie, *mon ami*, interesy.

— Interesy? Tutaj, w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu?

Poirot pokiwał poważnie głową.

— Ależ tak, przyjacielu. Wszak mało które przestępstwo zostaje popełnione w tłumie.

Gospodarz roześmiał się.

— Rzeczywiście, to była dosyć idiotyczna uwaga. Ale jakim przestępstwem zajmuje się pan tutaj? A może nie powinienem pytać?

— Ależ skąd — odparł detektyw. — Nawet chciałem, aby pan zapytał.

Harrison spojrzał na niego z zainteresowaniem. Wyczuł coś niezwykłego w zachowaniu gościa.

— A więc prowadzi pan śledztwo w sprawie jakiegoś przestępstwa? — dążył Harrison dalej, choć z pewnym wahaniem. — Czy to coś poważnego?

— Nawet bardzo.

— Chodzi panu...

— O morderstwo.

Herkules Poirot wypowiedział to słowo tonem tak ponurym, że Harrison przez dłuższą chwilę nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Detektyw patrzył mu prosto w oczy i było w tym spojrzeniu coś, przez co jego gospodarz czuł się jeszcze bardziej zakłopotany. W końcu odezwał się:

— Nie słyszałem, by w tych okolicach popełniono jakieś morderstwo.

— Nic w tym dziwnego. Nie mógł pan słyszeć.

— A kto w takim razie został zamordowany?

— Na razie — odpowiedział Poirot — nikt.

— Jak to?

— Dlatego właśnie mówiłem, że nie mógł pan o tym słyszeć. Prowadzę śledztwo w sprawie zbrodni, której jeszcze nie popełniono.

— Przecież to nonsens.

— Ależ skąd. O wiele lepiej jest wyjaśnić sprawę morderstwa, zanim jeszcze do niego dojdzie, niż po fakcie. Może da się nawet wymyślić coś, by mu zapobiec?

Harrison przyglądał mu się; wyraźnie zaszokowany.

— Pan chyba żartuje.

— Ależ nie. Mówię zupełnie poważnie.

— Naprawdę uważa pan, że ktoś tu planuje morderstwo? To przecież absurd!

Herkules Poirot dokończył zdanie zaczęte przez gospodarza, tak jakby w ogóle nie usłyszał krótkiego wykrzyknika:

— Jeśli nie uda nam się temu zapobiec. Tak, *mon ami*, właśnie o to mi chodzi.

— Nam?

— Tak, nam. Będzie mi potrzebna pańska pomoc.

— Czy dlatego pan tu przyjechał?

Poirot ponownie rzucił mu krótkie spojrzenie i ponownie coś nieokreślonego sprawiło, że Harrison poczuł się nieswojo.

— Zjawiłem się tu, *monsieur* Harrison, dlatego że... cóż, po prostu lubię pana. — Po czym dodał zupełnie innym tonem: — Widzę, *monsieur* Harrison, że ma pan w ogrodzie gniazdo os. Powinien je pan zniszczyć.

Ta nagła zmiana tematu sprawiła, że Harrison zmarszczył brwi, wyraźnie zakłopotany. Poszedł za spojrzeniem detektywa.

— Właśnie mam zamiar — odparł. — A raczej ma to zrobić młody Langton. Pamięta pan Claude'a Langtona? Był gościem na tej samej kolacji, na której poznaliśmy się. Ma przyjść dziś wieczorem, by zniszczyć to gniazdo. Jest prawdziwym specjalistą w tej dziedzinie.

— Aha! A jak się do tego zabierze?

— Za pomocą benzyny i spryskiwacza ogrodowego. Przyniesie swój własny, gdyż lepiej się do tego nadaje aniżeli mój.

— Jest jeszcze inny sposób, prawda? Cyjanek potasu.

Harrison zdziwił się nieco.

— Tak, ale to dosyć niebezpieczna zabawa. Lepiej nie trzymać tego koło domu, to zbyt ryzykowne.

Poirot pokiwał głową.

— Rzeczywiście. To śmiertelna trucizna. — Odczekał chwilę, po czym powtórzył: — Śmiertelna trucizna.

— Dość użyteczna, gdy człowiek chce się pozbyć teściowej, co? — zaśmiał się Harrison.

Jednak Herkules Poirot wcale nie wyglądał na rozbawionego.

— Czy jest pan zupełnie pewien, że *monsieur* Langton ma zamiar zniszczyć pańskie gniazdo os za pomocą benzyny?

— Ależ oczywiście. A dlaczego pan pyta?

— Zastanawia mnie to. Byłem dziś po południu w drogerii w Barchester. Kupowałem kilka rzeczy, między innymi pewną truciznę. Musiałem więc wpisać się do specjalnej książki i zauważyłem, że ostatnią osobą, która się tam wpisała, był Claude Langton.

Harrison ze zdziwieniem spojrzął na Poirota.

— To dziwne — powiedział. — Langton mówił mi kiedyś, że absolutnie nie przysłoby mu do głowy używać tego środka i że to w ogóle powinno być zakazane. Poirot pochylił się nad różami i bardzo cicho spytał:

— Czy lubi pan Langtona?

Harrison wzdrygnął się. Pytanie chyba go zaskoczyło.

— Ja... Ja... No cóż... To znaczy, lubię go. Oczywiście, że go lubię. Dlaczego nie?

— Tak się tylko zastanawiam... — odparł Poirot. Ponieważ Harrison milczał, Poirot zadał następne pytanie:

— Zastanawiam się także, czy on pana lubi?

— Do czego pan zmierza, *monsieur* Poirot? Coś panu chodzi po głowie, a ja nie mogę się połapać, co.

— Będę z panem zupełnie szczery. Jest pan zaręczony, prawda? Pańską narzeczoną jest panna Molly Deane. To bardzo piękna i czarująca osoba. Zanim zdecydowała się poślubić pana, była zaręczona z Claude'em Langtonem. Jednak porzuciła go dla pana.

Harrison skinął głową.

— Nie pytam — ciągnął detektyw — jakie były powody jej decyzji; może wystarczające. Ale powiadam panu: coś mi się zdaje, że Langton ani nie zapomniał, ani nie darował panu tego.

— Myli się pan, *monsieur* Poirot. Zaręczam, że się pan myli. Langton to sportowiec. Przyjmuje sprawy po męsku. Zachował się wobec mnie zadziwiająco przyzwoicie. Ustąpił mi z drogi i nadal jesteśmy w przyjaźni.

— I nie widzi pan w tym nic niezwykłego? Użył pan słowa „zadziwiająco”, ale nie wygląda pan na zdziwionego.

— O co panu chodzi?

— O to — odparł Poirot z jakąś nową nutą w głosie — że są ludzie, którzy potrafią ukryć swą nienawiść w oczekiwaniu odpowiedniego momentu.

— Nienawiść? — Harrison potrząsnął głową i roześmiał się.

— Anglicy są jednak wyjątkowo niemądrzy — zdenerwował się Poirot. — Wydaje im się, że mogą oszukać każdego, tylko ich nikt nie oszuka. Sportowiec... Przyzwoity człowiek... Nie są w stanie dostrzec w nim zła. A ponieważ są równie odważni, co niemądrzy, zdarza się, że umierają, choć nie muszą...

— Ostrzega mnie pan — rzekł cicho Harrison. — Teraz rozumiem... Właśnie to mnie cały czas intrygowało... Ostrzega mnie pan przed Claude'em Langtonem. Przyjechał pan tu dziś, aby mnie ostrzec...

Poirot skinął głową. Harrison zerwał się z miejsca.

— Ależ pan chyba oszalał, *monsieur* Poirot! To jest Anglia. Tutaj nie zdarzają się takie rzeczy. Porzuceni narzeczeni nie wbijają swym konkurentom noża w plecy ani nie podkładają im trucizny. I myli się pan także co do Langtona. Ten człowiek nie byłby w stanie skrzywdzić muchy.

— Nie obchodzi mnie życie much — odparł spokojnie Poirot. — Ale skoro mówi pan, że Langton nie skrzywdziłby nawet muchy, to chyba zapomniał pan, że właśnie w tej chwili przygotowuje się on do pozbawienia życia sporej liczby os.

Harrison nie od razu odpowiedział. Tym razem to mały detektyw zerwał się z miejsca. Podeszedł do Harrisona i położył mu dłoń na ramieniu. Był tak podniecony, iż niemal potrząsnął tym dużym mężczyzną, sycząc mu jednocześnie do ucha:

— Obudź się, przyjacielu! Obudź się! I spójrz... Tak, właśnie tam, na tę kulę przy korzeniu drzewa. Widzi pan osy, jak spokojnie wracają do gniazda po pracowitym dniu? A za niecałą godzinę ulegną zagładzie, choć o tym nie wiedzą. Nie ma ich kto ostrzec. Chyba nie mają swojego Herkulesa Poirot. Powiedziałem panu, *monsieur* Harrison, że zjawiłem się tu w interesie, w sprawie zawodowej. Mój zawód to zbrodnie. I to zarówno przed, jak i po ich popełnieniu. O której zjawi się *monsieur* Langton?

— Langton nigdy by...

— O której?

— O dziewiątej. Ale mówię panu, że się pan myli. Langton nigdy by...

— Ach, ci Anglicy! — wykrzyknął Poirot z pasją. Chwycił kapelusz oraz laseczkę i ruszył ścieżką do furtki. Zatrzymał się jednak na moment i rzucił przez ramię: — Nie zostanę, bo nie chcę się z panem kłócić. Tylko bym się rozzłościł. Ale rozumie pan chyba, że wrócę tu o dziewiątej?

Harrison otworzył usta, jednak Poirot nie dopuścił go do głosu.

— Wiem, co chce pan powiedzieć. „Langton nigdy by...” i tak dalej. Och, zapewne, Langton by nigdy! A jednak przyjdę tu o dziewiątej. Ależ tak! Nawet mnie to bawi. Tak! Z przyjemnością obejrzę sobie, jak się niszczy gniazda os. To jeszcze jeden z waszych narodowych sportów!

Nie czekając na odpowiedź, ruszył swoją drogą. Kiedy minąwszy skrzypiącą furtkę, znalazł się na

ulicy, jego ruchy spowolniały, podniecenie znikło, a na twarzy zagościł niepokój. Wyjął zegarek. Było dziesięć po ósmej.

— Ponad trzy kwadranse — mruknął. — Może powinienem zaczekać?

Zwolnił. Wydawało się, że zaraz wróci. Wyraźnie ogarnęło go jakieś niejasne przeczucie, lecz Poirot nie poddał mu się i dalej szedł w stronę wsi. Na jego twarzy wciąż malował się niepokój. Kilka razy potrząsnął głową, tak jak ktoś niezbyt zadowolony.

Kiedy po raz drugi zbliżał się do furtki, do dziewiątej brakowało jeszcze paru minut. Był spokojny, cichy wieczór. Łagodny wietrzyk ledwie muskał liście na drzewach. Było jednak coś złowrogiego w tym spokoju, zupełnie jak w ciszy przed burzą.

Poirot przyśpieszył kroku, choć bardzo nieznacznie. Coś go nagle zaniepokoiło, czegoś się obawiał — lecz nie wiedział czego.

W tym momencie furtka się otworzyła i na ulicę wyszedł Claude Langton. Wzdrygnął się, kiedy zauważył Poirota.

— Och... Dobry wieczór.

— Dobry wieczór, *monsieur* Langton. Przyszedł pan za wcześnie.

Langton wytrzeszczył ze zdziwienia oczy.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— Czy zlikwidował pan gniazdo os?

— Właściwie nie.

— Aha — odparł Poirot łagodnie. — A więc nie zniszczył pan gniazda... Cóż więc pan robił?

— Och, po prostu siedziałem i gawędziłem ze starym Harrisonem. Przepraszam, panie Poirot, ale bardzo się spieszę. Nie miałem pojęcia, że obraca się pan w tych stronach.

— No cóż, miałem tu pewną sprawę do załatwienia.

— Aha. Harrisona znajdzie pan na werandzie. Przepraszam, ale naprawdę bardzo się spieszę.

Popędził w swoją stronę. Poirot patrzył za nim przez chwilę. Nerwowy młody człowiek, przystojny, trochę gadatliwy...

— A więc Harrisona znajdę na tarasie — mruknął Poirot. — Ciekawe.

Minął furtkę i poszedł wąską ścieżką w stronę domu. Harrison siedział nieruchomo przy stoliku. Kiedy na tarasie pojawił się Poirot, nawet nie odwrócił głowy.

— Ach! *Mon ami* — odezwał się Poirot. — Czy wszystko w porządku?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— Co pan powiedział? — odezwał się w końcu Harrison jakimś dziwnym, stłumionym głosem.

— Pytałem, czy wszystko w porządku?

— W porządku? Tak, oczywiście. A czemu miałyby być inaczej?

— A więc nie zaszkodziło panu? To bardzo dobrze.

— Nie zaszkodziło? Ale co?

— Soda.

Harrison zerwał się z miejsca.

— Soda? O czym pan mówi?

Poirot rozłożył przepaszająco ręce.

— Jest mi niezmiernie przykro, że musiałem to zrobić, ale włożyłem panu odrobinę do kieszeni.

— Do kieszeni? A po jakiego diabła?

Poirot odpowiedział spokojnie i beznamiętnie, zupełnie jak wykładowca zniżający się do poziomu małego dziecka:

— Wie pan, jednym z plusów, a może minusów zawodu detektywa jest konieczność stykania się ze światem przestępczym. A tam można się nauczyć wielu dziwnych i interesujących rzeczy. Poznałem kiedyś pewnego kieszonkowca... zająłem się jego sprawą, gdyż zarzucono mu czyn, którego nie popełnił. Zdołałem wyciągnąć go z tarapatów. Ponieważ był mi wdzięczny, odpłacił mi się w jedyny sposób, w jaki potrafił: nauczył mnie swoich zawodowych trików.

Dzięki temu potrafię dziś przeszukać cudzą kieszeń, tak by jej właściciel niczego nie podejrzewał. Kładę dłoń na ramieniu swej ofiary i udaję bardzo podekscytowanego. Ofiara zwraca uwagę tylko na to, co mówię, a ja w tym czasie opróżniam jej kieszeń z zawartości, na której miejsce podkładam kilka kryształków sody.

Wie pan, jeśli ktoś chce szybko wyjąć truciznę i niepostrzeżenie wrzucić do szklanki, to musi ją trzymać w prawej kieszeni, nigdzie indziej. Wiedziałem, że tam jest...

Poirot wsunął rękę do swojej tym razem kieszeni i wyjął z niej kilka białych kryształków.

— Niezmiernie niebezpieczne... — mruknął pod nosem. — Żeby coś takiego nosić luzem!

Spokojnie i bez pośpiechu wyjął z drugiej kieszeni butelkę z szeroką szyjką. Wrzucił do niej kryształki, po czym podszedł do stołu i napełnił ją czystą wodą. Później zakorkował ją starannie i potrząsał tak długo, aż wszystkie kryształki rozpuściły się. Harrison przyglądał mu się, jakby zafascynowany.

Zadowolony z siebie Poirot podszedł do gniazda os. Odkorkował butelkę, wlał zawartość do gniazda, cofnął się o krok i spokojnie spojrział.

Osy, które właśnie nadleciały brzęcząc z ożywieniem, straciły impet, a po chwili znieruchomiały. Inne wypełzły z gniazda i prawie natychmiast padały martwe. Poirot przyglądał im się jakiś czas, po czym kiwnął głową i wrócił na taras.

— Szybka śmierć — powiedział. — Bardzo szybka.

— Jak dużo pan wie? — Harrison odzyskał głos.

Poirot patrzył przed siebie.

— Tak jak panu mówiłem, zauważyłem nazwisko Claude’a Langtona w książce trucizn. Nie zdradziłem panu jednak, że zaraz potem spotkałem go. Powiedział mi, że kupił cyjanek potasu na pańską prośbę. W celu zniszczenia gniazda os. Trochę mnie to zdziwiło, przyjacielu. Pamiętam, że w czasie tamtej kolacji, o której mówiliśmy, dowodził pan bezwzględnej wyższości benzyny jako trucizny na owady, natomiast używanie cyjanku uważał pan za niebezpieczne i zbyteczne.

— Słucham dalej.

— Wiedziałem także o czymś innym. Któregoś dnia widziałem Claude’a Langtona i Molly Deane, kiedy byli przekonani, że nikt ich nie widzi. Nie wiem, czego dotyczyła kłótnia, która spowodowała ich rozstanie i w wyniku której panna Deane trafiła w pańskie ramiona. Widać jednak było, że nieporozumienie zostało zażegnane, zaś panna Deane wróciła do swego ukochanego.

— Słucham dalej.

— Jeszcze jedno, przyjacielu. Pewnego dnia, idąc Harley Street*, zobaczyłem, jak wychodzi pan z domu pewnego lekarza. Znam go i wiem, na jakie choroby cierpią jego pacjenci... Widziałem też wyraz pańskiej twarzy. Podobny, zdarzyło mi się widzieć tylko raz czy dwa w całym życiu, ale nie pomylę go z żadnym innym. To wyraz twarzy człowieka, na którego właśnie wydano wyrok śmierci. Nie mylę się, prawda?

— Nie. Dał mi jeszcze dwa miesiące.

— Nie zauważył mnie pan, przyjacielu, gdyż miał pan zbyt wiele rzeczy do przemyślenia. Zobaczyłem w pańskiej twarzy coś jeszcze... to, co jak panu dziś mówiłem, ludzie starają się zwykle ukryć. Zobaczyłem nienawiść. Pan się nie trudził z ukrywaniem, gdyż był pan przekonany, że nikt pana nie obserwuje.

— Słucham dalej..

— Nie mam zbyt wiele do dodania. Przyjechałem tu, zobaczyłem nazwisko Langtona w książce trucizn, spotkałem go i zjawiłem się u pana. Przystąpiłem do zastawiania sideł. Zaprzeczył pan, jakoby Langton kupił cyjanek na pańską prośbę, a nawet wyraził pan zdziwienie, że w ogóle to zrobił. Początkowo zaniepokoiło pana moje przybycie, lecz szybko zrozumiał pan, że moja obecność może okazać się przydatna. Dlatego starał się pan, abym nabrał jak najwięcej podejrzeń. Od samego Langtona wiedziałem, że ma się tu zjawić o wpół do dziewiątej. Pan natomiast poinformował mnie, że o dziewiątej. Miał pan nadzieję, że zjawię się, gdy już będzie po wszystkim...

— Po co pan tu przyjechał?! — krzyknął Harrison. — Gdyby nie to...

Poirot wyprostował się.

— Mówiłem już panu, że morderstwo interesuje mnie zarówno po jego popełnieniu, jak i przed.

— Morderstwo? Chyba chciał pan powiedzieć „samobójstwo”.

— Nie. — Głos Poirota brzmiał teraz ostro i dobitnie. — Właśnie morderstwo. Pańska śmierć byłaby szybka i bezbolesna, lecz ta, którą przewidział pan dla Langtona, miała być najgorszą, jaka może spotkać człowieka. To on kupił truciznę, on pana odwiedził i to on był tu z panem sam na sam. Miał pan umrzeć nagle, a w pańskiej szklance miał zostać znaleziony cyjanek. To musiało zaprowadzić Claude’a Langtona na stryczek. I taki właśnie był pański plan.

— Po co pan przyjechał... — jęknął ponownie Harrison. — Po co w ogóle pan tu przyjechał?

— Już panu mówiłem. Ale jest jeszcze jeden powód. Po prostu lubię pana. Niech pan mnie wysłucha, *mon ami*. Jest pan umierający, stracił pan dziewczynę, którą kochał, lecz nie został pan przecież mordercą. Niech się pan zastanowi i powie: cieszy się pan czy też martwi, że przyjechałem?

Zapadła chwila ciszy, po czym Harrison wstał. Na jego twarzy pojawiło się coś nowego: pełne godności spojrzenie człowieka, który pokonał niegodziwą stronę swego „ja”. Wyciągnął do Poirota rękę.

— Dzięki Bogu, że się pan zjawił — powiedział. — Dzięki Bogu!

Tragedia w Marsdon Manor

Musiałem na kilka dni opuścić miasto, a kiedy wróciłem, zastałem Poirota zapinającego paski niewielkiej walizki.

— *Ř la bonne heure**, Hastingsie. Bałem się, że nie zdążysz wrócić na czas i stracisz możliwość towarzyszenia mi.

— Dostałeś jakąś nową sprawę?

— Tak, chociaż muszę przyznać, że w świetle tego, co wiem, nie wygląda obiecująco. Towarzystwo Ubezpieczeniowe Northern Union poprosiło mnie o zbadanie sprawy śmierci niejakiego pana Maltraversa, który kilka tygodni temu ubezpieczył się u nich na życie na sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów.

— I? — spytałem, bardzo zaciekawiony..

— Oczywiście w polisie zawarto klauzulę dotyczącą samobójstwa. Jeśli klient odbierze sobie życie w ciągu roku od zawarcia umowy, odszkodowanie nie zostanie wypłacone. Pan Maltravers został zbadany przez lekarza Towarzystwa i chociaż najlepsze lata miał już za sobą, uznano go za wystarczająco zdrowego, by umowa mogła zostać zawarta. Jednak w ostatnią środę, czyli przedwczoraj, znaleziono ciało pana Maltraversa na terenie jego posiadłości w Essex. Stwierdzono, że przyczyną śmierci był jakiś krwotok wewnętrzny. Nie byłoby w tym wszystkim nic nadzwyczajnego, gdyby nie krążące od pewnego czasu plotki na temat trudnej sytuacji finansowej pana Maltraversa. Towarzystwo Northern Union postanowiło je sprawdzić i stwierdziło ponad wszelką wątpliwość, że zmarły stał na skraju bankructwa. A to zdecydowanie zmienia postać rzeczy. Maltravers miał młodą, piękną żonę i można by wysnuć wniosek, że zebrał wszelkie dostępne fundusze, aby opłacić polisę ubezpieczeniową, a następnie popełnić samobójstwo i zapewnić małżonce spokojną przyszłość. Takie rzeczy się zdarzają. W każdym razie mój przyjaciel Alfred Wright, dyrektor Northern Union, poprosił mnie, abym zbadał tę sprawę. Ja jednak nie mam zbyt wielkiej nadziei na sukces i uprzedziłem go o tym. Gdyby przyczyną śmierci był atak serca, byłbym nastawiony bardziej optymistycznie. „Atak serca” na akcie zgonu często oznacza, że miejscowy konował nie ma bladego pojęcia, na co mu pacjent umarł. Natomiast „krwotok wewnętrzny” to coś znacznie konkretniejszego. Niemniej jednak musimy dowiedzieć się jeszcze paru rzeczy. Masz pięć minut na spakowanie się i bierzemy taksówkę na dworzec Liverpool Street.

Mniej więcej godzinę później wysiedliśmy z pociągu na niewielkiej stacji Marsdon Leigh. Już po chwili udało się nam dowiedzieć, że od posiadłości Marsdon Manor dzieliła nas mniej więcej mila drogi. Poirot zdecydował, że pójdziemy na piechotę, wyszliśmy więc ze stacji i ruszyliśmy główną ulicą.

— Jakie mamy plany? — spytałem.

— Najpierw odwiedzimy lekarza. Ustaliłem, że w Marsdon jest tylko jeden lekarz, doktor Ralph Bernard. Ach, oto i jego dom.

Dom, o którym mówił Poirot, był niedużą, lecz elegancką willą, cofniętą nieco w stosunku do ulicy. Na furtce wisiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem doktora.

Okazało się, że mieliśmy szczęście. Były to akurat godziny przyjęć, ale w tym momencie nie czekał żaden pacjent. Doktor Bernard okazał się lekko przygarbionym starszym człowiekiem o miłych manierach.

Poirot przedstawił się i wyjaśnił powód naszej wizyty, dodając, że obowiązkiem każdego towarzystwa ubezpieczeniowego jest dokładne zbadanie takiej sprawy.

— Ależ oczywiście — odparł doktor Bernard. — Przypuszczam, że ponieważ pan Maltravers był bogatym człowiekiem, jego życie było ubezpieczone na bardzo wysoką sumę?

— Uważa pan pana Maltraversa za bogatego człowieka?

Doktor wyglądał na zdziwionego tym pytaniem.

— A pan nie? Miał przecież dwa samochody, a Marsdon Manor to piękna posiadłość... choć, o ile wiem, kupił ją wyjątkowo tanio.

— Lecz jeśli się nie mylę, poniósł ostatnio poważne straty — odparł Poirot, obserwując uważnie doktora.

Ten jednak pokiwał tylko ze smutkiem głową i powiedział:

— Naprawdę? W takim razie jego żona miała sporo szczęścia, że wykupił tę polisę. To piękne i bardzo urocze stworzenie. Śmierć męża całkiem wytrąciła ją z równowagi. Biedactwo jest dosłownie kłębkim nerwów. Starałem się jak najbardziej ją oszczędzać, ale szok i tak był ogromny.

— Czy opiekował się pan ostatnio panem Maltraversem?

— Drogi panie, nigdy się nim nie opiekowałem.

— Jak to?

— Z tego, co wiem, był scientystą. Uważał, że choroby pokonuje się wiarą.

— Ale zbadał pan ciało?

— Oczywiście. Sprowadził mnie jeden z ogrodników.

— I nie miał pan żadnych wątpliwości co do przyczyny zgonu?

— Absolutnie żadnych. Na ustach denata znajdowały się ślady krwi, jednak krwawienie było

głównie wewnętrzne.

— Czy wciąż leżał tam, gdzie go znaleziono?

— Tak, nikt go nie ruszał. Leżał na skraju niewielkiego pola. Na pewno wyszedł postrzelać do gawronów, gdyż obok znaleziono strzelbę do polowań na ptaki. Krwotok musiał nastąpić nagle. Wrzód żołądka, ponad wszelką wątpliwość.

— Czy na pewno nie został zastrzelony?

— Ależ drogi panie!

— Proszę mi wybaczyć — odparł Poirot pokornie. — Ale jeśli mnie pamięć nie myli, nie tak dawno miał miejsce wypadek, kiedy to lekarz początkowo stwierdził atak serca, a dopiero gdy posterunkowy wskazał na ranę postrzałową głowy, zmienił swe orzeczenie.

— Na ciele pana Maltraversa nie ma żadnych ran postrzałowych — odrzekł doktor oschle. — A teraz, panowie, jeżeli nie macie już więcej pytań...

Zrozumieliśmy.

— Życzymy miłego dnia, doktorze. Dziękujemy, że był pan tak uprzejmy i zechciał odpowiedzieć na nasze pytania. — Aha, jeszcze jedno... Czy pana zdaniem nie należało przeprowadzić sekcji zwłok?

— Oczywiście, że nie. — Doktor zdawał się bliski apopleksji. — Przyczyna zgonu była jasna, a my, lekarze, uważamy, że narażanie rodziny zmarłego na dodatkowy stres jest niestosowne. I zatrzaskał nam drzwi przed nosem.

— Ciekaw jestem, Hastingsie, co też myślisz o doktorze Bernardzie — odezwał się Poirot, gdy ruszyliśmy w stronę posiadłości.

— Myślę, że to stary osioł.

— Dokładnie tak. Twoje sądy o ludziach są zawsze niezwykle trafne, mój drogi.

Spojrzałem na niego niepewnie, ale wydawało się, że mówi śmiertelnie poważnie. Po chwili jednak w jego oku pojawił się znajomy błysk i dodał chytrze:

— A przynajmniej wtedy, gdy w grę nie wchodzi piękna kobieta.

Spojrzałem na niego oziębło.

Drzwi otworzyła nam pokojówka w średnim wieku. Poirot wręczył jej wizytówkę oraz list od towarzystwa ubezpieczeniowego do pani Maltravers. Służąca wprowadziła nas do niewielkiego pokoju i oddaliła się, aby zawiadomić panią. Minęło mniej więcej dziesięć minut, wreszcie drzwi otworzyły się i w progu stanęła smukła kobieta w żałobie.

— *Monsieur* Poirot? — odezwała się drżącym głosem.

— *Madame!* — Poirot zerwał się z miejsca i pospieszył ku niej.— Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo mi przykro, że muszę panią niepokoić. Lecz cóż począć? *Les affaires...** One nie znają litości.

Pani Maltravers pozwoliła mu podprowadzić się do krzesła. Jej oczy były czerwone od płaczu, ale to chwilowe zeszpecenie nie mogło przysłonić jej nadzwyczajnej urody. Mogła mieć dwadzieścia siedem albo osiem lat, była bardzo jasną blondynką o wielkich niebieskich oczach i ślicznych wydatnych ustach.

— To coś związanego z ubezpieczeniem mojego męża, prawda? Czy jednak musicie panowie nachodzić mnie już teraz? Tak szybko?

— Odwagi, droga pani. Odwagi! Widzi pani, pan Maltravers ubezpieczył się na dosyć poważną sumę. W takich przypadkach firma ubezpieczeniowa musi sprawdzić kilka szczegółów. Dyrekcja Towarzystwa Northern Union upoważniła mnie do działania w swoim imieniu. Może mi pani wierzyć, że zrobię wszystko, aby przeprowadzić niezbędne czynności w sposób jak najmniej uciążliwy. Czy zechce mi pani krótko opowiedzieć o tych smutnych wydarzeniach ostatniej środy?

— Właśnie przebierałam się do podwieczorku, kiedy weszła moja pokojówka... Powiedziała, że przybiegł jeden z ogrodników. Że znalazł...

Głos pani Maltravers zadrżał. Poirot ze współczuciem ścisnął jej dłoń.

— Rozumiem. Wystarczy! Czy wcześniej tego dnia widziała pani swego męża?

— Przed lunchem. Później już nie. Udałam się do wsi po znaczki, a mąż, jeśli się nie mylę, kręcił się trochę po posiadłości.

— Strzelał do gawronów, prawda?

— Tak, zwykle rzeczywiście zabiera strzelbę i słyszałam z daleka jeden czy dwa strzały.

— A gdzie jest teraz ta strzelba?

— Chyba w holu.

Wyszła z pokoju. Po chwili wróciła, niosąc broń. Wręczyła ją Poirotowi, a ten zaczął oglądać ją z zainteresowaniem.

— Rzeczywiście, oddano dwa strzały — powiedział, zwracając broń pani Maltravers. — A teraz, gdybym mógł zobaczyć...

Przerwał taktownie.

— Służąca pana zaprowadzi — mruknęła pani Maltravers, odwracając głowę.

Wezwana pokojówka poprowadziła Poirota na górę. Zostałem sam z tą piękną, nieszczęśliwą kobietą. Nie wiedziałem, czy mam coś powiedzieć, czy raczej milczeć. Wygłosiłem jedną czy dwie refleksje, na które odpowiedziała machinalnie. Po kilku minutach wrócił Poirot.

— Dziękujemy, że była pani tak uprzejma i zechciała nam pomóc. Myślę, że nie będziemy już musieli niepokoić pani w związku z tą smutną sprawą. Aha, jeszcze jedno. Czy wie pani coś o sytuacji finansowej swego męża?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Zupełnie nic. W ogóle nie mam głowy do interesów.

— Rozumiem. A więc nie potrafi nam pani powiedzieć, dlaczego pan Maltravers tak nagle postanowił ubezpieczyć się na życie? O ile wiem, nigdy wcześniej tego nie robił?

— Cóż, byliśmy małżeństwem niewiele ponad rok. Ale jeśli chodzi o ubezpieczenie, to mąż zdecydował się na nie, ponieważ był przekonany, że już długo nie żyje. Miał silne przeczucie śmierci. Widocznie przeszedł już kiedyś krwotok i wiedział, że następny skończy się śmiercią. Próbowałam rozproszyć te jego ponure obawy, lecz bez rezultatu. No i okazało się, że miał rację...

Pożegnała się z nami wprawdzie ze łzami w oczach, ale z godnością. Kiedy wyszliśmy, Poirot zrobił charakterystyczny gest i powiedział:

— *Eh bien*, to wszystko! Wracamy do Londynu, mój drogi. Wydaje mi się, że w tej dziurze nie ma myszy. Chociaż...

— Chociaż co?

— Jest w tej sprawie jedna drobna sprzeczność... Zwróciłeś na nią uwagę? Nie? Ale cóż, życie obfituje w sprzeczności, a nie ulega wątpliwości, że pan Maltravers nie popełnił samobójstwa. Nie ma takiej trucizny, która powoduje krwotok. Nie, nie. Muszę pogodzić się z faktem, że wszystko w tej sprawie jest w porządku... Ale zaraz... Któż to taki?

W naszą stronę szedł młody, wysoki mężczyzna. Minął nas bez słowa, lecz zdążyłem zauważyć, że wyglądał zdrowo, a patrząc na jego ciemną opaleniznę można było odnieść wrażenie, że spędził wiele lat w klimacie tropikalnym. Ogrodnik, który zamiatał liście, przerwał na chwilę swą pracę. Poirot podszedł do niego szybko.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim jest ten dżentelmen? Czy zna go pan?

— Nie pamiętam jego nazwiska, proszę pana, chociaż słyszałem je już kiedyś. W zeszłym tygodniu zatrzymał się tu na jedną noc. To było we wtorek.

— Szybko, *mon ami*, idziemy za nim. Pospieszaliśmy za oddalającym się mężczyzną.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na sylwetkę w czerni na tarasie, nasz obiekt skręcił, a my za nim, tak że byliśmy świadkami spotkania.

Na widok przybysza pani Maltravers dosłownie się zachwiała, a jej twarz wyraźnie pobladła.

— To ty? — szepnęła. — Myślałam, że jesteś na morzu, w drodze do Afryki.

— Dostałem od swego adwokata wiadomość, która mnie zatrzymała — wyjaśnił młody człowiek. — Mój wuj w Szkocji zmarł nagle i zostawił mi pewną sumę pieniędzy. Pomyślałem, że w tej sytuacji lepiej będzie, jeśli odwołam swą podróż. A później przeczytałem tę smutną wiadomość w gazecie. Postanowiłem przyjechać i sprawdzić, czy nie mógłbym w czymś pomóc. Może będzie ci potrzebny ktoś, kto dopilnuje wszystkich spraw?

W tym momencie zdali sobie sprawę z naszej obecności. Poirot zrobił krok w ich stronę i wielokrotnie powtarzając słowa przeprosin, wyjaśnił, że zapomniał laseczki. Raczej niechętnie, jak zauważyłem, pani Maltravers przedstawiła nas przybyszowi.

— *Monsieur* Poirot... Kapitan Black.

W trakcie kilkuminutowej rozmowy Poirot zdołał się zorientować, że kapitan Black zatrzymał się w zajezdzie „Kotwica”. Pozostawiona laseczka nie znalazła się (co nie było niespodzianką), Poirot wyrzucił więc z siebie kolejną porcję przeprosin, po czym wycofaliśmy się.

Szybkim krokiem wróciliśmy do wioski, gdzie odnaleźliśmy „Kotwicę”.

— Tutaj się zainstalujemy do powrotu kapitana — powiedział. — Czy zwróciłeś uwagę na moje podkreślenie, że wracamy do Londynu pierwszym pociągiem? Może naprawdę podejrzewałeś mnie o taki zamiar? Lecz nie... chyba dostrzegłeś, jaką minę zrobiła pani Maltravers na widok tego młodego Blacka? Po prostu zamurowało, zaś on... *eh bien*, wydawał się bardzo jej oddany... Czy nie odniosłeś takiego właśnie wrażenia? A spędził tu przecież wtorkową noc, ostatnią noc pana Maltraversa. Musimy sprawdzić poczynania kapitana Blacka, Hastingsie.

Mniej więcej pół godziny później zobaczyliśmy, że nasz obiekt zbliża się do zajazdu. Poirot wyszedł na dwór i po chwili wprowadził kapitana do wynajętego przez nas pokoju.

— Opowiedziałem panu kapitanowi o misji, która nas tu przywiodła — wyjaśnił. — Rozumie pan, *monsieur le capitaine*, że niezmiernie pragnąłbym zorientować się, jaki był stan ducha pana Maltraversa w momencie śmierci, a jednocześnie nie chcę sprawiać bólu jego pogrążonej w żałobie żonie, zadając jej zbyt wiele pytań. A pan przecież był tutaj tuż przed tragedią, więc także może udzielić nam cennych informacji.

— Chętnie uczynię wszystko, by panom pomóc — odparł młody żołnierz — ale tak się składa, że nie zauważyłem nic szczególnego. Wie pan, choć pan Maltravers był bliskim przyjacielem moich rodziców, ja znałem go bardzo słabo.

— A kiedy dokładnie pan przyjechał?

— We wtorek po południu. Wcześniej rano w środę pojechałem do miasta, gdyż mój statek odpływał z Tilbury około dwunastej. Lecz otrzymałem wiadomość, która sprawiła, że zmieniłem plany, jak zresztą, ośmielę się zauważyć, miał już pan okazję słyszeć.

— Rozumiem, że zamierzał pan wrócić do Afryki Wschodniej?

— Tak. Mieszkam tam od wojny... To wspaniały kraj.

— Rzeczywiście. Czy pamięta pan, o czym była mowa w trakcie wtorkowej kolacji?

— Och, sam nie wiem. Zwykle tematy. Maltravers wypytywał o moich rodziców, później dyskutowaliśmy problem niemieckich reparacji wojennych, a później pani Maltravers zadała mi całe dziesiątki pytań dotyczących Afryki Wschodniej. W końcu opowiedziałem im jedną czy dwie niestworzone historie... i to chyba wszystko.

— Dziękuję.

Poirot milczał przez chwilę, po czym odezwał się cicho:

— Za pańskim pozwoleniem, kapitanie, chciałbym przeprowadzić mały eksperyment. Powiedział nam pan to, co zapamiętała pańska świadomość, zaś teraz chciałbym zadać kilka pytań pańskiej podświadomości.

— Ma pan na myśli psychoanalizę? — spytał Black, wyraźnie przerażony.

— Ależ skąd — odparł Poirot uspokajająco. — To po prostu coś takiego: ja mówię jakieś słowo, a pan odpowiada na to innym; pierwszym słowem, które przyjdzie panu na myśl. I tak w kółko... Możemy zaczynać?

— Dobrze — zgodził się Black, choć nie wyglądał na zadowolonego.

— Hastingsie, notuj słowa, dobrze? — poprosił Poirot, po czym wyjął z kiszeni swoją cebulę i położył ją na stole przed sobą. — A więc, zaczynamy: Dzień?

Po chwili ciszy Black odpowiedział:

— Noc.

Później już odpowiadał znacznie szybciej.

— Nazwa? — rzucił Poirot.

— Miejsce.

— Bernard?

— Shaw.

— Wtorek?

— Kolacja.

— Podróż?

— Statek.

— Państwo?

— Uganda.

— Opowieść?

— Lwy.

— Strzelba?

— Farma.

— Strzał?

— Samobójstwo.

— Słoń?

— Kły.

— Pieniądze?

— Prawnicy.

— Dziękuję panu, kapitanie. Czy zechce pan poświęcić nam jeszcze parę minut za jakieś pół godziny?

— Ależ oczywiście. — Młody oficer patrzył na Poirota z zainteresowaniem. Kiedy wstawał, otarł czoło z potu.

— Teraz, Hastingsie — powiedział Poirot, uśmiechając się do mnie, kiedy tylko za Blackiem zamknęły się drzwi — chyba wszystko jest już jasne. Prawda?

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Czy ta lista słów nic ci nie mówi? Przyjrzałem się jej uważnie, ale zmuszony byłem potrząsnąć przecząco głową.

— Pomogę ci. A więc, przede wszystkim, Black udzielał odpowiedzi w normalnym czasie, bez zbyt długich przerw, dlatego możemy przyjąć, że sam nie ma nic do ukrycia. Odpowiedź „noc” na „dzień” oraz „miejsce” na „nazwę” to zwykłe skojarzenia.

Właściwe badanie zacząłem od „Bernarda”, gdyż mogło to kojarzyć się z miejscowym lekarzem, o

ile Black w ogóle się z nim zetknął. Ale widocznie tak nie było. Wynikiem naszej wcześniejszej rozmowy była odpowiedź „kolacja” na „wtorek”. Jednak na „podróż” oraz „państwo”, Black odpowiedział „statek” i „Uganda”, dzięki czemu mam pewność, że podróż za granicę była dla niego ważniejsza niż ta, która go tu sprowadziła. „Opowieść” kojarzy mu się zjedną z historii, którymi zabawiał towarzystwo we wtorkowy wieczór. Kiedy powiedziałem „strzelba”, on niespodziewanie odpowiedział słowem „farma”. Natomiast na „strzał” zareagował „samobójstwo”. Skojarzenie wydaje się oczywiste. Jakiś jego znajomy musiał za pomocą strzelby popełnić samobójstwo na jakiejś farmie. Pamiętaj też, że przez cały czas tkwią mu w głowie historie, które opowiadał przy kolacji. Więc chyba przyznasz teraz, że nie popełnię błędu, jeśli poproszę kapitana Blacka o powtórzenie nam tej samej historii o samobójstwie, którą opowiadał we wtorek wieczorem.

I rzeczywiście, Black potwierdził przypuszczenia Poirota:

— Tak, opowiadałem im taką historię. To prawda. Pewien facet zastrzelił się na swej farmie. Zrobił to strzelbą do polowań na ptaki. Strzelił sobie w głowę przez podniebienie. Kula utkwiała w mózgu, a lekarze nieźle się nabiedzili, zanim zdołali dojść przyczyny śmierci. Nie było żadnych śladów, poza niewielką ilością krwi na ustach. Ale co...

— Co to ma wspólnego z panem Maltraversem? Pewnie pan nie wie, że przy jego ciele leżała właśnie taka strzelba.

— Myśli pan, że ta historia zasugerowała mu...?! Ależ to straszne!

— Proszę nie robić sobie wyrzutów. To i tak by się stało — nie w ten sposób, to w inny. Cóż, chyba powinienem zatelefonować do Londynu.

Poirot przeprowadził długą rozmowę, po czym wrócił, bardzo zamyślony. Jeszcze tego samego popołudnia odbył samotny spacer. Gdzieś przed siódmą oznajmił, że nie może dłużej zwlekać, i musi czym prędzej poinformować młodą wdowę o wynikach dochodzenia. Zrobiło mi się jej niesłychanie żal. Miała przecież zostać bez grosza przy duszy i to wiedząc, że jej mąż popełnił samobójstwo, aby zapewnić jej bezpieczną przyszłość. To zaiste cios trudny do zniesienia! Głęboko ukrywałem nadzieję, że może młody Black będzie w stanie pocieszyć nieszczęsną dziewczynę, kiedy minie już największa rozpacz. Przecież wyraźnie ją uwielbiał.

Rozmowa z panią Maltravers okazała się bardzo nieprzyjemna. Najpierw bardzo długo nie chciała uwierzyć faktom, które przedstawił Poirot, a później, kiedy wreszcie dała się przekonać, zaniósł się gorzkim płaczem. Oględziny zwłok zmieniły nasze podejrzenia w pewność. Poirot bardzo współczuł pani Maltravers, lecz cóż mógł poradzić? Pracował przecież dla Towarzystwa Northern Union! Kiedy już zbieraliśmy się do wyjścia, odezwał się łagodnie:

— *Madame!* Należy pani do osób, które dobrze wiedzą, że umarłych nie ma!

— Co pan ma na myśli? — spytała drżącym głosem. Jej oczy przez moment były wielkie jak spodki.

— Czy nigdy nie brała pani udziału w seansach spirytystycznych? Chyba zdaje pani sobie sprawę

ze swych właściwości mediumistycznych?

— Rzeczywiście. Mówiono mi o nich. Ale pan nie wierzy w spirytyzm, prawda?

— Droga pani, widziałem w życiu tyle dziwnych rzeczy... Wie pani... we wsi mówią, że w tym domu straszy.

Pani Maltravers skinęła głową i w tym momencie weszła pokojówka z informacją, że kolacja gotowa.

— Może zechcą panowie zostać i coś zjeść?

Zgodziliśmy się chętnie. Wydawało mi się, że nasza obecność może choć na chwilę oderwać młodą wdowę od jej smutków.

Właśnie kończyliśmy zupę, kiedy za drzwiami rozległ się krzyk oraz odgłos tłuczonej porcelany. Zerwaliśmy się z miejsc. W drzwiach stanęła pokojówka. Przykładała sobie rękę do serca.

— Jakiś mężczyzna... W korytarzu...

Poirot wybiegł, aby po chwili wrócić i oznajmić:

— Nikogo tam nie ma.

— Naprawdę, proszę pana? — spytała służąca słabym głosem. — Boże! Ależ się przestraszyłam!

— Ale czego?

— Myślałam... — zniżyła głos do szeptu. — Myślałam, że to pan... Był taki podobny...

Zauważyłem przerażenie na twarzy pani Maltravers. Przypomniał mi się stary przesąd, według którego dusza samobójcy nigdy nie zazna spokoju. Pani Maltravers musiała pomyśleć o tym samym, gdyż dosłownie chwilę później ścisnęła ramię Poirota i krzyknęła:

— Nie słyszał pan ich? Tych trzech stuknięć w okno? On zawsze gdy przechodził koło domu, stukał w okno właśnie w taki sposób.

— To bluszcz — starałem się ją uspokoić. — To tylko wiatr tłucze bluszczem o szybę.

Ale wszystkich nas ogarnął jakiś dziwny niepokój. Pokojówka była wyraźnie wytrącona z równowagi, a kiedy skończyliśmy kolację, pani Maltravers poprosiła Poirota, abyśmy jeszcze nie wychodzili. Wyraźnie bała się zostać sama. Siedzieliśmy w małym salonie. Wiatr wiał coraz mocniej, wyjąc, gwizdząc i wprowadzając nastrój grozy. Drzwi do salonu dwukrotnie otworzyły się, skrzypiąc złowrogo, a pani Maltravers za każdym razem ścisnęła mnie za ramię, wstrzymując oddech z przerażenia. Za trzecim razem Poirot nie wytrzymał i krzyknął:

— Ach, te drzwi! Są chyba zaczarowane! Zamknę je na zamek!

— Niech pan tego nie robi! — syknęła. — Gdyby się teraz otw...

I właśnie kiedy to mówiła, niemożliwe stało się faktem. Zamknięte na zamek drzwi otworzyły się powoli. Z miejsca, w którym siedziałem, nie było widać korytarza, za to pani Maltravers oraz Poirot mieli go dokładnie przed sobą. Kobieta wydała okrzyk przerażenia i zwróciła się w stronę Poirota.

— Widział go pan? Tam, w korytarzu! Herkules Poirot spojrział na nią zdziwiony i pokręcił głową.

— Widziałam go! Mojego męża! I pan też musiał go widzieć!

— Ależ, *madame*, naprawdę nikogo tam nie ma. Pani jest bardzo przemęczona i wytrącona z równowagi...

— Nic mi nie jest! Ja... O Boże!

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, światło zamigotało i zgasło. Z ciemności dobiegły nas trzy głośne stuknięcia. Rozległ się jęk przerażenia pani Maltravers.

I wtedy... Ja też zobaczyłem!

Człowiek, którego przedtem widziałem leżącego na łóżku na piętrze, stał przed nami, jarząc się upiornym blaskiem. Na jego ustach widać było krew, a prawą rękę trzymał wyciągniętą. Nagle ta dłoń rozblęśla jasnym światłem. Przesunęła się najpierw nade mną, później nad Poirotem, w końcu opadła nad panią Maltravers. Zobaczyłem jej bladą, przerażoną twarz... i jeszcze coś!

— Mój Boże! Poirot! — wrzasnąłem. — Spójrz na jej dłoń! Na prawą dłoń! Jest cała czerwona!

Ona spojrzała również i padła jak kłoda na podłogę.

— Krew! — krzyknęła histerycznie. — Tak, to krew! Zabiłam go! Tak, zrobiłam to! Pokazywał mi, a później położyłam palec na spuście, i przycisnęłam. Zabierzcie go ode mnie! Zabierzcie! On wrócił!

Jej głos zmienił się w bełkot.

— Światło! — zawołał Poirot.

Zapaliło się natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— To nam wystarczy — mówił dalej Poirot. — Słyszałeś, Hastingsie? Pan także, Everett? A właśnie! To jest pan Everett, wybitny i ceniony aktor. Zatelefonowałem do niego dziś po południu. Dobra charakteryzacja, nieprawdaż? Wygląda zupełnie jak nieboszczyk, a z latarką i konieczną fosforescencją zrobił odpowiednie wrażenie. Na twoim miejscu, Hastingsie, nie dotykałbym jej prawej ręki. Czerwona farba jest trudna do usunięcia. Kiedy światło zgasło, ścisnąłem panią Maltravers za rękę. Cóż, musimy się pośpieszyć, bo ucieknie nam pociąg. Inspektor Japp czeka za oknem. Paskudna noc, ale inspektor skracał sobie oczekiwanie, stukając od czasu do czasu w okno.

— Wiesz, przyjacielu — tłumaczył dalej Poirot, kiedy szliśmy na stację, zmagając się z deszczem i wiatrem — od początku było w tej sprawie coś, co mi się nie podobało. Doktor twierdził, że denat był scientystą, oni zwalczają choroby jedynie wiarą. A kto mógł podsunąć mu taki pomysł, jeśli nie pani Maltravers? Ale nam z kolei mówiła, że mąż bardzo obawiał się o stan swego zdrowia. Poza tym, dlaczego tak bardzo wyprowadził ją z równowagi powrót młodego Blacka? No i wreszcie ostatnia rzecz. Wiem, że szanująca się kobieta musi przynajmniej stwarzać pozory wielkiego żalu po stracie męża. Jednak nie czepiałbym się makijażu, nawet tak grubo umalowanych powiek. Nie zauważyłeś? Naprawdę? No tak, jak zwykle nic nie widzisz!

Ale nieważne. Były tylko dwie możliwości. Albo historia opowiedziana przez Blacka podsunęła panu Maltraversowi pomysł genialnego samobójstwa, albo jego żona obmyśliła dzięki niej równie genialne morderstwo. Skłaniałbym się do tej drugiej możliwości. Aby zastrzelić się w sposób, o którym mowa, pan Maltravers musiałby chyba przycisnąć spust palcem nogi. Przynajmniej tak mi się wydaje. A gdyby znaleziono go bez jednego buta, z całą pewnością ktoś by nam o tym powiedział. Taki dziwny szczegół musiałby komuś utkwąć w pamięci.

A więc, tak jak mówię, przychyliłem się do hipotezy, że było to morderstwo, a nie samobójstwo. Jednak dobrze wiedziałem, że nie mam nawet cienia dowodu. I dlatego wymyśliłem tę komedijkę, której byłeś świadkiem.

— Jednak nawet teraz nie do końca rozumiem szczegóły samego morderstwa — przyznałem się.

— Zacznijmy od początku. A więc, mamy przebiegłą kobietę, która zdaje sobie sprawę z pogłębiających się problemów finansowych męża. Poza tym ma już dość małżeństwa ze starszym człowiekiem, którego poślubiła tylko dla pieniędzy. Skłania go zatem do ubezpieczenia się na życie na wielką sumę, a później zaczyna szukać sposobu zrealizowania celu. Czysty przypadek podsuwa jej odpowiedni pomysł — chodzi oczywiście o opowieść młodego żołnierza. Następnego ranka, gdy *monsieur* płynie już, jak się wydaje, w kierunku dalekiej Afryki, udaje się z mężem na dłuższy spacer po posiadłości. „Ależ przedziwną historię opowiedział wczoraj kapitan Black! — mówi w pewnym momencie. — Czy rzeczywiście można w taki sposób popełnić samobójstwo? Pokaż mi, czy to w ogóle możliwe.” A ten biedny głupiec zgadza się na to! Wkłada sobie lufę strzelby do ust. Ona zaś ze śmiechem schyla się i kładzie palec na spuście. „A teraz, mój drogi — mówi z szelmowskim uśmiechem — założmy, że pociągnę za spust. Co wtedy będzie?”

I wtedy... wtedy, Hastingsie — robi to!

Podwójny ślad

— Ale przede wszystkim — żadnego rozgłosu — powtórzył Marcus Hardman chyba czternasty już raz. Słowo „rozgłos” przewijało się przez całą rozmowę jak swoisty motyw przewodni. Pan Hardman, niewysoki, dość pulchny mężczyzna o bardzo wypiełgnowanych dłoniach oraz płaczkliwym, wysokim głosem, miał opinię jednostki wyjątkowej, a wytworne życie było jego profesją. Bogaty, choć nie nadzwyczajnie, gorliwie wydawał pieniądze na radości życia towarzyskiego. Jego hobby było zbieractwo. Miał duszę kolekcjonera. Stare koronki, wachlarze, antyczna biżuteria — tylko takie rzeczy interesowały Marcusa Hardmana, broń Boże nie nowoczesnego czy niestarannie wykończonego.

Poirot i ja zjawiliśmy się u Hardmana pilnie wezwani, aby zastać go wijącego się w męce niezdecydowania. W tych okolicznościach wezwanie policji wydawało mu się czymś ohydny. Z drugiej jednak strony, rezygnacja z jej usług musiała oznaczać pogodzenie się z utratą pewnej liczby klejnotów z kolekcji. Wybór Poirota uznał za rozsądny kompromis.

— Moje rubiny, *monsieur* Poirot! I szmaragdowy naszyjnik! Mówi się, że należał do Katarzyny Medycejskiej! Och, mój szmaragdowy naszyjnik!

— Czy zechce pan przedstawić nam okoliczności ich zniknięcia? — spytał łagodnie Poirot.

— Właśnie próbuję to uczynić. Wczoraj po południu wydałem niewielkie przyjęcie — nie specjalnego, ze sześć osób. W tym sezonie wydałem już jedno czy dwa takie przyjęcia i, choć może nie powinienem tego mówić, były swego rodzaju sukcesem. Trochę dobrej muzyki... pianista Nacora oraz kontralt z Australii, Katherine Bird... wszystko w dużej pracowni. A więc, wczesnym popołudniem pokazywałem gościom moją kolekcję średniowiecznych klejnotów. Trzymam je wszystkie w niewielkim sejfie wmurowanym w ścianę. Wewnątrz wygląda on jak gabłota wystawowa, jest wyłożony aksamitem, aby kamienie odpowiednio się prezentowały. Później oglądaliśmy wachlarze — znajdują się w tamtej gablotce na ścianie. A jeszcze później udaliśmy się do pracowni, aby posłuchać muzyki. Dopiero kiedy wszyscy już wyszli, zauważyłem, że sejf został splądrowany. Widocznie nie zamknąłem go dokładnie i ktoś wykorzystał możliwość przywłaszczenia sobie jego zawartości. Rubiny, panie Poirot, szmaragdowy naszyjnik... kolekcja mego życia! Czegóż bym nie dał, aby ją odzyskać! Ale nie może być mowy o żadnym rozgłosie! Chyba pan to rozumie, prawda! To przecież moi goście, bliscy przyjaciele! Byłby to niesłychany skandal!

— Kto opuścił pokój jako ostatni, gdy przechodziliście państwo do pracowni?

— Pan Johnston. Może słyszał pan o nim? To milioner z Południowej Afryki. Niedawno wynajął dom przy Park Lane. Pamiętam, że został w pokoju trochę dłużej niż inni. Ale to z całą pewnością nie mógł być on! Nie, zdecydowanie nie!

— Czy ktoś z pańskich gości wrócił jeszcze do tego pokoju pod jakimkolwiek pretekstem?

— Byłem przygotowany na to pytanie. Wróciło troje z nich: hrabina Vera Rossakoff, pan Bernard Parker oraz lady Runcorn.

— A co może nam pan o nich powiedzieć?

— Hrabina Rossakoff to niezwykle czarująca dama, Rosjanka. Osoba nie pasująca do nowego stroju panującego w jej ojczyźnie. W Anglii przebywa od niedawna. Pożegnała się już ze mną, więc byłem trochę zdziwiony, gdy zobaczyłem ją w tym pokoju, z zachwytem oglądającą moją kolekcję wachlarzy. Wie pan, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się to podejrzane. Co pan o tym myśli?

— W najwyższym stopniu podejrzane. Ale proszę opowiedzieć mi o innych.

— No cóż, Parker przyszedł tu ze szkatułką z miniaturami, które chciałem pokazać lady Runcorn.

— A ona sama?

— Jak pan zapewne wie, lady Runcorn jest kobietą w średnim wieku o wyjątkowo silnym charakterze, poświęcającą większość czasu działalności charytatywnej. Przyszła do tego pokoju po torebkę, którą gdzieś tu zostawiła.

— *Bien, monsieur**. A więc mamy czworo możliwych podejrzanych. Rosyjską hrabinę, angielską *grande dame**, południowoafrykańskiego milionera oraz pana Parkera. Właśnie! Kim jest pan Bernard Parker?

Pytanie to wyraźnie wprowadziło pana Hardmana w pewne zakłopotanie.

— To... to młody człowiek... No cóż, to po prostu jeden z moich młodych znajomych.

— Tego akurat się domyślałem — odparł Poirot śmiertelnie poważnie. — A czym on się zajmuje?

— No... kręci się po mieście. Nie należy raczej do śmietanki towarzyskiej, że się tak wyrażę.

— Jak to się stało, że został pańskim przyjacielem?

— No cóż... Raz czy dwa dokonał w moim imieniu pewnych drobnych zakupów.

— Proszę mówić dalej, *monsieur* — zachęcił go Poirot.

Hardman spojrzał na niego żałośnie. Najwyraźniej dalsze opowiadanie tej historii było ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę. Ale ponieważ Poirot nie przerywał przedłużającej się ciszy, poddał się.

— Widzi pan... Powszechnie wiadomo, że interesują mnie zabytkowe klejnoty. Czasami ktoś chce upłynnić spadek... Nawiasem mówiąc, nie zawsze jest to możliwe na wolnym rynku czy też przy pomocy oficjalnego pośrednika. Co innego sprzedaż z ręki do ręki... na przykład mnie. Parker ustala szczegóły takiej transakcji, pozostając w kontakcie z obydwoma stronami, i dzięki temu udaje się uniknąć kłopotów. Zawiadamia mnie także o różnych okazjach. Na przykład hrabina Rossakoff

przywiozła ze sobą z Rosji trochę klejnotów rodowych. Koniecznie chce je sprzedać. Bernard Parker miał się zająć przeprowadzeniem transakcji.

— ‘Rozumiem — powiedział Poirot, głęboko zamyślony. — I ufa mu pan całkowicie, tak?’

— Nie mam powodów, by mu nie ufać.

— Panie Hardman, którą z tych czterech osób sam pan podejrzewa?

— Ależ *monsieur* Poirot! Cóż za pytanie! Mówiłem przecież, że to moi przyjaciele. Nie podejrzewani nikogo z nich... albo wszystkich, jeśli pan woli.

— To nieprawda. Podejrzewa pan jedną z tych czterech osób. Nie jest to hrabina Rossakoff. Ani pan Parker. A więc, lady Runcorn czy pan Johnston?

— Przypiera mnie pan do muru. A ja naprawdę za wszelką cenę pragnę uniknąć skandalu. Lady Runcorn należy do jednego z najstarszych rodów w Anglii, ale jest tajemnicą poliszynela, że jej ciotka, lady Caroline, cierpiała na niezwykle przykrą dolegliwość. Oczywiście, wszyscy jej przyjaciele rozumieli, że to choroba, zaś służąca odnosiła łyżeczki czy inne rzeczy tak szybko, jak tylko to było możliwe. Rozumie pan teraz moje kłopotliwe położenie!

— Więc ciotka lady Runcorn była kleptomanką? Ciekawe. Pozwoli pan, że obejrzę sejf?

Za zgodą pana Hardmana Poirot otworzył drzwi sejfu i obejrzał jego wnętrze. Puste, wyłożone aksamitem półki robiły dość ponure wrażenie.

— Nawet teraz drzwi nie zamykają się dobrze — mruknął Poirot. — Ciekawe, dlaczego? Aha, co my tu mamy? Rękawiczka. Uwięźnięta w zawiasie męska rękawiczka.

Wręczył ją Hardmanowi.

— To nie moja — stwierdził gospodarz.

— Aha! Jeszcze coś! — Poirot pochylił się zwinnie i podniósł z dna sejfu niewielki przedmiot. Była to płaska papierośnica z czarnego wytłaczanego metalu.

— Moja papierośnica! — krzyknął pan Hardman.

— Pańska? Z całą pewnością nie. To nie pańskie inicjały.

Wskazał na monogram, który tworzyły dwie przeplatające się litery z platyny. Hardman wziął papierośnicę do rąk.

— Ma pan rację — stwierdził. — Jest bardzo podobna do mojej, ale inicjały są inne. B i P. O Boże, Parker!

— Na to wygląda — zgodził się Poirot. — Cokolwiek nieostrożny młody człowiek... Szczególnie,

jeżeli rękawiczka także należy do niego. To byłby podwójny ślad, nieprawdaż?

— Bernard Parker! — mruknął Hardman. — Cóż za ulga! Cóż, *monsieur* Poirot, powierzam panu odzyskanie klejnotów. Może pan nawet przekazać tę sprawę policji, jeśli to panu odpowiada, oczywiście pod warunkiem, że jest pan całkowicie przekonany o winie Parkera.

— Jak widzisz, przyjacielu — zwrócił się do mnie Poirot, kiedy już wyszliśmy — ten cały Hardman ma jedno prawo dla utytułowanych, a inne dla maluczkich. Ja, ponieważ nie posiadam jeszcze tytułu szlacheckiego, trzymam stronę ludzi prostych. I żał mi tego młodego człowieka. W ogóle sprawa jest dosyć dziwna, nie uważasz? Hardman podejrzewa lady Runcorn, z kolei ja podejrzewam raczej hrabinę albo Johnstona. A tymczasem okazuje się, że winny jest Parker.

— Dlaczego podejrzewałeś tamtą dwójkę?

— *Parbleu!* Przecież tak łatwo zostać rosyjską emigrantką albo południowoafrykańskim milionerem. Każda kobieta może przyznać sobie tytuł rosyjskiej hrabiny, tak samo jak każdy może wynająć dom przy Park Lane i ogłosić się milionerem z Afryki. Kto się ośmieli zaprzeczyć? Ale widzę, że doszliśmy już do Bury Street. Mieszka tu nasz nieostrożny młodzieniec. A więc, jak mawiacie, kujmy żelazo póki gorące.

Pan Bernard Parker był w domu. Akurat odpoczywał, wsparty na poduszkach, odziany w niesamowity fioletowo-pomarańczowy szlafrok. Rzadko zdarza mi się poczuć do kogoś już przy pierwszym spotkaniu taką niechęć, jak do tego właśnie młodego człowieka o bladej, zniewieściałej twarzy i afektowanym sposobie mówienia. I do tego jeszcze sepleniącego.

— Dzień dobry, *monsieur* — odezwał się Poirot. — Przychodzę w imieniu pana Hardmana. Wczoraj na przyjęciu ktoś ukradł wszystkie jego klejnoty. Pozwoli pan, że spytam: czy ta rękawiczka należy do pana?

Tempo procesu myślenia pana Parkera nie było oszałamiające. Gapił się na rękawiczkę, wyraźnie próbując pozbierać myśli.

— Gdzie pan ją znalazł? — spytał w końcu.

— Czy to pańska rękawiczka, *monsieur*?

Wyglądało, że pan Parker podjął decyzję.

— Nie — stwierdził.

— A papierośnica?

— Nie. Absolutnie nie. Zawsze noszę srebrną.

— A więc dobrze, *monsieur*. W takim razie udam się teraz na policję i przekażę sprawę w ich

ręce.

— Ależ... Na pańskim miejscu nie robiłbym tego — wykrzyknął Parker, nagle poruszony. — Okropnie niesympatyczni ludzie, ci policjanci. Niech pan się jeszcze wstrzyma. Wpadnę do starego Hardmana i pogadam z nim. Słuchaj pan... och, no, zaraz, chwileczkę...

Lecz Poirot zdążył już dać sygnał do odwrotu.

— Daliśmy mu cokolwiek do myślenia, nieprawdaż? — zachichotał. — Poczekamy teraz do jutra.

Jednak jeszcze tego samego popołudnia mieliśmy ponownie usłyszeć o sprawie kradzieży klejnotów Hardmana. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia otworzyły się drzwi i wtargnął przez nie tajfun w damskiej postaci, gwałcąc w ten sposób nasze prawo do prywatności. Wokół damy wirowało sobolowe futro (był to tak zimny czerwcowy dzień, jaki może zdarzyć się tylko w Anglii), zaś na głowie panoszył się kapelusz przybrany kitą z piór. Hrabina Vera Rossakoff, bo o niej tu mowa, miała w ogóle dość niepokojącą osobowość.

— To pan jest *monsieur* Poirot? I co pan najlepszego zrobił? Oskarżył pan tego biednego chłopca! To ohydne! Wprost skandaliczne! Znam go. To istne jagnię... kurczaczek... jakże by mógł coś ukraść? Tyle dla mnie zrobił! Czy mam tu stać i czekać, aż zadręczycie go na śmierć?

— Niech mi pani powie, *madame*, czy to jego papierośnica?

Hrabina zrobiła sobie przerwę. Przyjrzała się uważnie, wreszcie oświadczyła:

— Tak. Znam ją dobrze. I co z tego? Znalazł ją pan w tamtym pokoju? Przecież wszyscy tam byliśmy, pewnie mu wypadła. Ach, wy policjanci, jesteście gorsi od bolszewików!

— A ta rękawiczka? Czy także jest jego?

— A skąd mam wiedzieć? Wszystkie rękawiczki są takie same. Niech mi pan nie przerywa! Ma być wolny i już! Trzeba go oczyścić z fałszywych zarzutów. Pan to robi! Sprzedam swoje klejnoty i dam panu mnóstwo pieniędzy...

— *Madame*...

— A więc umowa stoi? Nie, nie, żadnych dyskusji. Biedny chłopiec! Przybiegł do mnie cały we łzach... „Ocalę cię — obiecałam. — Pójdę do tego człowieka, tego ludożercy, tego potwora... Zostaw to Verze.” No to załatwione. Idę.

I tak samo bezceremonialnie, jak się pojawiła, wypadła z pokoju, zostawiając za sobą oszałamiający zapach egzotycznych perfum.

— Co za kobieta! — wykrzyknąłem. — A jakie futro!

— Tak, futro było rzeczywiście wystarczająco prawdziwe. Czy fałszywe hrabiny noszą prawdziwe futra? To tylko żart, Hastingsie... Nie, myślę, że ona naprawdę jest Rosjanką. Ho, ho! A więc pan

Bernard pobiegł do niej z płaczem. ...

— Papierośnica należy do niego. Ciekawe, czy rękawiczka także...

Poirot z uśmiechem wyjął z kieszeni drugą rękawiczkę. Położył ją obok pierwszej. Bez wątpienia tworzyły parę.

— Skąd ją wzięłeś, Poirot?

— Leżała obok laseczki, na stole, w korytarzu przy Bury Street. Doprawdy, cóż za beztroski młodzieniec z tego Parkera! Ale musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Tak więc, żeby wyrobić sobie pogląd, złożę teraz małą wizytkę na Park Lane.

Nie muszę chyba mówić, że postanowiłem towarzyszyć swemu przyjacielowi. Johnstona akurat nie było w domu, lecz zastaliśmy jego osobistego sekretarza. Dowiedzieliśmy się, że Johnston dopiero co przyjechał z Południowej Afryki. Przedtem nigdy w Anglii nie był.

— Interesują go kamienie szlachetne, prawda? — zaryzykował Poirot.

— Raczej kopalnie złota — roześmiał się sekretarz. Mój przyjaciel wyszedł po rozmowie pogrążony w rozmyślaniach. Późnym wieczorem z największym zdziwieniem zauważyłem, że Poirot z zapalem studiuje gramatykę języka rosyjskiego.

— Dobry Boże, Poirot! — wykrzyknąłem. — Czy postanowiłeś nauczyć się rosyjskiego, aby móc prowadzić rozmowy z hrabiną w jej ojczystym języku?

— Przecież nie zechce słuchać mojego angielskiego, przyjacielu!

— Ale dobrze urodzeni Rosjanie z całą pewnością znają język francuski.

— Jesteś kopalnią wiadomości, Hastingsie! Chyba dam sobie spokój z zawilościami rosyjskiego alfabetu.

Dramatycznym gestem odrzucił podręcznik. Ja jednak nie byłem do końca usatysfakcjonowany. W jego oczach pojawiły się dobrze mi znane ogniki. Był to znak, że Poirot jest z siebie bardzo zadowolony.

— A może — mądrzyłem się — masz wątpliwości, czy naprawdę jest Rosjanką? Masz zamiar ją sprawdzić?

— Ależ skąd. Wszystko się zgadza. Jest Rosjanką.

— A więc...

— Jeśli rzeczywiście chcesz zorientować się w tej sprawie, polecam ci *Język rosyjski dla początkujących*.

Roześmiał się i nie chciał powiedzieć ani słowa więcej. Podniosłem więc podręcznik z podłogi i zagłębiłem się w nim z zaciekawieniem, jednak nie udało mi się zeń dowiedzieć, o co chodziło Poirotowi.

Ranek następnego dnia nie przyniósł nam żadnych nowych wiadomości, lecz to wydawało się w ogóle nie martwić mego przyjaciela. Przy śniadaniu oznajmił zamiar złożenia wizyty panu Hardmanowi. Nasz wyleniały lew salonowy był w domu i wydawał się odrobinę spokojniejszy niż poprzedniego dnia.

— A więc, *monsieur* Poirot, co nowego? — spytał. Poirot wręczył mu kartkę.

— Oto nazwisko osoby, która ukradła klejnoty. Czy mam przekazać sprawę w ręce policji? Czy może woli pan, abym odzyskał biżuterię bez ich udziału?

Pan Hardman przez dłuższą chwilę gapił się na skrawek papieru. W końcu odzyskał mowę:

— To zadziwiające... Zdecydowanie wolałbym uniknąć skandalu. Daję panu *carte blanche*. Jestem pewien pańskiej dyskrecji.

Następną naszą czynnością było złapanie taksówki, którą udaliśmy się do Carltona. Tam Poirot spytał o hrabinę Rossakoff. Po paru minutach zaprowadzono nas do niej. Wyszła ku nam z wyciągniętymi ramionami, ubrana we wspaniałą peniuar z barbarzyńskim wzorem.

— *Monsieur* Poirot! — zawołała. — Czy odniósł pan sukces? Czy oczyścił pan tego biednego chłopca z bezpodstawnych zarzutów?

— *Madame la comtesse*, pani przyjacielowi, panu Parkerowi, w żadnym wypadku nie grozi aresztowanie.

— No patrzcie, jaki z pana mały spryciarz! Niesamowite! T co za tempo!

— Tak, ale z drugiej strony obiecałem panu Hardmanowi, że klejnoty wrócą do niego jeszcze dzisiaj.

— Więc?

— Więc byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciała mi je pani niezwłocznie wręczyć. Przykro mi, że muszę panią ponaglać, ale na dole czeka taksówka, na wypadek gdybym musiał udać się do Scotland Yardu. Wie pani, my, Belgowie, jesteśmy bardzo oszczędni.

Hrabina zapaliła papierosa. Przez chwilę siedziała bez ruchu, puszczając kółka z dymu i wpatrując się w Poirota. Następnie roześmiała się i wstała. Podeszła do biurka, otworzyła jedną z szuflad i wyjęła z niej czarną jedwabną torebkę. Rzuciła ją lekko w kierunku Poirota. Kiedy się odezwała, jej głos nie zdradzał śladu zdenerwowania.

— Natomiast my, Rosjanie, jesteśmy bardzo rozrzutni. A na to niestety potrzeba dużo pieniędzy. Nie musi pan zaglądać do środka. Są wszystkie.

Poirot wstał.

— *Madame*, gratuluję niezwyklej inteligencji oraz umiejętności szybkiego podejmowania słusznych decyzji.

— Ach! Skoro kazał pan czekać taksówkarzowi, co innego mogłam zrobić?

— To bardzo miłe z pani strony. Czy ma pani zamiar dłużej zostać w Londynie?

— Niestety nie... dzięki panu.

— Proszę przyjąć wyrazy najszczerzego żalu.

— Może się jeszcze gdzieś spotkamy.

— Mam nadzieję, że tak.

— A ja mam nadzieję, że nie — odparła hrabina i roześmiała się. — I proszę potraktować te słowa jako komplement. Niewielu jest na świecie mężczyzn, których się boję. Do widzenia, *monsieur Poirot*.

— Do widzenia, *madame la comtesse*. Aha, jeszcze jedno. Proszę, to przecież pani własność.

Z ukłonem wręczył jej papierośnicę z czarnego, wytłaczanego metalu, którą znaleźliśmy w sejfie.

Hrabina przyjęła ją bez mrugnięcia okiem. Uniosła tylko brwi i mruknęła:

— Aha!

— Cóż za kobieta! — wykrzyknął Poirot z entuzjazmem, kiedy schodziliśmy po schodach. — *Mon Dieu, quelle femme!** Ani słowa sprzeciwu, żadnych prób blefowania, nic! Jedno spojrzenie i od razu prawidłowa decyzja. Mówię ci, Hastingsie, że kobieta, która potrafi przyjąć porażkę w taki sposób — z niedbałym uśmiechem — daleko zajdzie! Ona jest niebezpieczna, ma nerwy ze sta... — Potknął się i omal nie upadł.

— Byłoby dobrze, gdybyś ograniczył swoje peany i spojrział od czasu do czasu pod nogi — zaproponowałem. — Kiedy zacząłeś podejrzewać hrabinę?

— *Mon ami*, wszystko przez tę rękawiczkę oraz papierośnicę... Podwójny ślad... To mnie zdziwiło. Bernard Parker mógł zgubić jedno albo drugie, ale nie oba te przedmioty na raz. Byłby to szczyt nieostrożności. Tak samo, gdyby ktoś chciał podrzucić coś obciążającego Bernarda Parkera, z całą pewnością poprzestałby na jednej z tych rzeczy — albo na rękawiczce, albo na papierośnicy. Więc doszedłem do wniosku, że jeden z tych przedmiotów nie jest własnością Parkera. Początkowo myślałem, że papierośnica jest jego, zaś rękawiczka nie.. Ale gdy w jego mieszkaniu znalazłem drugą, należącą do pary, zrozumiałem, że jest na odwrót. Zacząłem więc zastanawiać się, do kogo

należy papierośnica. Lady Runcorn nie wchodziła w grę. Nie te inicjały. Pan Johnston? Tylko gdyby używał fałszywego nazwiska. Dlatego odbyłem rozmowę z jego sekretarzem. Okazało się, że pan Johnston jest czysty. A więc hrabina? Krążyła wiadomość, że przywiozła z Rosji klejnoty rodowe. Musiałaby tylko wyjąć kamienie z ich oryginalnej oprawy i wątpię, aby kiedykolwiek zostały zidentyfikowane. A cóż łatwiejszego od zabrania jednej z rękawiczek Parkera i wrzucenia jej do opróżnionego sejfu? Lecz, *bien sur*^{*}, hrabina nie zamierzała zostawić w nim własnej papierośnicy.

— Ale skoro papierośnica należała do hrabiny, to dlaczego nosiła inicjały B.P.? Przecież inicjałami hrabiny są litery V.R.

Poirot uśmiechnął się.

— Zgadza się, *mon ami*, ale w rosyjskim alfabecie B to V, a P to R.

— No cóż, mój drogi, nie mogłeś ode mnie wymagać, bym to zgadł. Nie znam przecież rosyjskiego.

— Ja również, Hastingsie. Dlatego kupiłem tamtą książeczkę i poleciłem ją twojej uwadze.

Westchnął.

— Wyjątkowa kobieta. Mam przeczucie, bardzo silne przeczucie, że jeszcze ją spotkam. Ciekawe tylko gdzie?

Tajemnica bagdadzkiego kufra*

Tajemnica bagdadzkiego kufra — słowa te tworzyły przyciągający uwagę nagłówek. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem ze swym przyjacielem, Herkulesem Poirot. Nie znałem żadnej z osób, których sprawa dotyczyła. Moje zainteresowanie było zwykłą ciekawością czytelnika gazety. Poirot zgodził się ze mną:

— Tak, jest w tym akcent orientalny, pewna tajemniczość... Kufer może być równie dobrze zwykłą skrzynią z okresu Jakuba I, pochodzącą z Tottenham Curt Road*, niemniej dziennikarz, który wpadł na pomysł nazwania jej „bagdadzkim kufrem”, wykazał sporą intuicję. Słowo „tajemnica” przemyślnie dopełnia całości, choć przypuszczam, że sama sprawa jest stosunkowo mało tajemnicza.

— Zgadza się. Wydaje się dość ohydna i makabryczna, natomiast nie ma w niej nic tajemniczego.

— Ohydna i makabryczna... — powtórzył Poirot, zamyślony.

— To naprawdę odrażający pomysł — powiedziałem, podnosząc się z krzesła i zaczynając nerwowo spacer po pokoju. — Morderca zabija człowieka... zresztą swego bliskiego przyjaciela, wrzuca jego ciało do kufra, a pół godziny później w tym samym pokoju tańczy z jego żoną. Sam pomyśl! Gdyby jej przyszło do głowy...

— Zgadza się, ta tak wysławiana cecha, kobieca intuicja, tutaj najwyraźniej zawiodła.

— Przyjęcie upłynęło w bardzo przyjemnej atmosferze — powiedziałem, a po plecach przeszły mi ciarki. — A przez cały czas, gdy tańczyli i grali w pokera, w tym samym pokoju znajdował się trup. Przecież o czymś takim można by napisać niezłą sztukę.

— To akurat już zrobiono — powiedział Poirot. — Ale nie martw się, Hastingsie. Skoro temat został raz podjęty, nie ma powodu, dla którego nie można by go ponownie wykorzystać. Układaj swój dramat.

Wziąłem gazetę i przyjrzałem się dość rozmazanemu zdjęciu.

— Musi być piękną kobietą — stwierdziłem. — Nawet tak słaba fotografia nie zdołała tego ukryć.

Pod zdjęciem znajdował się napis:

AKTUALNE ZDJĘCIE PANI CLAYTON,

ŻONY ZAMORDOWANEGO

Poirot wziął ode mnie gazetę.

— Tak — zgodził się. — Jest rzeczywiście piękna. Z pewnością należy do tych, które urodziły się po to, by sprawiać duchowe kłopoty mężczyznom.

Zwrócił mi dziennik i westchnął głęboko.

— Dzięki Bogu nie zostałem obdarzony ognistym temperamentem. Uchroniło mnie to przed wieloma kłopotami.

Nie pamiętam, byśmy dyskutowali dłużej o tym zajściu. Poirot wówczas niezbyt się nim interesował. Fakty były tak jasne i niedwuznaczne, że jakakolwiek dyskusja wydawała się pozbawiona sensu.

Państwo Claytonowie i major Rich byli przyjaciółmi od dawien dawna. Feralnego dnia — a był to dziesiąty marca — Claytonowie przyjęli zaproszenie majora Richa, który zaproponował im wspólne spędzenie wieczoru. Jednak około wpół do ósmej Clay—ton spotkał się na drinku z innym przyjacielem, niejakim majorem Curtissem. Powiedział mu, że właśnie niespodziewanie wezwano go do Szkocji. Jego pociąg odjeżdża o ósmej.

— Mam tylko tyle czasu, by wstąpić do Jacka i przeprosić go — ciągnął Clayton. — Margueritta oczywiście przyjdzie. Przykro mi bardzo, ale myślę, że Jack mnie zrozumie.

Pan Clayton dotrzymał słowa i zjawił się u majora Richa mniej więcej za dwadzieścia ósma. Majora akurat nie było, lecz jego służący wpuścił gościa, proponując mu, by zaczekał na gospodarza. Pan Clayton odparł, że nie ma czasu, lecz zdecydował się wejść i napisać parę słów. Wyjaśnił też, że śpieszy się na pociąg.

Służący wprowadził go do salonu i wyszedł.

Mniej więcej pięć minut później major Rich, który widocznie wszedł do domu nie zauważony przez służącego, otworzył drzwi salonu, wezwał lokaja i kazał mu iść po papierosy. Służący po powrocie zaniósł je do salonu, gdzie zastał siedzącego samotnie Richa. Oczywiście doszedł do wniosku, że pan Clayton już wyszedł.

Niedługo potem zjawili się goście. Byli to: pani Clayton, major Curtiss oraz państwo Spence. Wieczór spędzili tańcząc przy fonografie i grając w pokera. Wyszli krótko po północy.

Następnego ranka służący, który wszedł do salonu, spostrzegł na dywanie ciemną plamę. Znajdowała się pod skrzynią przywiezioną przez majora Richa ze Wschodu, zwaną „bagdadzkim kufrem”.

Lokaj, niewiele myśląc, podniósł wieko i z przerażeniem ujrzał w środku zgięte wpół ciało zasztyletowanego mężczyzny.

Na trzęsących się nogach wybiegł z domu i sprowadził pierwszego policjanta, na którego się natknął. Okazało się, że denat to Clayton. Wkrótce potem aresztowano majora Richa. Obrona majora, co wydawało się zrozumiałe, polegała na stanowczym zaprzeczaniu wszelkim zarzutom. Poprzedniego wieczora w ogóle Clayтона nie widział, a o jego wyjeździe do Szkocji po raz pierwszy usłyszał od pani Clayton.

Takie były gołe fakty. Oczywiście powstało wiele insynuacji oraz domysłów. Bliskie stosunki łączące majora Richa z panią Clayton podkreślano tak mocno, że tylko głupiec nie pojąłby aluzji. Motyw zbrodni został wyraźnie wskazany.

Nauczony wieloletnim doświadczeniem, brałem pod uwagę możliwość, że są to tylko pozbawione podstaw oszczerstwa. Sugerowany motyw mógł w ogóle nie istnieć. Powód morderstwa mógł być zupełnie inny. Jednak jedno nie ulegało wątpliwości: zabójcą był major Rich.

Tak jak wspomniałem, nie zajmowalibyśmy się tym więcej, gdyby nie to, że właśnie wybieraliśmy się na wieczorne przyjęcie u lady Chatterton.

Poirot, choć ubolewał nad obowiązkami towarzyskimi i rzekomo uwielbiał samotność, w gruncie rzeczy ogromnie lubił atmosferę przyjęć. Puszył się na nich jak lew i pozwalał, by go obskakiwano ze wszystkich stron.

Czasami dosłownie mrucał jak zadowolony kocur! Nieraz byłem świadkiem, jak łaskawie przyjmował najbardziej nieprawdopodobne komplementy, traktując je jak coś zupełnie naturalnego, albo jak wypowiadał rażąco zrozumiałe uwagi, które z trudem udawało mi się znieść.

Zdarzało się, że dochodziło z tego powodu do kłótni między nami.

— Ależ przyjacielu! Nie jestem Anglikiem. Dlaczego miałbym się zachowywać jak hipokryta? *Si, si*, właśnie tacy jesteście. Wszyscy. Lotnik po wyjątkowo trudnym locie czy tenisowy czempion spuszczają wzrok i mamroczą, że to nic takiego. Ale czy naprawdę tak myślą? Skądże znowu. Jeśliby to samo zrobił ktoś inny, podziwialiby go. A więc, o ile są normalni, muszą także podziwiać samych siebie. Tylko że wychowanie nie pozwala im przyznać się do tego. Ja natomiast jestem inny. Talenty, które posiadam... oddawałbym im honor u innych. Tylko tak się składa, że nie spotkałem dotąd nikogo, kto mógłby się ze mną równać. *C'est dommage!** Skoro tak jest, przyznaję bez zbędnej hipokryzji, że jestem jednostką wyjątkową. Jestem Herkulesem Poirot! Czemu miałbym się czerwienić i jękać, mrużąc pod nosem, że tak naprawdę to jestem bardzo głupi? Przecież to nieprawda.

— Z całą pewnością jest tylko jeden Herkules Poirot — przyznawałem w takich sytuacjach, nie bez szczypty złośliwości, na którą Poirot na szczęście w ogóle nie zwracał uwagi.

Lady Chatterton należała do najgorętszych wielbicielek Poirota. Mając za punkt wyjścia dziwne zachowanie pekińczyka, rozwikłał on kiedyś pewną sprawę, doprowadzając do ujęcia znanego włamywacza i rabusia. Od tego czasu lady Chatterton nie ustawała w głoszeniu chwały małego detektywa.

Poirot na przyjęciu. Był to widok jedyny w swoim rodzaju. Jego nienaganny strój wieczorowy, wspaniale zawiązany biały krawat, idealna symetria przedziałka, blask pomady we włosach oraz z trudem wypracowana świetność wąsów — wszystko to tworzyło doskonały w każdym calu obraz zaprzysięgłego dandysa. Trudno było w takich chwilach traktować tego małego człowieczka poważnie.

Było koło wpół do dwunastej, gdy lady Chatterton przypuściła atak na naszą grupkę i uprowadziła Poirota z samego środka grona jego wielbicieli, odholowując go zgrabnie na bok. Ja oczywiście poszedłem za nim.

— Proszę pójść do małego pokoju na górze — odezwała się lady Chatterton zdyszczym szeptem, kiedy pozostali goście nie mogli już nas słyszeć. — Pan wie, gdzie to jest, *monsieur* Poirot. Czeka tam na pana pewna osoba, bardzo potrzebująca pańskiej pomocy. I pan jej pomoże, jestem przekonana. To jedna z moich najlepszych przyjaciółek, więc proszę nie odmawiać.

Zaprowadziwszy nas szybko na górę, lady Chatterton otworzyła z impetem drzwi i powiedziała:

— Mam go, Margtieritto, kochanie. Zrobi wszystko, co zechcesz. Pomoże pan pani Clayton, nieprawdaż?

I nie czekając na odpowiedź, lady Chatterton wypadła z pokoju z energią, jaka cechowała wszystkie jej ruchy.

Pani Clayton siedziała na krześle przy oknie. Gdy weszliśmy, wstała i podeszła do nas. Czarny żałobny strój był świetnym tłem dla jej blond włosów. Była wyjątkowo piękną kobietą, a na dodatek biła od niej jakaś dziecięca wręcz szczerłość, która sprawiała, że nie sposób było oprzeć się jej urokowi.

— Alice Chatterton jest taka uprzejma — rzekła. — To ona zorganizowała to spotkanie. Powiedziała, że na pewno mi pan pomoże. Nie wiem, czy zechce pan to zrobić, czy też nie, ale mam nadzieję...

Wyciągnęła rękę, a Poirot ją ujął i trzymał przez dłuższą chwilę, badawczo przyglądając się pani Clayton. Nie było w tym nic grubiańskiego. Przypominało to raczej uważne spojrzenie, jakim sławny lekarz obdarza swego nowego, dopiero co wprowadzonego pacjenta.

— Czy jest pani pewna, *madame*, że potrafię pani pomóc?

— Alice twierdzi, że tak.

— Ale ja pytam panią... Zaczerwieniła się lekko.

— Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

— Czego pani ode mnie oczekuje?

— Czy... czy pan wie, kim jestem?

— Oczywiście.

— Więc może się pan domyślić, o co mi chodzi, *monsieur* Poirot. I pan także, kapitanie Hastings.

— Poczuję wdzięczność, że mnie rozpoznała. — Major Rich nie zabił mojego męża.

— Dlaczego?

— Słucham?

Poirot uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie.

— Spytałem: „Dlaczego nie?” — powtórzył.

— Nie jestem pewna, czy dobrze pana zrozumiałam.

— Ależ to proste. Policja, prawnicy... wszyscy pytają, dlaczego major Rich zabił pana Claytona. A ja panią pytam: dlaczego major Rich nie zabił pani męża?

— To znaczy, dlaczego jestem tego taka pewna? No cóż, po prostu wiem. Bardzo dobrze znam majora Richa.

— Bardzo dobrze go pani zna — powtórzył Poirot bezbarwnym głosem.

Policzki pani Clayton ponownie nabrały czerwonej barwy.

— Tak, oni tak właśnie mówią... tak właśnie myślą! Och, wiem o tym!

— *C'est vrai**. Tak właśnie myślą i o to będą panią pytać: jak dobrze zna pani majora Richa. Może powie im pani prawdę, a może skłamać. Kobieta musi umieć kłamać. Kłamstwo to dobra broń. Lecz są trzy osoby, którym kobieta musi powiedzieć prawdę. Pierwszą jest jej spowiednik, drugą — fryzjer, a trzecią — prywatny detektyw. Oczywiście, jeżeli mu ufa. Czy ufa mi pani, *madame*? Margueritta Clayton wzięła głęboki oddech.

— Tak — odparła. — Ufam. Muszę panu zaufać.

— A więc, jak dobrze zna pani majora Richa? Przez moment przyglądała mu się w milczeniu, po czym wyzywająco uniosła podbródek.

— Odpowiem na pańskie pytanie. Kocham Jacka od dnia, kiedy go poznałam, to jest od dwóch lat. Od pewnego czasu... myślę... jestem niemal pewna... on także mnie kocha. Lecz nigdy się do tego nie przyznał.

— *Épatant!** — odparł Poirot. — Zaoszczędziliśmy dobry kwadrans dzięki temu, że zdecydowała się pani powiedzieć od razu całą prawdę, bez ogródek. To naprawdę bardzo rozsądne... A pani mąż? Czy domyślał się tego uczucia?

— Nie wiem — odparła Margueritta Clayton. — Ostatnio wydawało mi się... mógł się domyślać.

Zachowywał się jakoś inaczej. Ale mógł to być jedynie wytwór mej wyobraźni.

— Czy ktoś jeszcze wiedział?

— Nie sędzę.

— A czy... przepraszam za to pytanie, kochała pani swego męża?

Niewiele jest chyba na świecie kobiet, które na takie pytanie potrafiłyby odpowiedzieć tak prosto. Każda inna próbowałaby wytłumaczyć jakoś swe uczucia. Jednak pani Clayton odparła:

— Nie.

— *Bien.* A więc wiemy przynajmniej, gdzie jesteśmy. Twierdzi pani, że major Rich nie zamordował pani męża, lecz zdaje sobie pani sprawę, iż wszystkie zgromadzone dowody wskazują właśnie na niego. Czy zna pani jakiegokolwiek fakty mogące obalić te dowody?

— Nie. Nie znam.

— Kiedy mąż po raz pierwszy powiedział pani o swym wyjeździe do Szkocji?

— Zaraz po lunchu. Powiedział, że to nuda, ale musi jechać. To było coś związanego z wartością gruntów. Tak przynajmniej mówił.

— A co zrobił później?

— Wyszedł... do swego klubu. Tak myślę. Już go potem nie widziałam.

— Teraz co do majora Richa. Jak się tego wieczoru zachowywał? Jak zwykle?

— Tak, chyba tak.

— Nie jest pani pewna?

Margueritta Clayton zmarszczyła brwi.

— Był trochę... skrupowany. W stosunku do mnie, nie do innych. Ale wydawało mi się, że wiem, o co chodzi. Rozumie pan? Jestem przekonana, że ta nienaturalność... właściwie słowo „roztargnienie” lepiej tu pasuje... więc to roztargnienie nie miało nic wspólnego z Edwardem. Jack był zaskoczony jego nieobecnością, ale nie za bardzo.

— I nie przychodzi pani do głowy nic niezwykłego w związku z tamtym wieczorem?

Pani Clayton przez chwilę się zastanawiała.

— Nie, zupełnie nic — odparła wreszcie.

— A zauważyła pani skrzynię? Pokręciła głową i lekko się wzdygnęła.

— Nie. Nawet nie pamiętam, jak wygląda. Większość czasu spędziliśmy na grze w pokera.

— Kto wygrał?

— Major Rich. Ja w ogóle nie miałam szczęścia. Podobnie major Curtiss. Państwo Spence trochę wygrali, ale zdecydowanym zwycięzcą był major Rich.

— A o której skończyło się przyjęcie?

— Mniej więcej o wpół do pierwszej. Wyszliśmy wszyscy razem.

— Aha.

Poirot milczał, głęboko zamyślony.

— Tak bardzo chciałabym być bardziej pomocna — powiedziała pani Clayton — a tak niewiele mam do powiedzenia.

— Tak, rzeczywiście... Jeśli chodzi o teraźniejszość. A co z przeszłością, *madame*?

— Przeszłością?

— Tak. Czy wcześniej nic się nie zdarzyło?

Zaczerwieniła się.

— Chodzi panu o tego wstrętnego małego człowieczka, który się zastrzelił. To nie była moja wina, panie Poirot. Proszę mi wierzyć.

— Właściwie nie chodziło mi o tamtą sprawę.

— A więc o tamten idiotyczny pojedynek? Ale przecież Włosi lubują się w pojedynkach. Dziękowałam Bogu, że ten człowiek nie zginął.

— Musiał pani spaść kamień z serca — zgodził się Poirot.

Pani Clayton patrzyła na niego niepewnie, zaś on wstał i chwycił ją za rękę.

— Nie wyzwę dla pani nikogo na pojedynek, *madame* — powiedział. — Ale zrobię to, o co mnie pani prosi. Odkryję prawdę. I miejmy nadzieję, że kobiecy instynkt nie wprowadził pani w błąd. Że prawda pani pomoże, a nie zrani.

Naszym pierwszym rozmówcą był major Curtiss. Był to mężczyzna koło czterdziestki, o dość charakterystycznej wojskowej sylwetce. Miał ciemne włosy i ogorzałą twarz. Claytonów znał od kilku lat. Podobnie majora Richa. Potwierdził doniesienia prasowe.

Razem z Claytonem wypili w klubie drinka chwilę przed wpół do ósmej wieczorem i wtedy

właśnie jego towarzysz powiedział, że w drodze na stację wstąpi do majora Richa.

— Jak zachowywał się pan Clayton? Był przygnębiony, czy może radosny?

Major zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Był w dosyć dobrym nastroju — powiedział wreszcie.

— Nie wspominał nic o żadnych niesnaskach z majorem Richem?

— Dobry Boże, nie. To kumple.

— I Clayton nie miał nic przeciwko... przyjaźni swej żony z majorem?

Major Curtiss gwałtownie poczerwieniał.

— Czytał pan te przekłete gazety. Brukowce i te ich wierutne bzdury! Oczywiście, że nie miał nic przeciwko tej przyjaźni, Mówił nawet, że Margueritta będzie na przyjęciu.

— Tak, rozumiem. A czy podczas przyjęcia major Rich zachowywał się tak samo jak zwykle?

— Nie zauważyłem żadnej różnicy.

— *A madame?* Czy także zachowywała się jak zwykle?

— No cóż... Teraz gdy się nad tym zastanawiam... Chyba była nieco przygaszona. Jakby nieobecna duchem.

— Kto przyszedł pierwszy?

— Państwo Spence. Zostałem ich tam już. Ja po drodze zaszedłem po panią Clayton, ale okazało się, że już wyszła. Spóźniłem się więc odrobinę.

— A jak się państwo bawili? Tańczyliście? Grali w karty?

— Tak po trochu. Ale głównie tańczyliśmy.

— Było was przecież pięcioro?

— Tak, ale nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ ja nie tańczę. Nastawiałem im płyty.

— Kto tańczył z kim?

— No cóż, państwo Spence bardzo lubią tańczyć ze sobą. To taka ich mała słabostka... Ćwiczą jakieś dziwne kroki i takie tam.

— Więc pani Clayton tańczyła głównie z majorem Richem?

— Na to wychodzi.

— A później graliście w pokera?

— Tak.

— O której skończyło się przyjęcie?

— Och, dosyć późno. Trochę po północy.

— Czy wszyscy wyszli razem?

— Tak. Wracaliśmy nawet jedną taksówką. Najpierw wysiadła pani Clayton, później ja, zaś państwo Spence pojechali dalej, do Kensington.

Następną wizytę złożyliśmy właśnie państwu Spence. W domu była tylko pani. Jej opis wydarzeń zgadzał się z tym, co powiedział major Curtiss, tyle tylko, że pozwoliła sobie na drobną złośliwość dotyczącą szczęścia majora Richa przy kartach.

Rankiem tego dnia Poirot odbył rozmowę telefoniczną z inspektorem Jappem ze Scotland Yardu. Zaraz po niej udaliśmy się do mieszkania majora Richa, w którym oczekiwał nas jego służący, Burgoyne.

Jego zeznanie było bardzo szczegółowe, a zarazem zwięzłe.

Pan Clayton zjawił się o godzinie dziewiętnastej czterdzieści. Niestety, major Rich chwilę wcześniej wyszedł z domu. Pan Clayton powiedział, że nie może czekać, ponieważ spieszy się na pociąg, chciał jednak zostawić pisemną wiadomość. Aby to zrobić, wszedł do salonu. Burgoyne nie usłyszał, kiedy jego pan Wrócił, gdyż akurat przygotowywał kąpiel. Zdaniem służącego, jakieś dziesięć minut później major Rich zawołał go i wysłał po papierosy. Nie, Burgoyne nie wchodził do salonu. Pan Rich stał w progu. Służący wrócił z papierosami mniej więcej po dziesięciu minutach i wtedy wszedł do salonu, gdzie zastał tylko swego pana. Stał przy oknie i palił papierosa. Potem spytał, czy kąpiel jest gotowa, a kiedy dowiedział się, że tak, udał się do łazienki. Burgoyne nie wspominał nic na temat pana Clayтона, gdyż był przekonany, że major zastał go w salonie, a potem wypuścił. Nie, w zachowaniu majora nie zauważył nic szczególnego. Wykąpał się i przebrał. Wkrótce potem zjawili się najpierw państwo Spence, a następnie major Curtiss oraz pani Clayton.

Burgoyne'owi nie przyszło do głowy, że pan Clayton mógł wyjść przed powrotem majora Richa. Gdyby tak się stało, pan Clayton musiałby zatrzasnąć drzwi wyjściowe od zewnątrz, a to Burgoyne z całą pewnością by usłyszał.

Później, w ten sam bezosobowy sposób, Burgoyne opowiedział, jak znalazł ciało. Wtedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę na ową fatalną skrzynię. Był to solidny kufer, stojący pod ścianą, obok szafki z fonografem. Wykonany był z ciemnego drewna, nabijanego dużymi, mosiężnymi gwoździami. Otwierało się go dość łatwo: Zajrzałem do wnętrza i wzdygnąłem się. Choć starannie zeszkrobane, złowieszcze plamy były w dalszym ciągu widoczne. Nagle z ust Poirota wydobył się okrzyk:

— A co to za dziury? Ciekawe... Wyglądają na niedawno wywiercone.

Rzeczony dziury znajdowały się w tej ścianie kufra, która przylegała do ściany. Było ich trzy albo cztery. Każda miała mniej więcej ćwierć cała średnicy. Rzeczywiście wyglądały na świeże.

Poirot pochylił się, aby je dokładnie obejrzeć. Spojrzał pytająco na służącego.

— To rzeczywiście ciekawe, proszę pana. Nigdy przedtem ich nie widziałem, choć z drugiej strony mogłem ich nie zauważyć.

— To nie ma znaczenia — odparł Poirot. Zamknawszy kufer, zaczął cofać się w głąb pokoju, aż zatrzymał się pod oknem. Nagle zadał pytanie:

— Proszę mi powiedzieć... Kiedy tamtego wieczora wrócił pan z papierosami, czy zauważył pan w pokoju jakąś zmianę? Może coś nie stało na swoim miejscu?

Burgoyne wahał się przez chwilę, po czym lekko się ociągając, odparł:

— Może to dziwne, ale teraz, kiedy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że tak było. Parawan, który chroni sypialnię przed przeciągiem, był przesunięty trochę w lewo.

— W ten sposób?

Poirot rzucił się w stronę parawanu i przesunął go. Był to dość ładny gracyk z malowanej skóry. Już wcześniej zasłaniał nieco widok skrzyni, a teraz, gdy Poirot go przestawił, zupełnie za nim znikła.

— Tak, proszę pana — odparł służący. — Właśnie tak.

— A następnego ranka?

— Stał w tym samym miejscu. Pamiętam. Odsunąłem go i właśnie wtedy zauważyłem tę plamę. Dywan oddałem już do czyszczenia, proszę pana. Stąd te gołe deski.

Poirot skinął głową.

— Rozumiem — powiedział. — I dziękuję. Wsunął w dłoń służącego szeleszczący papierek.

— Dziękuję panu.

— Poirot — odezwał się, gdy wyszliśmy na ulicę. — Czy ta sprawa z parawanem może pomóc Richowi?

— Raczej jeszcze bardziej zaszkodzić — odparł Poirot ponuro. — Parawan zasłaniał kufer. Zasłaniał także plamę na dywanie. Dlatego nie spostrzeżono jej od razu. Tak... Ale jest coś, czego nie rozumiem. Służący, Hastingsie, służący...

— Co ci się w nim nie podoba? Wyglądał na bardzo inteligentnego.

— Masz rację. Jest bardzo inteligentny. Czy więc major Rich mógł nie zdawać sobie sprawy, że rano Burgoyne na pewno odkryje ciało? Powiedzmy, że zaraz po popełnieniu morderstwa major nie miał czasu na jakiegokolwiek działanie. Dlatego ukrył ciało w skrzyni, zasłonił ją parawanem i przeczekał wieczór w nadziei, że jakoś to będzie. Ale po wyjściu gości? Przecież miał mnóstwo czasu, by pozbyć się zwłok!

— Może miał nadzieję, że służący nie zauważy plamy?

— To czysty absurd, *mon ami*. Plama na dywanie to pierwsza rzecz, którą musi zauważyć dobry służący. A tymczasem major Rich idzie spać i spokojnie chrapie przez całą noc, w ogóle się nie przejmując. To naprawdę niezwykle interesujące.

— Ciekawe, czy Curtiss mógł zauważyć tę plamę, kiedy siedział przy fonografie i zmieniał płyty?

— To raczej mało prawdopodobne. Parawan musiał rzucać cień w to miejsce. Nie... Ale zaczynam widzieć. Tak, dość niewyraźnie, ale zaczynam widzieć...

— Widzieć? Co?

— Możliwości. Powiedzmy, że możliwości innego wyjaśnienia. Może nasza następna wizyta rzuci na tę sprawę więcej światła...

Następną wizytę złożyliśmy lekarzowi, który dokonał oględzin ciała. Jego zeznanie było po prostu streszczeniem tego, co powiedział w śledztwie. Denat został zabity ciosem w samo serce, zadany długim, wąskim nożem, przypominającym sztylet. Narzędzie zbrodni pozostawiono w ranie. Śmierć nastąpiła natychmiast. Sztylet był własnością majora Richa i zwykle leży na biurku. Brakowało na nim odcisków palców — został albo dokładnie wytarty, albo morderca trzymał go przez chusteczkę. Jeśli zaś chodzi o czas, to śmierć nastąpiła pomiędzy siódmą a dziewiątą wieczorem.

— Czy nie mogło to być... na przykład po północy?

— Nie. To mogę stwierdzić z całą pewnością. Najpóźniej o dziesiątej, ale raczej wszystko wskazuje, że między siódmą trzydzieści a ósmą.

— Istnieje jeszcze inna hipoteza — stwierdził Poirot już w domu. — Ciekaw jestem, Hastingsie, czy wpadłeś na nią? Mnie wydaje się ona oczywista i potrzebny mi jeszcze jeden drobiazg, aby do końca wyjaśnić całą sprawę.

— Nic z tego — odparłem. — Nie mam żadnych pomysłów.

— Rusz trochę głową, Hastingsie, rusz głową!

— A więc dobrze — powiedziałem. — O siódmej czterdzieści Clayton jest cały i zdrowy. Ostatnią osobą, która widzi go żywego, jest Rich...

— Tak przynajmniej zakładamy.

— A nie jest tak?

— Zapominasz, *mon ami*, że major Rich temu zaprzecza. Wyraźnie przecież stwierdził, iż Clayton musiał wyjść przed jego powrotem do domu.

— Lecz służący mówi, że w takim razie musiałby usłyszeć trzaśnięcie zamykanych drzwi. A poza tym, skoro Clayton wyszedł, to kiedy wrócił? Nie mógł wrócić po północy, gdyż jak twierdzi doktor, o tej porze musiał być już martwy od przynajmniej dwóch godzin. Zostaje więc tylko jedno wyjście.

— Jakie, *mon ami*?

— Że w ciągu tych pięciu minut, które Clayton spędził w salonie, wszedł tam ktoś inny i zabił go. Ale w takim wypadku mamy podobne zastrzeżenie: musiał mieć klucze do mieszkania, inaczej nie wszedłby bez wiedzy lokaja. Poza tym wychodzący morderca musiałby zatrzasnąć drzwi, i to też lokaj by usłyszał.

— Zgadza się — powiedział Poirot. — A więc...

— A więc nic z tego — odrzekłem. — Nie widzę żadnego innego rozwiązania.

— Szkoda — mruknął Poirot. — A jest przecież tak proste i jasne... Jasne jak błękit oczu *madame* Clayton...

— Naprawdę uważasz...

— Nic nie uważam. Aż do chwili, gdy będę miał dowód. Choć jeden maleńki dowodzik...

Podniósł słuchawkę i połączył się z Jappem w Scotland Yardzie.

Dwadzieścia minut później staliśmy przed stołem, na którym poukładano różne przedmioty. Stanowiły one zawartość kieszeni zamordowanego.

Były to: chusteczka do nosa, garść drobnych, portfel, w którym znajdowały się trzy funty i dziesięć szylingów, jakieś rachunki oraz zniszczone zdjęcie Margueritty Clayton. Poza tym jeszcze scyzoryk, złoty ołówek oraz jakieś narzędzie z wymiennymi końcówkami.

Właśnie na to ostatnie rzucił się Poirot. Gdy je rozkręcił, ze środka wypadło kilka ostrzy.

— Widzisz, Hastingsie? Wiertło i inne końcówki... Ha! Wystarczy parę minut, aby wywiercić kilka dziur w ścianie kufra!

— Tych dziur, które widzieliśmy?

— Właśnie tych.

— Uważasz, że Clayton sam je wywiercił?

— *Mais oui... mais oui!** Czy te dziury nic ci nie mówią? Nie wywiercono ich, by przez nie patrzeć, gdyż są z tyłu skrzyni. A więc po co? Chyba po to, by zapewnić sobie dopływ powietrza. Ale przecież nie wierci się dziur dla trupa. Więc nie są one dziełem mordercy. A z tego wynika jedno i tylko jedno: że ktoś chciał się w kufrze ukryć. I natychmiast cała reszta staje się zrozumiała. Pan Clayton jest zazdrosny o żonę. Ponieważ podejrzewa romans z majorem, odgrywa starą sztuczkę z udawaniem wyjazdu. Czeka, aż Rich wyjdzie z domu i dzwoni do mieszkania. Lokaj go wpuszcza, po czym zostawia samego w pokoju. Clayton szybko wierci dziury i chowa się w kufrze. Wie przecież, że jego żona tu przyjdzie. Może Rich poczeka, aż wszyscy wyjdą, może Margueritta uda, że wychodzi razem ze wszystkimi, a później wróci? Tak czy owak, Clayton się dowie. Woli najgorszą prawdę od męki niepewności.

— A więc uważasz, że Rich zabił go już po wyjściu gości? Przecież lekarz stwierdził, że to niemożliwe.

— Zgadza się, sam więc widzisz, Hastingsie. Clayton musiał zostać zamordowany w trakcie przyjęcia.

— Ale przecież wszyscy byli w pokoju!

— Dokładnie tak. Czy widzisz całe piękno tego planu? „Wszyscy byli w pokoju!” Co za alibi! Cóż za *sangfroid!** Cóż za opanowanie! Cóż za zuchwałość!

— Nadal nie rozumiem.

— Kto siedział za parawanem, obsługując fonograf i zmieniając płyty? Pamiętaj, że fonograf stał tuż obok kufra! Wszyscy inni tańczą... Fonograf gra... A ten, który nie tańczy, podnosi wieko kufra i wbija sztylet, który chwilę wcześniej ukrył w rękawie, prosto w serce Clayтона.

— To niemożliwe! Przecież Clayton na pewno by krzyknął.

— Chyba że zostałby przedtem odurzony.

— Odurzony?

— Właśnie. Z kim Clayton wypił drinka o godzinie siódmej trzydzieści? Ha! Teraz chyba rozumiesz?! Curtiss! To Curtiss napełnił głowę Clayтона podejrzeniami, że jego żona ma romans z Richem. To właśnie on podsuwa pomysł rzekomej wizyty w Szkocji, ukrycia się w kufrze i przesunięcia parawanu. Nie po to, by Clayton mógł uchylić odrobinę wieko i widzieć, co się dzieje, o nie! Tylko po to, by on, Curtiss, mógł je unieść nie zauważony! To plan Curtissa, mój drogi Hastingsie! Zwróć uwagę na całe jego piękno! Gdyby Rich zauważył, że parawan jest nie na miejscu i przestawił go, i tak nic by to nie pomogło. Curtiss wymyśliłby coś innego. Clayton chowa się więc w kufrze, a łagodny narkotyk podany mu przez Curtissa zaczyna działać. Curtiss unosi spokojnie wieko i zadaje cios... zaś w tym czasie z patefonu płyną dźwięki melodii *Odprawdzając moją maleńką do domu...*

Wreszcie odzyskałem głos.

— Ale dlaczego? Dlaczego? Poirot wzruszył ramionami.

— A dlaczego zastrzelił się pewien mężczyzna? Dlaczego dwaj Włosi stoczyli pojedynek? Curtiss to człowiek o krewkim, ognistym temperamencie. Pragnął Margueritty Clayton. Myślał, że pozbywając się Clayтона i Richa, będzie miał szansę na jej zdobycie.

Po chwili dodał w zadumie:

— Te naiwne, dziecinne kobietki... takie są dopiero niebezpieczne! Ale swoją drogą, cóż za dzieło sztuki! Aż żal posyłać takiego człowieka na szubienicę. Mogę sam być geniuszem, ale to nie znaczy, że nie dostrzegam geniuszu w innych. Morderstwo doskonałe, *mon ami*. Mówię ci to ja, Herkules Poirot. Morderstwo doskonałe. *Épatant!*

Kradzież królewskiego rubinu*

— Bardzo żałuję... — zaczął Herkules Poirot. Przerwano mu jednak. Ale nie obraźliwie ani nie kłótliwie, lecz uprzejmie i przekonywująco.

— Proszę, niech pan tak od razu nie odmawia. To naprawdę sprawa wagi państwowej. Pański współudział w jej rozwiązaniu spotkałby się z uznaniem najwyższych czynników.

— Jest pan bardzo uprzejmy — Poirot machnął ręką — ale naprawdę nie mogę podjąć się tego zadania. O tej porze roku...

Pan Jesmond ponownie mu przerwał:

— Boże Narodzenie — powiedział tonem pełnym perswazji. — Tradycyjne angielskie Boże Narodzenie na wsi...

Herkules Poirot wzdrygnął się. Myśl o angielskiej wiosce, do tego o tej porze roku, nie wydała mu się szczególnie atrakcyjna.

— Uczciwe, tradycyjne święta! — powtórzył z naciskiem pan Jesmond.

— Ale ja nie jestem Anglikiem — odparł. — A tam, skąd pochodzę, Boże Narodzenie jest atrakcją tylko dla dzieci. My świętujemy Nowy Rok.

— Tak — odrzekł pan Jesmond — ale święta w Anglii to coś zupełnie wyjątkowego i zapewniam pana, iż w Kings Lacey mógłby pan zapoznać się z nimi w całej ich okazałości. To cudowny, stary dom... Jedno z jego skrzydeł pochodzi jeszcze z czternastego wieku.

Poirot ponownie się wzdrygnął. Sama myśl o czternastowiecznej posiadłości wzbudzała w nim przerażenie. Zbyt wiele wycierpiał już w starych wiejskich domach w Anglii. Popatrzył z uznaniem na ściany swego wygodnego, nowoczesnego mieszkania z kaloryferami oraz najnowocześniejszymi urządzeniami skutecznie ograniczającymi przeciąg.

— Zimą — powiedział zdecydowanie — nigdy nie opuszczam Londynu.

— Odnoszę wrażenie, panie Poirot, że nie w pełni docenia pan powagę sytuacji. — Pan Jesmond spojrzał kątem oka na swego współtowarzysza, a następnie znowu na Poirota.

Drugi gość nie powiedział dotąd nic, oprócz grzecznego, choć zdawkowego „Dzień dobry”. Siedział teraz, wpatrzony w czubki swych starannie wypolerowanych butów, a na jego twarzy w kolorze kawy widać było zupełne zniechęcenie. Był on młodym człowiekiem, mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia trzy lata, i wyraźnie znajdował się w stanie kompletnego załamania.

— Ależ tak—odparł Herkules Poirot.—Sprawa jest niewątpliwie poważna. W pełni zdaję sobie z

tego sprawę. I naprawdę szczerze współczuję Jego Wysokości.

— Sprawa jest niezwykle wprost delikatna — stwierdził pan Jesmond.

Poirot przeniósł wzrok z młodego człowieka na jego starszego towarzysza. Jeśliby ktoś zechciał opisać pana Jesmonda jednym tylko słowem, brzmiałoby ono „dyskrecja”. Każdy najmniejszy szczegół jego osoby kojarzył się właśnie z tym słowem. Zarówno elegancki, lecz nie rzucający się w oczy ubiór, jak i miły głos, który rzadko wznosił się ponad przyjemną monotonię. Nawet włosy pana Jesmonda, jasnobrązowe, mocno już przerzedzone w okolicach skroni, oraz jego blada, poważna twarz, kojarzyły się właśnie z tym słowem. Poirot odniósł wrażenie, iż w swym życiu poznał nie jednego pana Jesmonda, lecz ich dziesiątki, i że każdy z nich, wcześniej czy później wypowiedział zdanie: „Sprawa jest niezwykle wprost delikatna”.

— Przecież policja — odezwał się Herkules Poirot — także potrafi zachować pełną dyskrecję.

Pan Jesmond zdecydowanie pokręcił głową.

— Policja nie wchodzi w grę — powiedział. — Odzyskanie... hmm... tego, co chcemy odzyskać, będzie z całą pewnością wymagało wszczęcia postępowania przed sądem, a my wierny przecież tak mało... Tylko podejrzewamy, ale nie wiemy.

— Naprawdę szczerze współczuję — powtórzył Poirot.

Jeśli wyobrażał sobie, że gościom zależało cokolwiek na jego współczuciu, to grubo się mylił. Nie chcieli współczucia, oczekiwali konkretnej pomocy. Pan Jesmond raz jeszcze powrócił do uroków angielskiego Bożego Narodzenia:

— Ta tradycja powoli zanika — powiedział. — Tradycja obchodzenia świąt tak, jak obchodzili je nasi dziadowie. Teraz ludzie spędzają ten czas w hotelach. Lecz prawdziwe angielskie święta, obchodzone wspólnie z całą rodziną, z dziećmi i ich pończochami na prezenty, z choinką, indykiem, puddingiem... z bałwanem za oknem...

Herkules Poirot, gwoli ścisłości, zmuszony był przerwać ten monolog:

— Do ulepienia bałwana potrzebny jest śnieg. A tego nie da się zamówić... nawet na angielskie święta.

— Dopiero co rozmawiałem ze znajomym z instytutu meteorologii — odrzekł pan Jesmond. — Jest wysoce prawdopodobne, że w święta spadnie śnieg.

Mówiąc to, pan Jesmond popełnił fatalny błąd. Herkulesa Poirot przeszył dreszcz jeszcze mocniejszy niż przedtem.

— Śnieg na wsi! — wykrzyknął. — Byłby to chyba szczyt ohydy! Olbrzymi, zimny, kamienny dom!

— Ależ skąd — odparł pan Jesmond. — W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele się zmieniło. Jest tam teraz olejowe centralne ogrzewanie.

— W Kings Lacey mają kaloryfery? — spytał Poirot. Po raz pierwszy w jego głosie dało się słyszeć wahanie.

Pan Jesmond wykorzystał szansę:

— Oczywiście, że tak — powiedział. — Są we wszystkich pokojach. Jest także ciepła woda. Zapewniam pana, *monsieur* Poirot, że Kings Lacey w zimie to po prostu komfort sam w sobie. Może nawet okazać się, że w domu jest zbyt ciepło.

— To chyba zupełnie nieprawdopodobne — odrzekł Herkules Poirot.

Z wyćwiczoną zręcznością pan Jesmond powrócił do głównego tematu:

— Chyba rozumie pan, przed jakim straszliwym dylematem stoimy — powiedział poufnym tonem.

Poirot skinął głową. Sprawa była rzeczywiście niewesoła. Młody człowiek, jedyny syn władcy pewnego bogatego i ważnego stanu w Indiach, przybył do Londynu kilka tygodni wcześniej. Jego kraj przechodził okres niepokoju oraz niezadowolenia. Opinia publiczna, lojalna wobec ojca, który niezmiennie pozostawał wierny tradycji przodków, niezupełnie ufała synowi. Jego szaleństwa miały charakter zdecydowanie zachodni, nie mógł więc liczyć na aprobatę.

Niedawno jednak ogłoszono zaręczyny młodego człowieka. Miał poślubić swą kuzynkę — kobietę, która choć wykształcona w Cambridge, we własnym kraju dbała o pozory i nie okazywała zbyt swobodnie swej „europejskości”. Ogłoszono datę ślubu i młody książę udał się w podróż do Anglii, zabierając niektóre ze słynnych rodowych klejnotów. Miał je oddać do Cartiera w celu wymiany oprawy na nowocześniejszą. Wśród nich znajdował się wyjątkowy, niezwykle cenny rubin, osadzony przedtem w staroświeckim niewygodnym naszyjniku, który zmieniono na modniejszy. I tu zaczęły się kłopoty. Nie można było oczekiwać, by bogaty, lubiący się bawić młodzieniec nie pozwolił sobie na parę rozkosznych szaleństw. Nikt zresztą nie miał mu tego za złe. Młodzi książęta mają swoje prawa. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby książę wziął swą chwilową przyjaciółkę na Bond Street i obdarzył ją tam bransoletą ze szmaragdem albo diamentowym klipsem w dowód wdzięczności za wszystkie miłe chwile spędzone w jej towarzystwie. Wydawało się to zupełnie naturalne, zważywszy fakt, iż ojciec księcia miał zwyczaj rozdawania Cadillaców ulubionym tancerkom.

Lecz książę zachował się dużo bardziej nierozważnie. Mile połączony zainteresowaniem młodej damy, pokazał jej ów wspaniały rubin w jego nowej oprawie, a co więcej, był na tyle niemądry, że uległ prośbom dziewczyny i pozwolił jej nosić go, chociaż przez jeden wieczór!

Skutki były przykre i natychmiastowe. Dziewczyna odeszła na chwilę od stołu, aby przypudrować sobie nos. Czas mijał, a ona nie wracała. Później okazało się, że opuściła lokal drugim wyjściem i rozplynęła się w powietrzu. Co gorsza, rubin w nowej oprawie zniknął razem z nią.

Takie właśnie były fakty, których podanie do publicznej wiadomości groziło trudnymi do przewidzenia konsekwencjami. Ten rubin był bowiem czymś więcej niż tylko drogocennym kamieniem. Był historycznym symbolem o wyjątkowym znaczeniu, zaś ujawnienie okoliczności jego zaginięcia groziło nieobliczalnymi politycznymi powikłaniami.

Pan Jesmond nie należał do ludzi, którzy wyrażają się specjalnie jasno. Wręcz przeciwnie, wszelkie informacje podawał w wyjątkowo zawiły sposób. Kim dokładnie jest pan Jesmond, Herkules Poirot nie wiedział. W trakcie swej wieloletniej kariery poznał wielu takich Jesmondów. Natomiast, czy ten tutaj ma jakieś powiązania z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych bądź Zagranicznych albo może ze służbami specjalnymi, nie było wyraźnie sprecyzowane. Działa w interesie Wspólnoty Brytyjskiej. Rubin ma być odnaleziony. A człowiekiem, który tego dokona, jest — jak delikatnie upierał się Jesmond — właśnie Poirot.

— Może i tak — przyznał detektyw — ale podali mi panowie tak mało informacji... Domysły... Przypuszczenia... Niewiele da się z tym zrobić.

— Ależ *monsieur* Poirot, na pewno pan sobie poradzi. Jest pan bardzo skromny...

— Nie zawsze mi się udaje.

Była to jednak fałszywa skromność. Sam ton Poirota wskazywał, że dla niego przyjęcie sprawy było niemal jednoznaczne z jej rozwikłaniem.

— Jego Wysokość jest człowiekiem bardzo młodym — powiedział pan Jesmond. — Szkoda byłoby niweczyć wszystkie jego szansę życiowe z powodu jednego tylko nierozważnego czynu.

Poirot spojrzał łagodnie na załamane go młodego człowieka.

— Młodość to czas szaleństw — powiedział. — Tyle że w życiu zwykłych ludzi nie mają one tak poważnych konsekwencji. Dobry tatuś spłaca długi syna, znajomy prawnik pomaga wyjść z kłopotów, a młody człowiek nabiera doświadczenia i wszystko kończy się jak najlepiej. Natomiast pańska sytuacja jest rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Zbliżający się termin ślubu...

— Właśnie! Właśnie o to chodzi. — Po raz pierwszy od momentu powitania z ust młodego człowieka popłynęły jakieś słowa. — Wie pan, to poważna panna, bardzo poważna. Wiele się nauczyła na studiach w Cambridge, I ma dużo ciekawych pomysłów. W moim kraju mają powstać szkoły, uniwersytety i tak dalej... Wszystko to w imię postępu, rozumie pan? Demokracji... Mówi, że nie będzie już tak, jak za czasów mego ojca. Oczywiście, zdaje sobie sprawę, że w Europie nie będę stronił od rozrywki... Ale skandalu mi nie wybaczy. O, nie! A jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw, będzie wielki skandal! Wie pan, to słynny w moim kraju rubin. Ma bardzo długą historię... Przelano dla niego wiele krwi... Wielu ludzi zginęło...

— Wielu ludzi zginęło — powtórzył w zamyśleniu Herkules Poirot i spojrzał na pana Jesmonda. — Miejmy nadzieję, że teraz do tego nie dojdzie...

Z ust pana Jesmonda wydobył się dziwny odgłos. Zupełnie jakby kura zdecydowała się znieść jajo, a później tego pożałowała.

— Ależ nie... — powiedział wreszcie, dość nienaturalnym tonem. — To raczej w ogóle nie wchodzi w grę... jestem pewien...

— Tego nigdy nie można być pewnym — odparł Herkules Poirot. — Ktokolwiek ma teraz ten

rubin... może go utracić na rzecz osób, które zechcą go zdobyć za wszelką cenę.

— Nie wydaje mi się— odrzekł pan Jesmond tonem brzmiącym jeszcze bardziej sztywno niż przedtem abyśmy musieli wdawać się w aż tak daleko idące spekulacje. To nie przyniesie żadnych korzyści...

— Jeśli o mnie chodzi — odpowiedział Poirot, a jego głos zabrzmiał nagle bardzo oficjalnie — to po prostu, tak jak politycy, biorę pod uwagę każdą możliwość.

Pan Jesmond spojrział nań z powątpiewaniem, po czym zebrał się w sobie i zapytał:

— Cóż, rozumiem, że sprawa jest załatwiona, *monsieur* Poirot? Pojedzie pan do Kings Lacey?

— A jak wytłumaczę swe przybycie? — spytał Herkules Poirot.

Pan Jesmond uśmiechnął się triumfująco.

— To da się szybko załatwić — odparł. — Mogę pana zapewnić, że pański przyjazd wyda się jak najbardziej naturalny. Z całą pewnością państwo Lacey spodobają się panu. To wyjątkowo mili ludzie.

— A nie oszukał mnie pan co do centralnego ogrzewania?

— Ależ skąd. — Pan Jesmond był wyraźnie urażony. — Zapewniam, że znajdzie pan tam wszelkie wygody.

— *Tout confort moderne** — mruknął Poirot do siebie. — *Eh bien* — powiedział. — Zgadzam się.

II

Temperatura w długim salonie w Kings Lacey wynosiła miłych dwadzieścia stopni. Poirot siedział przy jednym z dużych, dzielonych kamiennymi słupkami okien i rozmawiał z panią Lacey, która zajęta była szyciem. Nie robiła jednak murek ani nic haftowała kwiatów na jedwabiu, lecz po prostu obrębiała ścierki do naczyń. Jednocześnie mówiła łagodnym, pełnym refleksji głosem, który Poirotowi wydał się wprost uroczy.

— Mam nadzieję, że spodoba się panu nasze świąteczne przyjęcie. Będą tylko najbliżsi. Moja wnuczka, wnuk z przyjacielem, Bridget... to córka mojej siostrzenicy, kuzynka Diana, oraz nasz stary przyjaciel, Dawid Welwyn. Zwykle rodzinne spotkanie. Edwina Morecombe mówiła mi, iż właśnie coś takiego chciałby pan zobaczyć. Boże Narodzenie jak za dawnych lat... Chyba trudno znaleźć rodzinę tak wierną tradycji, jak nasza. Mój mąż dosłownie żyje przeszłością. Lubi, żeby wszystko było takie jak wtedy, kiedy miał kilkanaście lat i przyjeżdżał tu na wakacje. — Uśmiechnęła się do siebie. — Wszystko jak dawniej. Choinka, wiszące pończochy na prezenty, zupa z ostryg, indyk... nawet dwa indyki, jeden gotowany, a drugi pieczony. No i tradycyjny świąteczny pudding z obrączką, guzikiem starego kawalera i wszystkim innym... Nie możemy tylko wrzucać sześciopięsów, gdyż nie robią ich już z czystego srebra. Ale będą wszystkie tradycyjne słodkie, suszone śliwki, migdały, rodzynki, kandyzowane owoce i ciastka z imbirem... Mój Boże, brzmi jak katalog Fortnuma i Masona!*

— Czuję, że nabieram apetytu, *madame*.

— Przypuszczam, że jeszcze zanim minie jutrzejszy dzień, wszyscy będziemy cierpieć na straszliwą niestrawność — wyraziła swe obawy pani Lacey. — Nikt teraz nie jest przyzwyczajony do pochłaniania takich ilości jedzenia, nieprawdaż?

Przerwały jej jakieś głośnie okrzyki oraz wybuchy śmiechu dochodzące z za okna. Starsza pani wyjrzała na dwór.

— Nie mam pojęcia, co oni tam wyprawiają. To chyba jakaś gra. Zawsze się obawiam, że tych młodych ludzi znudzą święta obchodzone na nasz sposób. Ale nic podobnego, jest wręcz odwrotnie. Moje dzieci zawsze się wymądrzały, że trzymanie się tradycji jest bez sensu i że w święta najlepiej pojechać na tańce do jakiegoś hotelu. Natomiast młode pokolenie uważa naszą tradycyjną Gwiazdkę za niezwykle atrakcyjną. A poza tym — dodała zawsze praktyczna pani Lacey — dzieci w wieku szkolnym są ciągle głodne. Czyż nie mam racji? Oni chyba wszyscy głodują w tych szkołach. W końcu wiadomo, że dziecko w tym wieku potrafi zjeść tyle co trzech dorosłych mężczyzn.

Poirot roześmiał się.

— Jestem niezwykle wdzięczny, że zgodziła się pani na moją obecność na tym rodzinnym przyjęciu.

— My także czujemy się bardzo zaszczytzeni, mogąc pana gościć — odparła pani Lacey. — A jeśli

Horacy był wobec pana trochę gburowaty — dodała — proszę nie zwracać na niego uwagi. On tak zawsze...

To, co powiedział jej mąż, pułkownik Lacey, na wieść o planowanym przyjeździe Poirota, brzmiało dokładnie tak:

— Nie wiem, dlaczego chcesz mieć tu w czasie świąt jakiegoś przekłętego obcokrajowca!? Dobrze, dobrze, a więc to sprawka Edwiny Morecombe... Ciekawe, co ona ma z tym wspólnego? Dlaczego nie wzięła go do siebie?

— Ponieważ, o czym zresztą bardzo dobrze wiesz — odparła pani Lacey — Edwina jak zawsze pojechała do Claridge'a.

Mąż przeszył ją spojrzeniem.

— Czy ty przypadkiem czegoś nie knujesz, Em?

— Knuję? — odparła Em, szeroko otwierając bardzo niebieskie oczy. — Oczywiście, że niczego nie knuję. Dlaczego tak uważasz?

Stary pułkownik roześmiał się donośnym, dudniącym śmiechem.

— Bo zawsze, kiedy coś knujesz, wyglądasz właśnie tak niewinnie jak w tej chwili.

Myśląc o słowach swego małżonka, pani Lacey mówiła dalej:

— Edwina powiedziała mi, że być może będzie pan w stanie nam pomóc... Nie wiem, co prawda, w jaki sposób, lecz skoro Edwina twierdzi, iż często pomagał pan swym przyjaciołom w podobnych sprawach... Ale... Pan, zdaje się, nie wie, w czym rzecz? W odpowiedzi Poirot spojrział na nią zachęcająco. Pani Lacey, mimo że bliska siedemdziesiątki, trzymała się bardzo prosto. Jej włosy były całkiem białe, lecz miała różowe policzki, niebieskie oczy, zadarty nos i bardzo wyrazisty podbródek.

— Będę bardzo szczęśliwy, jeśli tylko będę mógł się jakoś odwdzięczyć — powiedział Poirot. — Rozumiem, że chodzi tu o tę dość nieszczęśliwą namiętność pani wnuczki.

Pani Lacey skinęła głową.

— Tak — odparła. — To trochę dziwne, że nie obawiam się rozmawiać z panem o tej sprawie. W końcu jest pan dla mnie człowiekiem zupełnie obcym...

— A do tego cudzoziemcem — dodał Poirot tonem pełnym zrozumienia.

— Właśnie — zgodziła się pani Lacey. — Ale może właśnie dlatego jest mi łatwiej... W każdym razie Edwina przypuszcza, iż może pan wiedzieć coś... jakby to powiedzieć... użytecznego na temat tego Desmonda Lee-Wortleya.

Poirot zamilkł na chwilę, pełen podziwu dla sprawności umysłu pana Jesmonda i łatwości, z jaką wykorzystał lady Morecombe dla swoich celów.

— Rozumiem, że ten młody człowiek nie ma najlepszej reputacji? — zaczął delikatnie.

— Rzeczywiście, nie ma! A raczej przeciwnie, ma wyjątkowo złą! Ale na Sarze nie robi to żadnego wrażenia. Zresztą, tłumaczenie młodej dziewczynie, że ktoś ma niedobłą reputację, nigdy nie przynosi rezultatów. A jeśli już, to wręcz przeciwne do zamierzonych.

— W pełni się z panią zgadzam! — odrzekł Poirot.

— Kiedy ja byłem młoda... — kontynuowała pani Lacey. — Dobry Boże, ile to czasu! A więc, kiedy byłem młoda, ostrzegano nas przed pewnymi młodzieńcami, lecz to oczywiście tylko zwiększało zainteresowanie i robiłyśmy wszystko, by z którymś z nich zatańczyć albo znaleźć się sam na sam w ciemnej oranżerii... — Roześmiała się. — Dlatego nie mogę zgodzić się na żadne z rozwiązań, które proponuje Horacy.

— Niech mi pani powie, co dokładnie panią niepokoi?

— Nasz syn zginął na wojnie — zaczęła pani Lacey — zaś synowa zmarła w czasie porodu. Dlatego Sara od urodzenia jest z nami i to myśmy ją wychowali. Zastanawiam się teraz, czy właściwie. Sama nie wiem. Ale zawsze uważaliśmy, że trzeba jej zostawić jak najwięcej swobody.

— Myślę, że tak właśnie należało postąpić — stwierdził Poirot. — Nie można walczyć z duchem czasu.

— Nie można — zgodziła się pani Lacey. — Właśnie tak zawsze uważałam. Oczywiście, dziewczęta robią dziś takie rzeczy...

Poirot spojrzał na nią pytająco.

— Wydaje mi się — wyjaśniła pani Lacey — że towarzystwo, w którym obraca się Sara, można określić jako barowo-kawiarniane. Ona nie chodzi na tańce, młodzi ludzie nie przychodzą po nią do domu, nie ma ambicji, by zostać debiutantką, nie, nic w tym rodzaju. Zamiast tego wynajmuje dwa dość nędzne pokoje w Chelsea*, niedaleko rzeki, nosi te swoje dziwaczne stroje i czarne albo jaskrawozielone pończochy. Bardzo grube! I do tego strasznie drapiące. I chodzi z nie umytymi i nie uczesanyimi włosami.

— *Ça, c'est tout a fait naturelle** — odparł Poirot. — To tylko moda. Wyrośnie z tego.

— Tak, wiem. I dlatego tym się nie martwię. Ale, wie pan, ona zaczęła zadawać się z tym Desmondem Lee-Wortleyem, a on ma naprawdę wyjątkowo fatalną opinię. Po prostu żeruje na dobrze sytuowanych dziewczętach. A one dosłownie szaleją za nim. Omal nie doszło do jego ślubu z niejaką panną Hope, ale jej rodzice oddali ją pod kuratelę sądu... Oczywiście Horacy chciałby zrobić to samo. Twierdzi, że musi, bo to ją chroni. Ale ja uważam, że to niezbyt szczęśliwy pomysł. Przecież oni mogą uciec do Szkocji, Irlandii, Argentyny albo jeszcze gdzie indziej i tam wziąć ślub,

czy nawet żyć bez ślubu. I choć to może obraza sądu, myślę... no cóż, że to do niczego nie prowadzi. Szczególnie, jeżeli w drodze jest dziecko. Wtedy trzeba się poddać i pozwolić na ślub. Po roku czy dwóch, tak mi się przynajmniej wydaje, dochodzi zwykle do rozwodu. Dziewczyna wraca do domu, a po następnym roku czy dwóch wychodzi za mąż za kogoś tak miłego i porządnego, że aż nudnego. I wszystko wraca do normy. Szkoda tylko dziecka, gdyż być wychowywanym przez najlepszego nawet ojczyrna to jednak nie to samo co przez ojca. Myślę, że lepiej było za naszej młodości, kiedy to pierwszy mężczyzna, w którym dziewczyna się zakochała, był zawsze kimś niepożądanym. Pamiętam, że strasznie kochałam się w pewnym młodym człowieku o imieniu... jak on właściwie miał na imię? To dziwne, ale zupełnie zapomniałam! Pamiętam tylko, że na nazwisko miał Tibbitt. Młody Tibbitt. Oczywiście mój ojciec zabronił mu wstępu do domu, lecz ponieważ Tibbitt bywał na tych samych balach co ja, tańczyliśmy razem. A czasami wymykaliśmy się, aby ze sobą posiedzieć, albo też nasi znajomi organizowali pikniki, na które nas zapraszali. Oczywiście te potajemne spotkania były tym bardziej ekscytujące i sprawiały nam tym większą przyjemność. Ale wtedy dziewczyna za nic nie posunęłaby się... no cóż, nie posunęłaby się tak daleko, jak robią to dzisiejsze młode panny... Po pewnym czasie państwo Tibbitt dokądś wyjechali. I wie pan co? Kiedy trzy czy cztery lata później spotkałam Tibbitta, dziwiłam się, co ja w nim takiego widziałam!

Wydał mi się taki nieciekawym. I taki... pretensjonalnym. Nie miałam z nim o czym rozmawiać.

— Człowiek zawsze myśli, że najlepiej było w czasach jego młodości — stwierdził Poirot cokolwiek sentencjonalnie.

— Wiem — powiedziała pani Lacey. — To nudne, prawda? Nie powinnam być taka nudna. Ale naprawdę nie chcę, żeby Sara, to dobre, kochane dziecko, wyszła za Desmonda Lee–Wortleya. Ona i Dawid Welwyn, który także tu przyjechał, byli zawsze bliskimi przyjaciółmi i wprost przepadali za sobą... Mieliśmy nadzieję, Horacy i ja, że kiedy dorosną, pobiorą się. Ale oczywiście Sara uważa teraz Dawida za nudziarza, zaś w Desmondzie jest zadurzona po same uszy.

— Nie jestem pewien, czy dobrze panią zrozumiałem, *madame* — odezwał się Poirot. — Czy to znaczy, że ten Desmond Lee–Wortley także jest tutaj?

— To moja sprawa — odparła pani Lacey. — Horacy chciał stanowczo wszystko załatwić zakazami. Oczywiście, w czasach młodości Horacego ojciec albo opiekun dziewczyny po prostu wpadłby z batem do mieszkania młodego człowieka! Dlatego Horacy uważał, że należy zabronić Desmondowi pokazywania się w naszym domu, zaś Sarze — widywania się z nim. Ja jednak twierdzę, że to niedobre rozwiązanie. „Nie — zaproponowałam. — Właśnie zaproszmy go tutaj. Na święta.” Oczywiście mój mąż powiedział, że oszalałam. „Spróbujmy — odparłam. — Niech spędzi trochę czasu z nami, w atmosferze naszego domu... I bądźmy dla niego jak najmilszi. Może wtedy wyda się Sarze mniej interesujący!”

— Myślę, *madame*, że coś w tym jest — odrzekł Poirot. — Pani pomysł wydaje mi się bardzo mądry. Znacznie mądrzejszy niż męża.

— Mam nadzieję, że się pan nie myli — odparła pani Lacey z powątpiewaniem. — Ale jak na razie mój plan się nie sprawdza. Oczywiście, on jest tu dopiero od paru dni. — W jej pomarszczonych policzkach pojawiły się nagle dołeczki. — Muszę przyznać się panu do czegoś,

monsieur Poirot. Tak naprawdę, to sama go polubiłam i nie potrafię nic na to poradzić. To znaczy, zdaję sobie sprawę, jakie z niego ziółko, lecz nie umiem oprzeć się jego urokowi. Oj, tak, chyba wiem, co Sara w nim widzi. Tylko jestem już dość stara, by wiedzieć z doświadczenia, że Desmond nie nadaje się na męża. Mimo to naprawdę lubię jego towarzystwo... I wydaje mi się — dodała, jakby zamyślona — że ma także dobre strony. Wie pan, spytał mnie, czy mógłby przywieźć tu swoją siostrę. Miała niedawno jakąś operację i leżała w szpitalu. Desmond powiedział, że byłoby mu przykro, gdyby musiała spędzić całe święta w szpitalu. Dlatego spytał, czy nie byłby to dla nas zbyt wielki kłopot, gdyby ją zabrał. Obiecał, że będzie nosił jej posiłki i opiekował się nią. To chyba ładnie z jego strony, prawda?

— Rzeczywiście. Wykazał się troskliwością, która wydaje się nie pasować do jego charakteru.

— Och, sama już nie wiem. Można troszczyć się o swoją rodzinę, a jednocześnie chcieć wykorzystać zamożną młodą pannę. Wie pan, Sara będzie bardzo bogata. Trochę odziedziczy po nas... Nie będzie tego dużo, gdyż większość pieniędzy przypadnie wraz z tą posiadłością Colinowi, naszemu wnukowi. Jednak jej matka była bardzo zamożna i Sara, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat, odziedziczy wszystkie te pieniądze. Teraz ma dopiero dwadzieścia... Tak, to naprawdę bardzo ładnie, że Desmond tak dba o swoją siostrę. I wcale nie próbuje stwarzać wrażenia, że to jakaś ważna figura. Z tego co wiem, dziewczyna pracuje jako sekretarka w jednym z londyńskich biur. A chłopak dotrzymał słowa i rzeczywiście nosi jej posiłki. Może nie zawsze, ale bardzo często. Więc myślę, że jednak ma on także jakieś zalety... Ale mimo wszystko — powtórzyła z wielką stanowczością — nie chcę, żeby Sara wyszła za niego.

— Z tego, co słyszałem i co mi pani powiedziała — odparł Poirot — wynika, że to byłaby prawdziwa katastrofa.

— Czy myśli pan, że będzie w stanie jakoś nam pomóc? — spytała pani Lacey.

— Myślę, że to możliwe — odrzekł Poirot — choć nie chciałbym zbyt wiele obiecywać... Gdyż musi pani wiedzieć, *madame*, że tacy panowie są bardzo inteligentni. Lecz proszę nie rozpaczać, może uda się jednak coś zrobić. W każdym razie, uczynię wszystko, co w mojej mocy, choćby z wdzięczności za to, że była pani taka uprzejma i zechciała zaprosić mnie na te święta. A niełatwe musi być dzisiaj ich przygotowanie.

— Rzeczywiście — westchnęła pani Lacey i pochyliła się ku niemu. — Czy wie pan, *monsieur* Poirot, o czym naprawdę marzę...? Co chciałabym mieć?

— Nie, ale proszę mi powiedzieć, *madame*.

— Wprost marzę o niewielkim nowoczesnym domku... Nie, może niekoniecznie musi być parterowy, ale w każdym razie nieduży, nowoczesny i łatwy do prowadzenia. Stałby gdzieś w parku, miał dobrze wyposażoną kuchnię i nie byłoby w nim tych długich korytarzy.

— To bardzo praktyczny pomysł.

— Niestety nie dla mnie — odparła pani Lacey. — Mój mąż kocha ten dom. Uwielbia tu żyć. Nie

ma nic przeciwko pewnym niewygodom, a myśl o przeprowadzeniu się do małego nowoczesnego domku wprost napawa go wstrętem!

— A więc poświęca się pani dla niego? Pani Lacey wyprostowała się.

— Nie uważam tego za poświęcenie, *monsieur* Poirot — odparła. — Wysłałam za niego, by go uszczęśliwić. A on jest dla mnie dobrym mężem i przez wszystkie te razem spędzone lata dał mi wiele szczęścia. Ja pragnę odwzajemnić mu się tym samym.

— A więc będą państwo dalej tu mieszkać?

— Tak. To nie jest wcale aż tak nieprzyjemne.

— Ależ skąd — odparł Poirot pospiesznie. — Wręcz przeciwnie, to bardzo wygodny dom, zwłaszcza dzięki centralnemu ogrzewaniu i ciepłej wodzie.

— Wydaliśmy wiele pieniędzy na te udogodnienia — powiedziała pani Łacey. — Udało nam się sprzedać kawałek ziemi. Teren gotowy pod zabudowę, tak to określają. Na szczęście znajduje się on po drugiej stronie parku i nie widać go z domu. Tak naprawdę jest to dość brzydki zakątek w brzydkiej okolicy... Ale udało nam się uzyskać wysoką cenę. Tak więc stać nas było na modernizację.

— A co ze służbą?

— Och, z tym jest dużo mniej problemów, niż pan myśli. Oczywiście nie wygląda to tak jak kiedyś. Przychodzą do nas różni ludzie z wioski. Dwie kobiety rano, później następne dwie, które przygotowują obiad, podają go i sprzątają po nim. I jeszcze dwie wieczorem. Jest naprawdę dużo ludzi, którzy chcą popracować kilka godzin dziennie. A jeśli chodzi o Boże Narodzenie, to w ogóle mamy dużo szczęścia. Zawsze przyjeżdża do nas droga pani Ross. To wspaniała kucharka, proszę mi wierzyć. Kilka lat temu przeszła na emeryturę, ale w nagłej potrzebie zawsze nam pomaga. No i jest jeszcze nasz wspaniały Peverell.

— Państwa lokaj?

— Tak. On także jest już na emeryturze i mieszka w niewielkim domku niedaleko stąd, ale upiera się, aby w każde święta podawać do stołu. Jestem naprawdę przerażona, *monsieur* Poirot, gdyż jest już tak stary i zniedołężniały, że ilekroć bierze coś do rąk, obawiam się, że to upuści. Do tego ma chore serce i boję się, by się nie przepracował. Jednak byłby bardzo urażony, gdybym nie pozwoliła mu przyjść. Zawsze oburza go stan naszych sreber, ale nim miną trzy dni, wszystko lśni jak nowe. Tak, to naprawdę stary, wierny przyjaciel. — Uśmiechnęła się do Poirota. — A więc, jak pan widzi, czekają nas szczęśliwe święta. I do tego białe — dodała, wyglądając przez okno. — Widzi pan? Zaczyna padać śnieg, O, wracają dzieci. Czas, żeby je pan poznał.

Poirot został uroczyście przedstawiony. Najpierw Colinowi i Michaelowi — wnukowi i jego koledze, miłym piętnastolatkom, z których jeden miał ciemne, a drugi jasne włosy. Później ich rówieśnicy, Bridget, tryskającej energią dziewczynie o kruczoczarnych włosach.

— A to moja wnuczka Sara — powiedziała pani Lacey.

Poirot spojrział z pewnym zainteresowaniem na Sarę, przystojną pannę o gęstych rudych włosach. Zachowywała się nerwowo i nieco wyzywająco, lecz dla babki była bardzo czuła.

— A to jest pan Lee–Wortley.

Pan Lee–Wortley ubrany był w golf rybacki i obcisłe czarne dżinsy. Włosy miał długie i chyba się tego ranka nie golił. Zupełnym jego przeciwieństwem był młody człowiek przedstawiony Poirotowi jak Dawid Welwyn. Masywnie zbudowany, spokojny, miał miły uśmiech i najwyraźniej nic stronił od wody i mydła. Jako ostatnią przedstawiono Poirotowi zgrabną i wyglądającą na bardzo uczuciową dziewczynę, Dianę Middleton.

Podano podwieczorek, solidny posiłek, na który składały się trójkątne placki z jęczmiennej mąki, naleśniki, kanapki oraz trzy rodzaje ciasta. Młodzież natychmiast rzuciła się na jedzenie. Pułkownik Lacey przyszedł ostatni i rzekł obojętnie:

— Hej, podwieczorek? Ach, tak, podwieczorek... Wziął podaną mu przez żonę filiżankę herbaty, nałożył sobie na talerzyk dwa placki i obrzuciwszy Desmonda Lee–Wortleya niechętnym spojrzeniem, usiadł tak daleko od niego, jak tylko to było możliwe. Pułkownik był potężnym mężczyzną o krzaczastych brwiach i czerwonej, wysmaganej wiatrem twarzy. Wyglądał raczej na farmera niż pana tak dużej posiadłości.

— Śnieg zaczął sypać — powiedział. — Będziemy mieli białe święta.

Po podwieczorku wszyscy się rozeszli.

— Pewnie poszli się bawić swymi magnetofonami — poinformowała pani Lacey Poirota i pobłażliwie spojrzała za wychodzącym wnukiem. Jej głos brzmiał tak, jakby mówiła: „Dzieciaki idą się bawić ołowianymi żołnierzami”.

— Ta nowoczesna technika to dla nich najważniejsza rzecz na świecie.

Jednak chłopcy i Bridget postanowili pójść nad jezioro i zorientować się, czy lód jest wystarczająco gruby, by się dało pojeździć na łyżwach.

— Chciałem iść na łyżwy już dzisiaj rano — powiedział Colin. — Ale stary Hodgkins mi zabronił. On jest zawsze taki piekielnie ostrożny.

— Chodźmy na spacer, Dawidzie — odezwała się łagodnie Diana Middleton.

Dawid wahał się przez chwilę, patrząc na rudowłosą Sarę, która stała obok Desmonda Lee–Wortleya, trzymając go za rękę i zaglądając w oczy.

— Dobrze — zgodził się. — Chodźmy.

Diana ujęła go pod ramię i ruszyli w stronę drzwi prowadzących do ogrodu.

— Może my także się przejdziemy, Desmondzie? — zaproponowała Sara. — W domu jest strasznie sztywna atmosfera.

— Komu by się chciało chodzić? — odparł Desmond. — Wyprowadzę auto. Pojedziemy na drinka do „Łaciatego Dzika”.

Sara przez chwilę się zastanawiała, po czym rzekła:

— Lepiej do „Białego Jelenia” w Market Ledbury. Tam jest dużo zabawniej.

Sara instynktownie czuła, chociaż nigdy w życiu nie przyznałaby się do tego, że nie powinna jechać z Desmondem do miejscowego pubu. Było to po prostu sprzeczne z tradycją Kings Lacey. Kobiety z Kings Lacey nigdy nie bywały w „Łaciatym Dziku”. Sara miała niejasne przeczucie, że jeśli zdecyduje się tam pojechać, sprawi straszny zawód pułkownikowi i jego żonie. „A właściwie, dlaczego nie?” — spytałby pewnie Desmond Lee-Wortley. Zirytowana Sara poczuła nagle, że wie dlaczego. Nie robi się bez powodu przykrości takim kochanym ludziom jak dziadek i stara Em. Przecież oni naprawdę są wspaniali, pozwalając jej żyć tak, jak chce. Co prawda zupełnie nie rozumieją, dlaczego zdecydowała się mieszkać w Chelsea, lecz potrafią to zaakceptować. Oczywiście głównie dzięki Em. Dziadek, gdyby to od niego zależało, awanturowałby się bez końca.

Sara nie miała żadnych złudzeń co do poglądów dziadka na jej sposób życia. To nie on wpadł na pomysł, aby zaprosić Desmonda na święta. To Em, zawsze tak samo kochana Em.

Kiedy Desmond poszedł po samochód, Sara wsunęła jeszcze na moment głowę do salonu.

— Jedziemy do Market Ledbury — oznajmiła. — Wpadniemy na chwilę do „Białego Jelenia”.

W jej głosie słychać było odrobinę przekory, lecz pani Lacey jakby jej nie zauważyła.

— Dobrze, kochanie — odparła. — Na pewno będzie miło. Dawid i Diana poszli na spacer. Bardzo się cieszę. Myślę, że to był genialny pomysł, żeby zaprosić tu Dianę. To strasznie smutne, zostać tak młodą wdową... Ma przecież zaledwie dwadzieścia dwa lata... Ale może już niedługo ponownie wyjdzie za mąż... Sara przyjrzała się jej bacznie.

— Ty coś knujesz, Em.

— To taki mój mały plan — odparła pani Lacey wesoło. — Myślę, że Diana jest odpowiednią osobą dla Dawida. Oczywiście wiem, że on strasznie się w tobie kochał, droga Saro, ale teraz to na nic, no i jakoś nie jest w twoim typie. Nie chcę, by dłużej cierpiał, i tak coś czuję, że Diana będzie do niego pasować...

— Ależ z ciebie swatka, Em.

— Wiem — odparła pani Lacey. — Jak każda starsza pani. Diana chyba już się w nim podkochuje. Nie uważasz, że są jak dla siebie stworzeni?

— Raczej nie — odrzekła Sara. — Myślę, że Diana jest stanowczo zbyt... no... zbyt uczuciowa,

zbyt poważna. Obawiam się, że Dawid będzie się z nią strasznie nudził.

— No cóż, zobaczymy — powiedziała pani Lacey. — Tak czy owak, tobie na nim nie zależy, prawda, kochanie?

— Nie, zupełnie nie — odparła Sara, bardzo szybko, po czym z jeszcze większym pośpiechem spytała: — Lubisz Desmonda, prawda, Em?

— Jest bardzo miły — odparła pani Lacey.

— Dziadek go nie znosi — powiedziała Sara.

— Chyba trudno się temu dziwić, nieprawdaż? Ale przypuszczam, że go polubi. To tylko kwestia czasu. Nie możesz go poganiać, Saro. Starsi ludzie bardzo wolno zmieniają zdanie, a twój dziadek zawsze należał do raczej upartych.

— Nie obchodzi mnie, co dziadek myśli i mówi — stwierdziła Sara. — I tak wyjdę za Desmonda, kiedy tylko zechcę.

— Wiem, kochanie, wiem. Ale bądź realistką, moja droga. Dziadek mógłby narobić ci wiele kłopotów, przecież zdajesz sobie z tego sprawę. Jesteś jeszcze niepełnoletnia. Za rok będziesz mogła robić, co zechcesz. Mam nadzieję, że do tego czasu Horacy jakoś pogodzi się z tą myślą.

— Jesteś po mojej stronie, prawda? — spytała Sara. I rzuciwszy się babce na szyję, ucałowała ją czule.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa — odparła pani Lacey. — Aha! Twój ukochany czeka na ciebie. Wiesz, bardzo mi się podobają te obcisłe spodnie, noszone teraz przez młodych mężczyzn. Wyglądają bardzo elegancko... Mimo że podkreślają krzywe nogi.

Sara pomyślała, że Desmond rzeczywiście ma krzywe nogi... Przedtem nigdy nie zwróciła na to uwagi...

— No, idź już i baw się dobrze — powiedziała pani Lacey.

Patrzyła, jak wnuczka wsiada do samochodu, a później, nagle przypomniawszy sobie o nowym gościu, skierowała się do biblioteki. Kiedy jednak uchyliła drzwi, zobaczyła, że Herkules Poirot ucina sobie właśnie miłą drzemkę. Uśmiechnęła się do siebie i ruszyła długim korytarzem do kuchni, aby odbyć naradę z panią Ross.

— Wsiadaj, ślicznotko — powiedział Desmond. — Twoja rodzinka wścieka się z powodu naszej wycieczki do pubu? Oni są jednak strasznie zacofani, prawda?

— Wcale się nie wściekli — odparła Sara ostro, wsiadając do auta.

— Co to za pomysł z tym cudzoziemcem? On, zdaje się, jest detektywem, prawda? Ciekawe, kogo ma śledzić?

— Przecież on nie przyjechał tu służbowo. Edwina Morecombe, moja babka, poprosiła nas, byśmy go zaprosili. O ile się orientuję, on już od dawna nie pracuje.

— Stara, wysłużona dorożkarska szkapa? — zakpił Desmond.

— Chciał zobaczyć tradycyjne angielskie Boże Narodzenie — odparła Sara wymijająco.

Desmond zaśmiał się pogardliwie.

— Cały ten kicz? Nie rozumiem, jak ty to możesz znieść.

Sara gwałtownym ruchem odrzuciła do tyłu swe rude włosy, przy czym jej wyrazisty podbródek jeszcze bardziej się uwydatnił.

— Lubię to! — powiedziała wyzywająco.

— To niemożliwe, kochanie. Skończmy z tym jutro i wyjedźmy gdzieś. Na przykład do Scarborough.

— Nie mogę tego zrobić.

— Dlaczego?

— Bo zraniłabym ich uczucia.

— Brednie! Bardzo dobrze wiesz, że wcale cię nie bawią te dziecinne, sentymentalne bzdury.

— Rzeczywiście, może nie, ale... — Sara urwała. Nagle poczuła się winna, że z niecierpliwością oczekuje tych świąt. Lubiła ich nastrój, choć przed Desmondem nigdy nie przyznałaby się do tego. Pozytywny stosunek do Gwiazdki i życia rodzinnego nie mógł mu się spodobać. Przez chwilę żałowała, że Desmond przyjechał do Kings Lacey na Boże Narodzenie. Właściwie żałowała, że w ogóle przyjechał. W Londynie wydawał się jej dużo zabawniejszy.

W tym czasie chłopcy i Bridget wracali znad jeziora, w dalszym ciągu gorączkowo rozprawiając na temat jazdy na łyżwach. W powietrzu wirowały płatki śniegu i patrząc na niebo, nietrudno było się domyślić, że zanoszą się na sporą zadymkę.

— Będzie padać całą noc — stwierdził Colin. — Założę się, że w świąteczny ranek będzie już przynajmniej kilka stóp śniegu.

Ta perspektywa wszystkim wydała się przyjemna.

— Ulepmy bałwana — zaproponował Michael.

— Mój Boże! — wykrzyknął Colin. — Nie lepiłem bałwana od czasu, kiedy miałem... chyba cztery lata.

— To chyba wcale nie jest takie łatwe — odezwała się Bridget. — To znaczy, trzeba znać sposób...

— Możemy zrobić podobiznę pana Poirota — zaproponował Colin. — Przyczepimy mu czarne wąsy. Chyba znajdziemy jakieś w pudle z kostiumami maskaradowymi.

— Nie rozumiem — powiedział Michał, zamyślony — jak to w ogóle możliwe, że pan Poirot jest detektywem. Nie potrafię wyobrazić go sobie w przebraniu.

— Aha — zgodziła się Bridget. — Tak samo nie umiem go sobie wyobrazić biegającego z lupą i szukającego śladów.

— Mam pomysł — wykrzyknął Colin. — Zróbmy coś dla niego!

— Co takiego? — spytała Bridget.

— Przygotujmy mu morderstwo.

— Wspaniały pomysł — zgodziła się Bridget. — Chodzi ci o ciało leżące w śniegu czy coś takiego?

— Tak, właśnie. Poczuliby się jak w domu, prawda?

Bridget zachichotała.

— Nie wiem, czy odważę się posunąć aż tak daleko.

— Jeśli będzie padał śnieg, będziemy mieli odpowiednią scenerię. Ciało, ślady stóp... Musimy wszystko dokładnie zaplanować. Trzeba też będzie podwędzić któryś ze sztyletów dziadka. No i przygotować krew.

Zatrzymali się i nie zwracając uwagi na coraz mocniej padający śnieg, rozpoczęli gorącą dyskusję.

— W starym pokoju szkolnym są farbki. Możemy je rozrobić. Mielibyśmy krew.

— Tylko musimy uważać, żeby nie wyszła nam zbyt różowa — powiedziała Bridget. — Do czerwieni trzeba dodać trochę brązu.

— Kto będzie trupem? — spytał Michael.

— Ja — odparła szybko Bridget.

— Poczekaj — sprzeciwił się Colin. — To był mój pomysł.

— O nie, nie — odparła Bridget. — Trupem musi być dziewczyna. To bardziej ekscytujące... Piękna dziewczyna leżąca bez życia w głębokim śniegu.

— Piękna dziewczyna! Cha, cha! — zaszydził Michael.

— Poza tym jestem brunetką.

— A co to ma do rzeczy?

— Włosy będą dobrze widoczne na śniegu. A jeśli założę swoją czerwoną pizamę...

— Jeżeli założysz czerwoną pizamę, nie będzie widać krwi — przytomnie zauważył Michael.

— Ale ona będzie tak efektownie wyglądać! I ma białe wyłogi, więc plamy krwi można umieścić na nich. Och, ale będzie fajnie! Jak myślicie, czy on da się nabrać?

— Jeśli zrobimy to z głową... — odparł Michael. — Będziemy musieli zostawić ślady twoich stóp i jeszcze kogoś, oczywiście mężczyzny. Muszą prowadzić tam i z powrotem. On nie będzie chciał ich zdeptać, więc nie podejdzie za blisko i nie zorientuje się, że wcale nie jesteś martwa. Czy nie myślicie... — Michael przerwał, gdyż nagle coś przyszło mu do głowy. — Czy nie myślicie, że się zdenerwuje?

— Och, myślę, że nie — odrzekła Bridget z optymizmem. — Na pewno zrozumie, że chcieliśmy go rozerwać. Taki świąteczny prezent.

— Myślę, że nie powinniśmy robić tego w dzień Bożego Narodzenia — zreflektował się Colin. — Dziadkowi mogłoby się to nie spodobać.

— W takim razie w drugi dzień świąt — zaproponowała Bridget.

— Tak będzie najlepiej — zgodził się Michael.

— I zyskamy więcej czasu na przygotowania — powiedziała Bridget. — A mamy dużo do zrobienia. Więc chodźmy i zajmijmy się rekwizytami.

W pośpiechu ruszyli do domu.

III

Wieczór spędzono bardzo pracowicie. Przyniesiono mnóstwo ostrokrzewu i jemioly, a w kącie jadalni ustawiono choinkę. Wszyscy pomagali ją ubierać. Za obrazy powtykano gałęzie ostrokrzewu, w holu zawieszono jemiolę.

— Nie miałem zielonego pojęcia, że ktokolwiek zajmuje się jeszcze takimi bzdurami — mruczał pogardliwie Desmond.

— Zawsze tak robiliśmy — próbowała bronić się Sara.

— Też mi powód!

— Och, nie zrzedź, Desmondzie. Ja myślę, że to nawet zabawne.

— Saro, kochanie, to niemożliwe!

— Może rzeczywiście masz rację... Ale tylko do pewnego stopnia.

— Kto zamierza stawić czoło śnieżycy i pójść na pasterkę? — spytała pani Lacey, kiedy zegar wskazał za dwadzieścia dwunastą.

— Na pewno nie ja — stwierdził Desmond. — Chodźmy, Saro. — Chwyił Sarę za ramię i poprowadził w stronę biblioteki. — Są pewne granice — powiedział. — Pasterka! Też coś!

— Tak — zgodziła się Sara. — Tak... Większość pozostałych włożyła płaszcze i wyszła

wśród śmiechów, tupiąc nogami w sieni. Obaj chłopcy, Bridget, Dawid oraz Diana wyruszyli na dziesięciominutowy spacer przez zasy do kościoła. Ich śmiech powoli cichnął w oddali.

— Pasterka! — parsknął pułkownik Lacey. — Za czasów mojej młodości nikt nie chodził na żadne pasterki... Msza! To dobre dla papistów... Och, przepraszam, *monsieur Poirot*...

Poirot machnął ręką.

— W porządku, niech pan się nie krępuje.

— Najlepsze są ranne nabożeństwa, powiedziałbym. Porządne niedzielne nabożeństwo. Kolędy... *Słuchajcie śpiewu wysłanników niebios*... i inne. Stare, dobre pieśni. A później na świąteczny obiad. Tak powinno być, nieprawdaż, Em?

— Tak, mój kochany — zgodziła się pani Lacey. — Tak my robimy. Ale młodzieży podoba się pasterka. To miłe, że chcą na nią iść.

— Sara i ten jej... absztyfikant nie chcieli.

— Ależ mój drogi. Myślę, że się mylisz — odrzekła pani Lacey. — Sara chciała iść, ale bała się przyznać.

— Drażni mnie, że ona w ogóle przejmuję się jego zdaniem.

— Jest jeszcze taka młoda — powiedziała pani Lacey łagodnie. — Idzie pan już spać, *monsieur* Poirot? W takim razie dobranoc. I przyjemnych snów.

— A pani, *madame*? Pani jeszcze się nie kładzie?

— Nie, jeszcze nie. Muszę napełnić pończochy... Wiem, że oni są już właściwie dorośli, ale czekają na nie. Wkładamy do nich różne drobiazgi... Świetnie się przy tym bawimy.

— Ciężko pani pracuje, aby zapewnić miłą atmosferę w czasie świąt — stwierdził Poirot. — Podziwiam panią.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował z szacunkiem.

— Hmm — mruknął pułkownik, kiedy Herkules Poirot zniknął za drzwiami. — Trochę dziwaczny człowiek z tego Poirota. Ale potrafi cię docenić.

Pani Lacey uśmiechnęła się do męża.

— Czy zauważyłeś, drogi Horacy, że stoję pod jemiolą? — spytała z namaszczeniem godnym dziewiętnastolatki.

Herkules Poirot wszedł do swej sypialni. Był to spory pokój, dobrze wyposażony w koloryfery. Zbliżając się do swego wielkiego łóżka z baldachimem, Poirot zauważył kopertę leżącą na poduszce. Otworzył ją i wyjął złożoną kartkę papieru. Była na niej krótka wiadomość napisana niewprawną ręką dużymi, drukowanymi literami:

NIECH PAN NIE JE ŚWIĄTECZNEGO

PUDDINGU.

ŻYCZLIWY

Uniósł brwi ze zdziwienia.

— Tajemnicze — mruknął. — I zupełnie nieoczekiwane.

IV

Obiad świąteczny rozpoczął się o drugiej. Była to prawdziwa uczta. W kominku wesoło trzaskały wielkie kłody, a przy stole narastał gwar wielu mówiących jednocześnie głosów. Zaczęto od zupy z ostryg. Następnie pojawiły się i zniknęły dwa indyki. O tym, że w ogóle istniały, mogły świadczyć tylko ogryzione szkielety. I wreszcie ten uroczysty moment: świąteczny pudding w całej okazałości.

Stary, osiemdziesięcioletni Peverell, mimo drżących kolan i trzęsących się rąk, nie zgodził się, aby ktokolwiek inny wniósł ten rarytas. Pani Lacey nerwowo ścisnęła dłonie. Była przekonana, że podczas kolejnego świątecznego obiadu Peverell padnie martwy na ziemię. Musiała jednak wybierać pomiędzy ryzykiem, że rzeczywiście tak się stanie, a zranieniem jego uczuć. Prawdopodobnie po takim ciosie wolałby umrzeć niż dalej żyć, więc pani Lacey wybrała jednak pierwszą możliwość.

Pudding na srebrnym półmisku prezentował się wprost wspaniale. Wielka półkula z wetkniętą w środek gałązką ostrokrzewu, obrzeżona kręgiem niebieskich i czerwonych ogników, robiła imponujące wrażenie. Rozległy się oklaski i okrzyki zachwyty.

Jedno się pani Lacey udało: mianowicie przekonała Peverella, aby zamiast obnosić półmisek wokół stołu, postawił go przed nią, tak by mogła nałożyć każdemu jego porcję. Gdy pudding wylądował szczęśliwie, pani Lacey odetchnęła z wyraźną ulgą. Talerzyki natychmiast zaczęły krążyć wokół stołu. Wesołe ogniki w dalszym ciągu lizały porcje przysmaku.

— Proszę, panie Poirot — wykrzyknęła Bridget. — Proszę, zanim zgaśnie płomień. Szybko, babciu, szybko!

Pani Lacey oparła się wygodnie, wyraźnie zadowolona z siebie. Operacja „Pudding” zakończyła się sukcesem. Każdy miał przed sobą swoją porcję. I żadna z nich nie zgasła przed podaniem. Na chwilę zapadła zupełna cisza.

Nikt nie zauważył dość dziwnego wyrazu twarzy Herkulesa Poirot, który uważnie przyglądał się swej porcji. *Niech pan nie je świątecznego puddingu.* Co, do licha, miało znaczyć to złowrogie ostrzeżenie? Przecież jego porcja niczym nie może różnić się od pozostałych! Herkules Poirot westchnął skonfundowany — a wręcz nie znosił tego uczucia — i chwycił za sztućce.

— Może sosu, *monsieur* Poirot?

Poirot z przyjemnością nałożył sobie sosu.

— Znowu zwędziłaś moją najlepszą brandy, Em? — spytał pułkownik, uśmiechając się dobrodusznie. Em puściła do niego oko i odparła:

— Pani Ross twierdzi, że inna się nie nadaje, kochanie. Zepsułaby cały smak.

— Dobrze już, dobrze — odrzekł pan Lacey. — Boże Narodzenie mamy tylko raz w roku, a pani

Ross jest wspaniałą kobietą. Wspaniałą kobietą i taką samą kucharką.

— Rzeczywiście — zgodził się Colin, opychając się żarłocznie. — Co za pyszności!

Delikatnie i powoli Herkules Poirot zaatakował swoją porcję. Spróbował ostrożnie. Coś wspaniałego! Zaczął więc jeść dalej. Nagle na jego talerzyku coś cicho zabrzęczało. Poirot starał się zbadać widelcem, co to takiego. Siedząca po jego lewej stronie Bridget pośpieszyła z pomocą.

— Pan coś tu ma, panie Poirot — powiedziała. — Ciekawe, co to takiego?

Poirot odsunął na bok rodzyнки, które oblepiały tajemniczy przedmiot.

— Uuuuu! — krzyknęła Bridget. — To guzik starego kawalera! Pan Poirot ma guzik!

Herkules Poirot opłukał srebrny guzik w niewielkim naczynku z wodą stojącym obok jego talerza.

— Jest bardzo ładny — zauważył.

— To oznacza, że zostanie pan starym kawalerem, panie Poirot — wyjaśnił Colin usłużnie.

— Tego należało się spodziewać — odparł Poirot poważnie. — Tak długo już jestem kawalerem, że zmiana wydaje się nieprawdopodobna.

— Och, niech pan nigdy nie mówi „hop”! — odezwał się Michael. — Czytałem ostatnio w gazecie, że pewien dziewięćdziesięciolatek poślubił dwudziestodwuletnią dziewczynę.

— To zachęcające — rzekł.

Nagle pułkownik Lacey wydał dziwny okrzyk. Jego twarz zrobiła się purpurowa. Ręką sięgnął do ust.

— A niech to diabli, Emmeline! — ryknął. — Dlaczego pozwoliłaś kucharce wrzucić szkło do puddingu?

— Szkło?! — wykrzyknęła pani Lacey, zdenerwowana.

Pułkownik wyjął coś z ust.

— Mogłem sobie złamać ząb — mruknął. — Albo połknąć to diabelstwo i nabawić się zapalenia wyrostka.

Wrzucił kawałek szkła do swego naczynka z wodą, wypłukał i uniósł do góry.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Przecież to czerwony kamień z jakiejś broszki!

— Pozwoli pan?

Poirot zwinnym ruchem wyjął pułkownikowi kamień z ręki. Przyjrzał mu się uważnie. Tak jak

powiedział gospodarz, był to ogromny kamień w kolorze rubinu. Gdy Poirot obracał go w palcach, światło załamywało się na fasetach. Gdzieś po drugiej stronie stołu ktoś gwałtownie wysunął krzesło, po czym wsunął je z powrotem.

— Fiuuu... — gwizdnął Michael. — A może jakimś cudem okaże się, że jest prawdziwy!

— Może i jest — odparła Bridget z nadzieją.

— Nie bądź głupia, Bridget. Przecież tak olbrzymi rubin musiałby być wart tysiące funtów! Prawda, panie Poirot?

— Rzeczywiście, to prawda — potwierdził Herkules Poirot.

— Nie rozumiem tylko — odezwała się pani Lacey, zamyślona — w jaki sposób ten kamień znalazł się w puddingu...

— Uuuu! — krzyknął Colin, który nagle wyczuł coś w ustach. — Mam prosiaka! To niesprawiedliwe!

Bridget natychmiast zaczęła podśpiewywać:

— Colin ma prosiaka! Colin ma prosiaka! Colin jest zachłannym, żarłocznym prosiakiem!

— A ja mam obrączkę — odezwała się Diana.

— Świetnie, Dianko. Pierwsza wyjdiesz za mąż.

— A ja dostałam napaśtek — stwierdziła ponuro Bridget.

— Bridget będzie starą panną! — natychmiast zaśpiewali obaj chłopcy. — Bridget będzie starą paaanną!

— A kto ma pieniędzy? — zainteresował się Dawid. — W puddingu jest prawdziwa złota dziesięcioszylingówka. Wiem na pewno. Pani Ross mi powiedziała.

— Chyba ja jestem tym szczęściarzem — odezwał się Desmond Lee-Wortley.

Dwaj najbliżsi sąsiedzi pułkownika usłyszeli, jak mruknął pod nosem:

— Pewnie, chciałbyś!

— A mnie także trafiła się obrączka — powiedział Dawid, patrząc na Dianę. — Czysty przypadek, co?

Zabawa trwała i nikt nie zwrócił uwagi, że *monsieur* Poirot niby odruchowo, jakby myśląc o czymś innym, wrzucił czerwony kamień do swojej kieszeni. Po puddingu na stole pojawiły się nadziewane babeczki i inne słodczyce. Starsi uczestnicy biesiady udali się na krótką sjęstę przed

podwieczorkiem, w czasie którego miały zapłonąć lampki na choince. Jednak Herkules Poirot, zamiast pójść do swego pokoju, udał się do ogromnej staroświeckiej kuchni,

— Czy wolno mi będzie — spytał, cały w uśmiechach — pogratulować szefowej kuchni wspaniałego posiłku, który właśnie zjadłem?

Po chwili ciszy pani Ross ruszyła majestatycznie w stronę niespodziewanego gościa. Była wysoką kobietą o imponującej postawie i zachowywała się z dostojeństwem godnym królowej sceny. Dwie szczupłe, siwe pomywaczki zajęte były swoją robotą w pomieszczeniu obok, zaś jasnowłosa dziewczyna krążyła tam i z powrotem pomiędzy zmywalnią a kuchnią. Lecz to była tylko świta. Berło dzierżyła pani Ross.

— Cieszę się, że panu smakowało — powiedziała.

— Smakowało! — wykrzyknął Herkules Poirot. Nieco ekstrawaganckim gestem ucałował własne palce i machnął ręką, jakby posyłając całusa w stronę sufitu. — Przecież pani jest geniuszem, pani Ross! Geniuszem! W życiu nie jadłem czegoś tak wspaniałego! Ta zupa z ostryg... — tu Poirot cmoknął z podziwem. — A nadzienie! Kasztanowe nadzienie indyka! Nigdy dotąd nie jadłem czegoś tak pysznego!

— Zabawne, że pan to mówi — odrzekła pani Ross łaskawie. — To bardzo szczególny przepis. Dał mi go pewien austriacki kucharz, z którym dawno temu pracowałam. Lecz cała reszta — dodała — to dobra, prosta angielska kuchnia.

— A czy może w ogóle być coś lepszego? — zapytał Poirot.

— Miło mi, że pan to mówi. Przecież będąc cudzoziemcem może pan woleć kuchnię kontynentalną. Nie żebym nie potrafiła jej sprostać.

— Jestem przekonany, że pani potrafi wszystko, pani Ross! Ale musi pani wiedzieć, że kuchnia angielska — dobra kuchnia angielska, nie ta, z którą ma się do czynienia w podrzędnych hotelach czy restauracjach — jest bardzo ceniona przez prawdziwych smakoszy z kontynentu. Na początku dziewiętnastego stulecia, o ile się nie mylę, do Londynu udała się specjalna ekspedycja, która przesłała potem do Francji raport na temat tajemnic angielskich puddingów. „We Francji nie znamy niczego podobnego — pisali autorzy raportu. — Warto było przyjechać do Londynu po to tylko, aby skosztować tylu różnych wyśmienitych puddingów.” A z nich wszystkich — kontynuował Poirot swój hymn pochwalny — z całą pewnością najlepszy jest świąteczny pudding, który mieliśmy okazję jeść w dniu dzisiejszym. Był zrobiony w domu, prawda? Nie kupiony?

— Oczywiście, że nie. To mój własny przepis. Robię go na każde święta, od bardzo wielu lat. Kiedy tu przyjechałam, pani Lacey poinformowała mnie, że złożyła zamówienie w którymś z londyńskich sklepów, aby oszczędzić mi kłopotu. „Ależ, proszę pani — powiedziałam. — To niewątpliwie miłe z pani strony, lecz żaden pudding ze sklepu nie może się równać z prawdziwym, domowym.” Nawiasem mówiąc — pani Ross, jak każda artystka, rozgrzewała się w trakcie występu — ten pudding został przygotowany trochę za późno. Najlepszy świąteczny pudding powinno się przyrządzać parę tygodni przed Gwiazdką i trzeba pozwolić mu „dojrzeć”. Im dłużej się go

przechowuje — oczywiście w granicach rozsądku — tym będzie lepszy. Pamiętam, że kiedy byłam jeszcze dzieckiem, co niedzielę w kościele czekaliśmy na kolektę „*Błagamy Cię, przybądź, Panie*”. To był jakby sygnał, że już w następnym tygodniu powinno się robić pudding. I moja mama ściśle się tego trzymała. Niestety, w tym roku został on przyrządzony wyjątkowo późno, na dzień przed pańskim przybyciem. I postąpiłam zgodnie ze starym zwyczajem. Każdy, kto był w domu, musiał wejść do kuchni, zamieszać i w myślach wypowiedzieć życzenie. Taka tradycja, proszę pana. Zawsze jej przestrzegam.

— To niezwykle interesujące — odparł Herkules Poirot. — A więc mówi pani, że wszyscy domownicy i goście mieszały kolejno pudding?

— Tak, proszę pana. Młodzi panicze, panienka Bridget, ten pan z Londynu, jego siostra, pan Dawid i panna Diana... to znaczy pani Middleton. Wszyscy...

— A ile puddingów pani przygotowała? Tylko ten jeden?

— Nie, proszę pana. Cztery. Dwa duże i dwa mniejsze. Ten drugi duży przeznaczyłam na Nowy Rok, natomiast dwa mniejsze miały zostać dla państwa Lacey na później, kiedy już wszyscy goście wyjadą.

— Rozumiem, rozumiem...

— Ale tak się złożyło, proszę pana — mówiła dalej pani Ross — że dziś musiałam podać pudding noworoczny.

— Noworoczny? — Poirot zmarszczył brwi. — Dlaczego?

— No cóż, proszę pana... mieliśmy specjalną świąteczną formę... porcelanową, taką, na której odciskał się wzór jemioli i ostrokrzewu... Zawsze właśnie w niej gotowaliśmy świąteczny pudding*. A kiedy dzisiaj rano Annie zdejmowała go z półki w spiżarni, upadł jej na ziemię i forma stłukła się. Musiałam podać ten drugi, noworoczny, w gładkiej formie. Przecież w świątecznym mogły być kawałeczki porcelany. I skąd my teraz weźmiemy nową formę? Dziś już nie robią takich dużych. Same maleństwa... Nie można nawet dostać wystarczająco dużego półmiska śniadaniowego. Takiego, na którym zmieściłoby się osiem czy dziesięć jajek na bekonie. Ach, nic już nie jest takie jak dawniej.

— To prawda — zgodził się Poirot. — Ale to się nie odnosi do dzisiejszego dnia. To prawdziwa Gwiazdka, nieprawdaż?

Pani Ross westchnęła.

— Cieszę się, że pan tak uważa — odparła. — Ale muszę panu powiedzieć, że nie mam już takich pomocnic jak dawniej. Niewiele umieją... Te dzisiejsze dziewczyny — ściszyła trochę głos — starają się jak mogą, tyle że niewiele potrafią, bo nie są odpowiednio wyćwiczone. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Tak... Czasy się zmieniają — odrzekł Poirot. —

Mnie to czasami także smuci.

— Ten dom, proszę pana, jest zbyt duży dla pułkownika i pani Lacey. I pani zdaje sobie z tego sprawę. Wprawdzie mieszkają tylko w jednym skrzydle, ale co z tego. Cały dom ożywa tylko w czasie świąt, kiedy zjeżdża się cała rodzina.

— Pan Lee–Wortley i jego siostra są tu po raz pierwszy, prawda?

— Tak, proszę pana. — W tonie pani Ross dało się wyczuć pewną rezerwę. — To bardzo miły człowiek, ale... No cóż, trochę nas dziwi, że panna Sara się z nim przyjaźni. Nie pasuje tu... Ale z drugiej strony... W Londynie żyje się inaczej! Biedna ta jego siostra. Miała jakąś operację. Pierwszego dnia wydawało się, że wszystko jest w porządku. Ale następnego, zaraz potem, jak mieszały pudding, poczuła się źle i od tego czasu w ogóle nie wstaje z łóżka. Prawdopodobnie zbyt wcześnie wyszła ze szpitala. Ach, ci dzisiejsi lekarze! Wypisują pacjentów do domu, jeszcze zanim mogą utrzymać się na nogach... Na przykład żona mojego bratanka... — Tu pani Ross wdała się w długi i pełen werwy wywód na temat leczenia szpitalnego członków rodziny, stwierdzając przy okazji, że w dawnych czasach opieka była o niebo lepsza. Poirot posłusznie jej przytakiwał.

— Pozostaje mi — powiedział w końcu — podziękować pani za ten wspaniały, wyśmienity posiłek. Pozwoli pani, że chociaż w taki sposób wyrażę swą wdzięczność?

I wsunął jej w rękę szeleszczący banknot pięćfuntowy. Pani Ross starała się zachować pozory:

— Naprawdę nie powinien pan tego robić.

— Nalegam, droga pani, nalegam...

— Cóż, jest pan naprawdę bardzo uprzejmy. — Pani Ross przyjęła dar, uznając go za dowód sprawiedliwości dziejowej. — Życzę panu wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

Pierwszy dzień świąt zakończył się tak jak zwykle. Zapalono lampki na choince i podano herbatę, a do niej, znakomite tradycyjne, świąteczne ciasto. Wprawdzie wszyscy przyjęli je z wielkim aplauzem, lecz jedli stosunkowo mało. Kolacja składała się z dań zimnych. Zarówno Poirot, jak i gospodarze wcześniej udali się na spoczynek.

— Dobranoc, *monsieur* Poirot. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

— Spędziłem cudowny dzień, *madame*. Cudowny!

— Sprawia pan wrażenie bardzo zamyślnego.

— To przez ten świąteczny pudding.

— Czy był dla pana zbyt ciężki? — zaniepokoiła się pani Lacey.

— Nie, nie chodzi mi o smak. Myślę o jego znaczeniu.

— To taka tradycja — odrzekła pani Lacey. — Cóż, *monsieur* Poirot, życzę spokojnej nocy. I niech się panu nie przyśni żaden pudding. Ani babeczki.

— Tak — mruzczał do siebie Poirot rozbierając się. — Ten pudding to rzeczywiście problem. Jest tu coś, czego w ogóle nie rozumiem. — Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. — No cóż, zobaczymy.

Poczyniwszy pewne przygotowania, Poirot położył się do łóżka. Jednak wcale nie po to, żeby spać.

Jakieś dwie godziny później jego cierpliwość została nagrodzona. Uśmiechnął się do siebie. Wszystko szło tak, jak przewidywał. Jego myśli wróciły do filiżanki kawy, którą tak usłużnie podał mu Desmond Lee–Wortley. Chwilę później, kiedy Desmond się odwrócił, Poirot odstawił na moment filiżankę na stół. Następnie znów ją uniósł i Desmond mógł mieć satysfakcję, o ile była to satysfakcja, że Herkules Poirot wypił podaną kawę do samego dna. Wąsy Poirota uniosły się nieco, poruszone lekkim uśmieszkiem. Nie on, lecz ktoś zupełnie inny śpi tej nocy wyjątkowo głęboko.

— Ten sympatyczny młody Dawid... — odezwał się Poirot sam do siebie. — Jest taki zmartwiony i nieszczęśliwy. Chyba mu nie zaszkodzi, jeśli prześpi spokojnie choć jedną całą noc. A teraz zobaczymy, co się będzie działo.

Leżał bez ruchu, oddychając równomiernie i od czasu do czasu lekko, ale naprawdę bardzo lekko, pochrapując.

Ktoś podszedł do jego łóżka i pochylił się nad nim. Następnie ruszył w stronę toaletki. Przy

świetle małej latarki gość starannie przejrzał wszystkie poukładane tam przedmioty. Przeszukał portfel, powyciągał ostrożnie szuflady, sprawdził kieszenie ubrań. Wreszcie ponownie zbliżył się do łóżka i ostrożnie wsunął dłoń pod poduszkę. Po chwili cofnął ją i przez moment stał niezdecydowany, wyraźnie nie wiedząc, co ma robić dalej. Obszedł pokój dookoła, zajrzał we wszystkie kąty, spenetrował łazienkę. Wreszcie wydał cichy okrzyk niezadowolenia i opuścił pokój.

— Aha — szepnął Poirot. — Zawiodłeś się. Tak, bardzo się zawiodłeś. Ale jak mogłeś w ogóle przypuszczać, że Herkules Poirot schowa coś w miejscu, które potrafisz odnaleźć?

I przewróciwszy się na drugi bok, Poirot spokojnie zasnął.

Rano obudziło go delikatne pukanie do drzwi.

— *Qui est la?** Proszę wejść.

W otwartych drzwiach stanął zdyszany, czerwony na twarzy Colin, a za nim Michael.

— Panie Poirot! Panie Poirot!

— Słucham? — Poirot usiadł na łóżku. — Czy to poranna herbata? Nie, chyba nie. To ty, Colinie. Co się stało?

Colin milczał przez chwilę, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Wyglądał, jakby coś bardzo nim wstrząsnęło. Tak naprawdę tym, co na moment odebrało mu mowę, był widok szlafmicy, którą Herkules Poirot miał na głowie. W końcu chłopak zdołał się opanować.

— Panie Poirot, czy może nam pan pomóc? Stało się coś strasznego.

— Coś się stało? Ale co?

— To... To Bridget. Ona leży na dworze... W śniegu... Myślę... Ona się nie rusza ani nie mówi... Niech pan lepiej pójdzie z nami... Ona chyba nie żyje!

— Co? — Herkules Poirot odrzucił na bok kołdrę. — Panna Bridget nie żyje?

— Chyba... chyba ktoś ją zabił! Tara jest krew i... Niech się pan pospieszy!

— Ależ oczywiście... Już idę... Natychmiast... Poirot błyskawicznie założył buty, a na piżamę narzucił palto z futrzanym kołnierzem.

— Już idę... Już zaraz idę... Czy obudziliście innych?

— Nie. Nie mówiłem o tym nikomu oprócz pana. Myślałem, że tak będzie lepiej. Dziadek i babcia jeszcze nie wstali. Na dole nakrywają do stołu, ale nic nie mówiłem Peverellowi. Ona... Bridget jest po drugiej stronie domu... Niedaleko tarasu i okna biblioteki.

— Rozumiem. Prowadźcie.

Odwracając się, by ukryć śmiech zadowolenia, Colin ruszył na dół. Wyszli przez boczne drzwi. Poranek był pogodny, choć słońce nie wzeszło jeszcze zbyt wysoko. Już nie padało, lecz w nocy musiała szaleć potężna śnieżycą. Ziemię okrywał jak okiem sięgnąć nieskalany, biały dywan. Świat wydawał się czysty i piękny.

— Tam — powiedział Colin, z trudem łapiąc oddech i wskazując palcem. — To... To tam!

Wyglądało to rzeczywiście dramatycznie. Kilka jardów dalej, w śniegu, leżała Bridget. Miała na sobie czerwoną piżamę i biały szal zarzucony na ramiona. Na szalu widoczne były czerwone plamy. Zwróconą na bok twarz dziewczyny zakrywały rozpuszczone, kruczoczarne włosy. Jedną rękę przygniatała ciałem, zaś drugą, z zaciśniętymi palcami, odrzuciła na bok. Ze środka czerwonej plamy sterczała rękojeść wielkiego kurdyjskiego noża, który akurat poprzedniego wieczoru pułkownik Lacey pokazał swym gościom.

— *Mon Dieu!* — wykrzyknął Poirot. — Zupełnie jak na scenie w teatrze!

Michael wydał z siebie cichy odgłos, jakby chrząknięcie. Na szczęście Colin zdołał się opanować.

— Wiem — powiedział. — To wszystko rzeczywiście wygląda dość nieprawdopodobnie... Czy widzi pan ślady stóp? Myślę, że nie wolno nam ich zdeptać.

— Ach tak, rzeczywiście. Musimy na nie bardzo uważać.

— Tak właśnie myślałem — powiedział Colin. — Dlatego nie pozwoliłem nikomu zbliżyć się do ciała, zanim pana nie przyprowadzę. Sądziłem, że pan będzie wiedział, co robić.

— Ale i tak musimy przede wszystkim sprawdzić, czy ona żyje... Prawda?

— Tak... Oczywiście — odparł Colin, wyraźnie nie do końca przekonany. — Ale wie pan... Myśleliśmy, że... No, nie chcieliśmy...

— To bardzo rozsądne! Widzę, że czytaliście dużo kryminałów. Rzeczywiście trzeba bardzo uważać, żeby nie zatrzeć śladów i nie ruszać ciała. Ale my nie jesteśmy pewni, czy mamy do czynienia z ciałem. A przecież, chociaż ostrożność sama w sobie jest chwalebna, to najważniejszy jest człowiek. Zanim sprowadzimy policję, musimy pomyśleć o lekarzu. Czy zgodzisz się ze mną?

— Tak... Oczywiście — odparł Colin, wciąż nieco zbity z tropu.

— Myśleliśmy tylko... To znaczy... Nie chcieliśmy niczego dotykać, zanim pan przyjdzie — dodał pospiesznie Michael.

— A więc zostańcie tu — polecił im Poirot — a ja podejść z drugiej strony, aby nie zdeptać śladów. Są znakomite... Bardzo wyraźne. Ślady dwóch osób, dziewczyny i mężczyzny, idących razem aż do miejsca, w którym ona leży... Widać też, że mężczyzna wrócił, a dziewczyna nie.

— To muszą być ślady mordercy — zauważył Colin.

— Właśnie tak — zgodził się Poirot. — Ślady mordercy. Długa, wąska stopa, w dość szczególnym typie obuwia... Bardzo ciekawe. Taki but łatwo będzie rozpoznać... Tak, te ślady są dla nas bardzo ważne...

W tym momencie z domu wyszli Desmond Lee–Wortley i Sara. Zbliżyli się do zebranych.

— Co wy tu, do licha, robicie? — spytał Desmond, dość nienaturalnym głosem. — Zobaczyłem was z okna mojej sypialni. Co się dzieje? Mój Boże! Co to jest? To wygląda na...

— Dokładnie tak — przerwał mu Herkules Poirot. — To wygląda na morderstwo, nieprawdaż?

Sara zadrżała, po czym podejrzliwie spojrzała na chłopców.

— To znaczy, że ktoś zamordował tę dziewczynę...? Jak ona ma na imię...? Bridget? — spytał Desmond. — Kto, na Boga, mógł ją zabić? To nieprawdopodobne!

— Jest wiele nieprawdopodobnych rzeczy — odparł Poirot. — Szczególnie przed śniadaniem, prawda? Tak twierdzi jeden z waszych klasyków. Sześć rzeczy niemożliwych przed śniadaniem... Zaczekajcie tu — dodał po chwili. — Wszyscy.

Zatoczył duże koło, podszedł do Bridget i na moment pochylił się nad ciałem. Colin i Michael dosłownie trzęśli się teraz od powstrzymywanego śmiechu. Sara zbliżyła się do nich i mruknęła:

— Coście wykombinowali?

— Biedna Bridget — szepnął Colin. — Czyż nie jest cudowna? Nawet nie drgnie.

— W życiu nie widziałem nikogo, kto bardziej przypominałby trupa niż ona w tej chwili — dodał szeptem Michael.

Herkules Poirot wyprostował się.

— To straszne — powiedział, a w jego głosie słyhać było zdenerwowanie, którego wcześniej jakoś nie przejawiał.

Nie potrafiąc dłużej ukryć wesołości, Colin i Michael odwrócili się. Dusząc się ze śmiechu, Michael spytał:

— Co mamy teraz zrobić?

— Jest tylko jedna rzecz do zrobienia — odparł Poirot. — Trzeba wezwać policję. Czy zatelefonuje ktoś z was, czy wolicie, abym to był ja?

— Myślę... — odezwał się Colin. — Myślę... Chyba musimy... Co ty na to, Michael?

— Tak, masz rację. Koniec spektaklu. — Zrobił krok do przodu. Po raz pierwszy wydał się trochę zmieszany. — Bardzo przepraszani — powiedział. — Mam nadzieję, że się pan na nas za bardzo nie gniewa... To... To miał być taki świąteczny żart, no i... Chcieliśmy zainscenizować dla pana morderstwo...

— To miało być przedstawienie? Dla mnie? A więc to...

— Tak, po prostu odegraliśmy taką scenę — wyjaśnił Colin. — Zrobiliśmy kawał... Aby się pan swojsko poczuł.

— Aha — odparł Herkules Poirot. — Rozumiem. Chcieliście mi zrobić Prima Aprilis... Ale przecież mamy grudzień, nie kwiecień.

— Myślę, że nie powinniśmy byli tego robić — powiedział Colin. — Ale... Ale pan się za bardzo nie przejął, prawda, panie Poirot? No, Bridget — krzyknął do dziewczyny. — Wstawaj. Musiałaś nieźle zmarznąć...

Jednak leżące na śniegu ciało nawet nie drgnęło.

— To dziwne — odezwał się Herkules Poirot. — Wygląda na to, że ona cię nie słyszy. — Spojrzał z namysłem na chłopców. — Twierdzicie, że to żart, tak? Jesteście tego całkiem pewni?

— Oczywiście, że tak — odparł Colin, wyraźnie zaniepokojony. — Nie chcieliśmy zrobić nic złego...

— Ale w takim razie dlaczego panna Bridget nie wstaje?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Colin.

— Dalej, Bridget, wstawaj — odezwała się Sara, zniecierpliwiona. — Dość już tych wygłupów.

— Naprawdę bardzo przepraszamy, panie Poirot — powiedział Colin z pewnym lękiem. — Naprawdę nam przykro.

— Nie musicie przepraszać — odparł Poirot jakimś dziwnym tonem.

— Co pan ma na myśli? — Colin wytrzeszczył oczy. — Bridget! Bridget! Co się stało? Dlaczego ona nie wstaje? Dlaczego się nie rusza?

Poirot skinął na Desmonda.

— Panie Lee-Wortley! Proszę tutaj.

Desmond wykonał polecenie.

— Proszę zbadać jej puls — rozkazał Poirot. Desmond Lee-Wortley pochylił się. Dotknął ramienia, nadgarstka...

— Nie ma żadnego pulsu...! Ręka jest zupełnie sztywna! O Boże! Ona naprawdę nie żyje!

Poirot skinął głową.

— Tak, ona nie żyje — potwierdził. — Ktoś zmienił komedię w tragedię...

— Ktoś? Ale kto?

— Na śniegu widać ślady butów... Dochodzą do ciała, a później wracają... I są bardzo podobne do śladów pańskich butów, panie Lee–Wortley... Tych, które zostawił pan teraz, podchodząc tu. Desmond Lee–Wortley odwrócił się.

— Na Boga! Czy pan... mnie oskarża?! MNIE?! Pan chyba zwariował! Po co, do diabła, miałbym ją zabijać?

— Właśnie, po co? Zobaczymy...

Schylił się i delikatnie rozchylił zaciśnięte i sztywne palce Bridget.

Desmond wziął głęboki oddech. Patrzył w dół z niedowierzaniem. W dłoni zamordowanej leżało coś, co wyglądało na duży rubin.

— To ten przeklęty kamień z puddingu! — krzyknął Desmond.

— Tak? — spytał Poirot. — Jest pan pewien?

— Oczywiście, że tak.

Desmond Lee–Wortley pochylił się szybko i wyjął czerwony kamień z zaciśniętej dłoni Bridget.

— Nie powinien pan tego robić... Nie wolno nam niczego dotykać.

— Przecież nie ruszyłem ciała, prawda? Ten kamień mógłby zginąć. A jest przecież dowodem. Należy oddać go w ręce policji tak szybko, jak to tylko możliwe. Pójdę zatelefonować.

Odwrócił się i popędził w stronę domu. Sara podeszła do Poirota.

— Nic nie rozumiem — szepnęła. Jej twarz była trupioblada. — Nic nie rozumiem. — Chwyliła Poirota za

ramię. — Co pan miał na myśli, mówiąc o tych śladach? — spytała.

— Niech pani sama zobaczy, *mademoiselle*.

Ślady, które prowadziły do ciała i z powrotem, były identyczne jak te, które zostawił Desmond, podchodząc do Poirota.

— Myśli pan, że to Desmond? To nonsens! Nagle przejrzyste powietrze rozdarł warkot silnika

samochodu. Wszyscy się odwrócili. Zobaczyli auto pędzące na złamanie karku w stronę bramy. Sara natychmiast je rozpoznała.

— To Desmond — rzekła. — To jego samochód. Wi... widocznie zdecydował się pojechać po policję, zamiast telefonować.

Z domu wybiegła Diana Middleton. — Co się stało? — spytała, z trudem łapiąc oddech. — Dopiero co Desmond wbiegł do domu, krzycząc, że zamordowano Bridget. Próbował dodzwonić się na policję, ale telefon jest głuchy. Desmond stwierdził, że ktoś musiał przeciąć kabel i że w takim razie musi wziąć auto i pojechać po policję... Ale dlaczego po policję...?

Poirot bez słowa wskazał na ciało.

— Bridget? — Diana wytrzeszczyła oczy. — Ale... czy to przypadkiem nie jest kawał? Coś słyszałam... Wczoraj wieczorem. Myślałam, że chcą wypłatać panu figła.

— Owszem — odrzekł Poirot. — Tak miało być. To miał być tylko kawał... Ale teraz chodźmy wszyscy do domu. Bo inaczej na śmierć pozamarzamy... Do czasu, aż wróci pan Lee-Wortley i tak nie mamy tu nic do roboty.

— Ale przecież — sprzeciwił się Colin — nie możemy zostawić tu Bridget.

— Zostając tu i tak jej nie pomożesz — odparł cicho Poirot. — Chodźmy... To straszna, przerażająca tragedia, ale naprawdę w niczym nie możemy już pomóc *mademoiselle* Bridget. Więc chodźmy do domu i napijmy się kawy albo herbaty.

Ruszył w stronę domu, a pozostali posłusznie podążyli za nim. Peverell miał właśnie uderzyć w gong. Nawet jeśli wydało mu się niezwykle, że większość gości była na dworze, a pan Poirot miał pod paltem tylko piżamę, to w ogóle tego po sobie nie pokazał. Pomimo swego podeszłego wieku Peverell był nadal idealnym lokajem. Nie zauważał niczego, czego nie kazano mu zauważyć. Ponury korowód udał się do jadalni. Kiedy wszyscy mieli już przed sobą filiżanki z kawą, Poirot przemówił:

— Muszę opowiedzieć państwu pewną historię. Nie mogę, co prawda, podać wszystkich szczegółów, ale zdradzę przynajmniej główny wątek. Historia dotyczy pewnego młodego księcia, który przyjechał do Anglii. Przywiózł on ze sobą niezwykle cenny rubin, który po zmianie oprawy miał się stać ślubnym prezentem dla jego przyszłej żony. Niestety, pech chciał, że księżę zaprzyjaźnił się tu z pewną osobką, młodą i bardzo ładną, której jednak na nim samym specjalnie nie zależało. Zależało jej natomiast, i to bardzo, na słynnym klejnocie. No i któregoś dnia młoda dama ulotniła się wraz z historycznym rubinem, który od wielu pokoleń należał do rodziny księcia... Tak więc młody człowiek znalazł się w dość kłopotliwej sytuacji... Nie mógł sobie pozwolić na zawiadomienie policji, gdyż to groziłoby skandalem. Dlatego zjawił się u mnie. „Niech pan dla mnie odzyska ten historyczny rubin” — powiedział. *Eh bien*, młoda dama, która przywłaszczyła sobie kamień, miała przyjaciela, a ten przyjaciel przeprowadził w przeszłości wiele podejrzanych transakcji. Był zamieszany w szantaż, a także w przemyt drogocennych kamieni. Jednak zawsze działał z wyjątkowym wyczuciem. Podejrzewano go, lecz nigdy nic mu nie udowodniono... W każdym razie dowiedziałem się, że ten młody człowiek ma zamiar spędzić święta w tym domu. Musimy jeszcze

pamiętać, że jego przyjaciółka powinna była po zdobyciu kamienia zniknąć na jakiś czas z widoku, aby nikt nie wywierał na nią nacisku ani nie zadawał żadnych pytań. Dlatego nasz bohater postarał się, by trafiła do tego domu razem z nim, jako jego rzekoma siostra... Sarze dosłownie dech zaparło.

— O nie! Nie, nie tutaj! Nie w mojej obecności! — krzyknęła oburzona.

— Lecz tak właśnie było — rzekł Poirot. — Dzięki innej małej manipulacji także ja trafiłem tutaj na święta. Nasza młoda osoba, która rzekomo dopiero co opuściła szpital, początkowo czuła się dobrze. Jednak, gdy doszła ją wieść o planowanym przyjeździe słynnego detektywa, to znaczy moim, dostała... jak wy to mówicie — pietra. Ukryła rubin w pierwszym miejscu, które przyszło jej do głowy. Potem udała, że stan jej zdrowia nagle się pogorszył, i wróciła do łóżka. Nie chciała, abym ją zobaczył, bo z pewnością bym ją rozpoznał na podstawie fotografii. To dla niej bardzo nudne, jednak nie ma wyjścia... Siedzi więc przez cały czas w swym pokoju, a „brat” nosi jej posiłki.

— A rubin? — spytał Michael.

— Przypuszczam, że w momencie, gdy ktoś wspominał o mym planowanym przyjeździe, osoba ta znajdowała się ze wszystkimi w kuchni i wśród śmiechu i żartów mieszała świąteczny pudding. Wreszcie pudding przełożono do form i wtedy ona wrzuciła rubin do jednej z nich. Oczywiście nie do tej, która miała być podana w czasie świąt... Och, nie, wiedziała, że ma ona specjalny wzór. Rubin łąduje w formie przeznaczonej na Nowy Rok. Do tego czasu nasza miła znajoma zdążyła stąd wyjechać, oczywiście razem z puddingiem. Tu jednak do głosu dochodzi ślepy los. Akurat rankiem, pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, forma z gwiazdkowym puddingiem spada na ziemię i rozbija się w drobny mak. Pani Ross nie pozostaje nic innego, jak tylko podać drugi pudding, ten przewidywany na Nowy Rok.

— O Boże! — wykrzyknął Colin. — Czy to znaczy, że wtedy przy stole dziadek o mały włos nie zjadł prawdziwego rubinu?

— Właśnie tak — odparł Poirot. — Chyba potraficie wyobrazić sobie, jak bardzo zdenerwowało to pana Desmonda Lee-Wortleya. *Eh bien*, co dzieje się później? Wszyscy po kolei oglądają rubin. Także ja. Tyle że ja chowam go do kieszeni. Robię to w taki sposób, jakby kamień w ogóle mnie nie interesował. Ale przynajmniej jedna osoba przez cały czas mnie obserwuje. I kiedy kładę się do łóżka, ta osoba przeszukuje mój pokój, a następnie mnie. Jednak nie znajduje rubinu. Dlaczego?

— Ponieważ — odparł Michael — dał go pan wcześniej Bridget. Prawda? I dlatego właśnie... ale nie rozumiem, jak... Zaraz, co się naprawdę stało?

Poirot uśmiechnął się.

— Chodźcie do biblioteki — powiedział — i wyjrzyjcie przez okno. Pokażę wam coś, co może wyjaśnić całą tajemnicę.

Ruszył pierwszy, a wszyscy za nim.

— A więc jeszcze raz popatrzcie na miejsce zbrodni. Wskazał ręką za okno. Ze wszystkich ust

wyrwał się chóralny okrzyk zdziwienia. Ciało zniknęło, a jedynym śladem niedawnej tragedii był zdeptany śnieg.

— Przecież to nie był sen, prawda? — odezwał się Colin. — Czy ktoś zabrał ciało?

— Aha — odparł Poirot. — Widzicie? Tajemnica znikającego ciała.

Pokiwał głową, a w jego oczach pojawiły się wesołe ogniki.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Michael. — Panie Poirot, pan... ale to niemoż... Słuchajcie, pan Poirot wszystkich nas wykiwał!

— To prawda, moje dzieci — powiedział. — Dowiedziałem się o waszym małym spisku i postanowiłem odwzajemnić się wam czymś w rodzaju antyspisku. Ach, *voila mademoiselle* Bridget. Mam nadzieję, że nie zaszkodziło pani tak długie leżenie na śniegu? Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby się pani nabawiła *unefluxion de poitrine**.

Bridget właśnie weszła do pokoju. Miała na sobie grubą spódnicę i wełniany sweter. Śmiała się.

— Kazałem zanieść *tisane** do pani pokoju — powiedział Poirot poważnym tonem. — Czy pani wypiała?

— Jeden łyk wystarczył — odparła Bridget. — Czuję się zupełnie zdrowa. Czy dobrze się spisałam, panie Poirot? Cała ręka mnie boli od tej opaski, którą kazał mi pan założyć.

— Była pani wspaniała, moje dziecko — stwierdził Poirot. Znakomita! Ale chwileczkę, pozostali nadal błądzą w ciemnościach... Wczoraj wieczorem odwiedziłem *mademoiselle* Bridget. Powiedziałem jej, że znam wasze plany, i zaproponowałem, aby wzięła udział w przedstawieniu przygotowanym przeze mnie.

Spisała się po prostu wspaniale. Za pomocą butów pana Lee-Wortley a zrobiła ślady...

— Ale po co to wszystko? — spytała Sara, wyraźnie zdenerwowana. — Dlaczego posłał pan Desmonda po policję? Będą wściekli, kiedy przyjadą i dowiedzą się, że to był głupi kawał.

— Ależ ja ani przez moment nie myślałem, że pan Lee-Wortley zawiadomi policję — odparł Poirot. — Morderstwo to sprawa, w którą pan Lee-Wortley z całą pewnością nie chce być zamieszany. Bardzo się zdenerwował i stracił panowanie nad sobą. Jedyne, co był w stanie dostrzec, to szansa zdobycia rubinu. Wziął go, skłamał, że telefon jest popsuty i uciekł stąd pod pozorem wezwania policji. Osobiście sądzę, że nie prędko go pani zobaczy, *mademoiselle*, o ile wiem, ma swoje sposoby na wydostanie się z Anglii. Ma własny samolot, prawda?

Sara skinęła głową.

— Tak — potwierdziła. — Zastanawialiśmy się nawet...

— Chciał, aby pani z nim uciekła, nieprawdaż? *Eh bien*, to dobry sposób na wywiezienie

skradzionego kamienia za granicę. Kiedy uciekasz z dziewczyną i dowie się o tym opinia publiczna, nikt nie będzie cię podejrzewał, że wywozisz za granicę coś jeszcze. Tak, to rzeczywiście byłby dobry kamuflaż.

— Nie wierzę panu — powiedziała Sara. — Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo!

— Proszę więc spytać jego siostrę — odparł Poirot, ruchem głowy wskazując za siebie. Sara odwróciła się gwałtownie.

W drzwiach stała platynowa blondynka. Miała na sobie futro i patrzyła wilkiem. Była wyraźnie wściekła.

— Siostrę! Jeszcze czego! — wykrzyknęła i roześmiała się gorzko. — Ta podła świnia nie jest moim bratem! Zdobył rubin, a mnie zostawił na pożarcie?! To był jego pomysł! On mnie w to wpakował! Mówił, że to pieniądze leżące na ulicy! Że nikt mnie nie oskarży, bo boją się skandalu, w razie czego, zawsze mogę zagrozić zeznaniem, że Ali dał mi ten rubin. Des i ja mieliśmy uciec do Paryża i tam podzielić się łupem. Ale ta świnia uciekła sama! Gdybym mogła, zabiłabym go! — Zamilkła na moment. — Im szybciej stąd wyjadę... Czy ktoś mógłby zatelefonować po taksówkę?

— Przed frontowymi drzwiami czeka samochód, *mademoiselle*. Zawiezie panią na stację — powiedział Poirot.

— O wszystkim pan pomyślał, prawda?

— Prawie — odparł spokojnie Poirot.

Lecz Poirotowi nie było dane wykręcić się tak łatwo od dalszych wyjaśnień. Kiedy, odprowadziwszy rzekomą pannę Lee-Wortley do samochodu, wrócił do jadalni, Colin już czekał na niego.

Chłopiec był wyraźnie zatroskany.

— No dobrze, panie Poirot. Ale co z rubinem? Czy chce pan powiedzieć, że pozwolił pan Desmondowi z nim uciec?

Poirot spuścił głowę i zakręcił wąsa. Sprawiał wrażenie, iż czuje się nieswojo.

— Odzyskam go — powiedział niepewnie. — Są jeszcze inne sposoby... Jakoś...

— Jak pan mógł?! — wykrzyknął Michael. — Pozwolić tej świni ulotnić się wraz z rubinem! Też coś!

Bridget okazała więcej bystrości.

— Pan Poirot znowu nas nabiera — powiedziała. — Prawda?

— A więc zrobmy ostatnią sztuczkę, *mademoiselle*... Proszę sięgnąć do mojej lewej kieszeni.

Bridget wykonała polecenie. Po chwili z okrzykiem triumfu wyjęła z kieszeni Poirota wielki rubin, połyskujący czerwonym blaskiem.

— Rozumie pani chyba — wyjaśnił Poirot — że tamten był tylko falsyfikatem. Przywiozłem go z Londynu na wypadek, gdyby zaszła możliwość dokonania zamiany. Chyba zdają sobie państwo sprawę, że pragniemy za wszelką cenę uniknąć skandalu. Monsieur Desmond będzie próbował pozbyć się tego rubinu w Paryżu, Belgii albo może jeszcze gdzieś indziej i wtedy wyjdzie na jaw, że kamień jest fałszywy. Czyż istnieje szczęśliwsze zakończenie całej sprawy? Udaje się nam uniknąć skandalu, mój książkę odzyskuje swój rubin, wraca do kraju, nabiera rozsądku i szczęśliwie się żeni. Wszystko się dobrze kończy.

— Ale nie dla mnie — mruknęła Sara.

Słowa te wypowiedziała tak cicho, że nie usłyszał ich nikt oprócz Poirota.

— Myli się pani, modemoiselle. Przecież zdobyła pani doświadczenie. A każde doświadczenie jest cenne... Osobiście wróżę pani szczęśliwą przyszłość.

— To pana zdanie — odparła Sara.

— Ale chwileczkę, panie Poirot — odezwał się Colin i zmarszczył brwi. — Skąd pan właściwie wiedział, co planujemy?

— To należy do mojego zawodu — odrzekł Poirot, kręcąc wąs.

— Tak, ale ja zupełnie nie pojmuję, skąd pan mógł się dowiedzieć. Czy ktoś się wygadał? Albo zdradził?

— Nie.

— Więc skąd pan wiedział? Niech pan nam powie!

Do Colina dołączył cały chór:

— Niech pan nam powie, panie Poirot! Prosimy!

— Nie — zaprotestował Poirot. — Jeśli wam powiem, nie docenicie tego. To tak, jakby magik pokazywał, w jaki sposób wykonuje swoje sztuczki...

— Ale prosimy, panie Poirot! Prosimy!

— Naprawdę chcecie, abym wyjaśnił wam także i tę tajemnicę?

— Tak! Prosimy, panie Poirot!

— Ale ja naprawdę nie mogę! Będziecie bardzo zawiedzeni.

— A jednak, niech nam pan powie!

— No cóż... Któregoś dnia siedziałem sobie przy oknie biblioteki i odpoczywałem. Zasnąłem, a kiedy się obudziłem, staliście pod samym oknem i omawiali to wszystko... A okno było uchylone...

— I tylko tyle? — spytał Colin, bardzo zdeglustowany. — To bardzo proste!

— Oczywiście — odrzekł Poirot. — No i widzicie? Jesteście zawiedzeni.

— Cóż począć — odparł Michael. — Ale przynajmniej teraz wiemy już wszystko.

— Tak? — mruknął Poirot do siebie. — Ja nie wiem. Ja, którego zawód polega na tym, by wszystko wiedzieć...

Wyszedł do holu, kręcąc lekko głową. Chyba po raz dwudziesty wyjął z kieszeni przybrudzoną kartkę.

NIECH PAN NIE JE ŚWIĄTECZNEGO

PUDDINGU.

ŻYCZLIWY

Herkules Poirot z niedowierzaniem kręcił głową. On, który potrafił wyjaśnić wszystko, nie mógł poradzić sobie z tą zagadką! To poniżające! Kto napisał tę kartkę? Dlaczego? Poirot wiedział, że dopóki nie uda mu się rozwiązać zagadki, nie zazna ani chwili spokoju.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Spojrzał pod nogi. Na podłodze, zajęta wiadrem oraz ścierką, przykucnęła drobna blondynka w fartuchu w kwiaty. Patrzyła przerażona na kartkę w ręku Poirota.

— Och, proszę pana — odezwała się. — Och, bardzo pana proszę...

— Kimże ty jesteś, *mon enfant**! — spytał dobrotliwie Herkules Poirot.

— Annie Bates, proszę pana. Pomagałam w kuchni pani Ross... Nie chciałam tego... Naprawdę, chciałam jak najlepiej... Zrobiłam to dla pana dobra...

Nagle Poirot zrozumiał. Wyciągnął przed siebie brudną kartkę i spytał:

— Czy to ty napisałaś, Annie?

— Nie chciałam zrobić nic złego, proszę pana. Naprawdę nie chciałam.

— Ależ oczywiście, Annie. — Poirot uśmiechnął się do niej. — Ale opowiedz mi wszystko dokładnie... Dlaczego to napisałaś?

— To przez tych dwoje, proszę pana. Przez pana Lee–Wortleya i jego siostrę. To znaczy, jestem pewna, że ona nie była jego siostrą. Żadna z nas w to nie wierzyła! I wcale nie była chora! Od razu wiedziałyśmy! Myślałyśmy... Myślałyśmy, że dzieje się coś podejrzanego... Powiem panu prawdę... Zniosłam do łazienki czyste ręczniki i... podsłuchałam pod drzwiami. On był w jej pokoju i rozmawiał z nią... Usłyszałam wyraźnie, co mówili. „Ten detektyw — powiedział pan Lee–Wortley — ma tu przyjechać. Musimy coś zrobić. Trzeba jak najszybciej usunąć go z drogi.” A później spytał cicho, takim złowrogim tonem: „Gdzie to wsadziłaś?” A ona odpowiedziała: „Do puddingu”. Och, proszę pana! Serce skoczyło mi do gardła! Byłam pewna, że chcą panu wsypać truciznę do świątecznego puddingu! W ogóle nie wiedziałam, co mam robić! Pani Ross nie słucha takich jak ja... No i przyszedł mi do głowy pomysł, żeby napisać tę kartkę. Położyłam ją na poduszce na pana łóżku, tak żeby na pewno ją pan znalazł.

Annie przerwała, a Poirot przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

— Za często chodzisz do kina na sensacyjne filmy, Annie — powiedział w końcu. — A może to wszystko przez telewizję? Lecz najważniejsze, że masz dobre serce i jesteś dość pomysłowa. Kiedy wrócę do Londynu, przyślę ci prezent.

— Och, dziękuję panu bardzo! Dziękuję!

— A co chciałabyś dostać, Annie?

— Mogę wybrać, proszę pana? Mogę wybrać, co zechcę?

— Oczywiście w granicach rozsądku — zastrzegł się Poirot.

— Och, proszę pana, czy mogłabym dostać kosmetyczkę? Taką fajną szykowną kosmetyczkę, jaką miała ta siostra pana Lee–Wortleya, co to wcale nie była jego siostrą?

— Tak — zgodził się Poirot. — Myślę, że to się da załatwić... Ciekawe — mruknął jeszcze. — Niedawno byłem w muzeum. Wśród eksponatów z Babilonu widziałem także puzderka na kosmetyki... Jednak kobiety się nie zmieniają...

— Słucham, proszę pana?

— Nie, nie, Annie. Nic takiego. Po prostu głośno myślałem. Dostaniesz swoją kosmetyczkę. Obiecuję.

— Dziękuję panu bardzo. Jeszcze raz dziękuję. Annie wyszła rozradowana. Poirot przez chwilę śledził ją wzrokiem, z zadowoleniem kiwając głową.

— Czas już na mnie — powiedział do siebie. — Moja misja dobiegła końca.

Nagle ktoś zarzucił mu ręce na szyję.

— Jeżeli stanie pan tuż pod jemiolą... — powiedziała Bridget.

Herkulesowi Poirot podobało się to. Bardzo mu się podobało. Musiał przyznać, że spędził bardzo miłe święta.

Morderstwo na Balu Zwycięstwa

Czysty przypadek sprawił, że mój przyjaciel Herkules Poirot, dawniej funkcjonariusz policji belgijskiej, wziął udział w rozwikłaniu pewnej zagadki kryminalnej w Styles. Sukces przyniósł mu sławę, w związku z czym postanowił poświęcić się rozwiązywaniu problemów kryminalnych. Ja natomiast, ranny w bitwie nad Sommą i zwolniony z wojska, wkrótce zamieszkałem z nim w Londynie. Ponieważ znam z pierwszej ręki większość przypadków, jakimi się zajmował, zaproponowano mi, bym uwiecznił na piśmie te najbardziej interesujące. Zdecydowałem się na to. Wydaje mi się, że najlepiej postąpię, jeśli zacznę od pewnej dziwnej zagadki, która głęboko poruszyła tak zwaną szeroką opinię publiczną. Chodzi mi oczywiście o tajemniczą śmierć na Balu Zwycięstwa.

Przypadek ten nie oddaje tak dobrze metody działania Herkulesa Poirot jak wiele innych, dużo bardziej tajemniczych. Jednak walory sensacyjne, fakt zamieszania w sprawę wielu znanych osobistości oraz rozgłos, jaki zyskała ona dzięki prasie, sprawiają, iż poczuwam się do obowiązku zdradzenia światu sposobu, w jaki Herkules Poirot ją rozwiązał.

Któregoś pięknego wiosennego poranka siedzieliśmy u Poirota. Mój mały przyjaciel, jak zawsze schludny i elegancki, siedział przechylając lekko na bok swoją jajowatą głowę i delikatnie wcierał w wąsy jakąś nową pomadę. Jedną z charakterystycznych cech Poirota jest nieszkodliwa próżność, idąca w parze z zamiłowaniem do porządku oraz metodycznego postępowania. „Daily Newsmonger”, który chwilę wcześniej czytałem, zsunął się na podłogę, ja zaś pogрузyłem się w głębokiej zadumie. Wyrwał mnie z niej dopiero głos Poirota:

— Nad czym się tak głęboko zastanawiasz, *mon ami* ?

— Prawdę mówiąc — odparłem — rozmyślałem o tych dziwnych wydarzeniach na Balu Zwycięstwa. W gazetach nie piszą dosłownie o niczym innym! I postukałem palcem w zadrukowany arkusz papieru.

— Tak?

— Im więcej czytam, tym bardziej tajemnicza wydaje mi się cała ta sprawa. Kto zabił lorda Cronshaw? Czy śmierć Coco Courtenay tej samej nocy to tylko zbieg okoliczności, czy też wypadek? A może celowo przedawkowała kokainę? — Zrobiłem dramatyczną pauzę, po czym dodałem: — Oto pytania, które sobie stawiam.

Poirot, ku mojemu niezadowoleniu, nie chwycił przynęty. Oglądał słoiczek i mruczał do siebie:

— Tak, ta nowa pomada to zdecydowane błogosławieństwo dla wąsów. — Widząc moją minę, dodał pośpiesznie: — No dobrze, a jak byś na te pytania odpowiedział?

Zanim jednak zdążyłem się odezwać, otworzyły się drzwi i gospodyni zaanonsowała inspektora

Jappa.

Funkcjonariusz Scotland Yardu był naszym starym przyjacielem, więc przywitaliśmy go serdecznie.

— Ach, nasz drogi Japp! — wykrzyknął Poirot. — Cóż pana do nas sprowadza?

— No cóż, *monsieur* Poirot — odparł Japp, rozsiadłszy się wygodnie i skinąwszy głową w moją stronę. — Zajmuję się właśnie sprawą, która, moim zdaniem, powinna pana zainteresować. Zastanawiam się, czy nie powiększyłby pan naszych szeregów?

Poirot miał wysokie mniemanie o zdolnościach Jappa, jednak zawsze ogromnie ubolewał nad brakiem metody w jego postępowaniu. Moim natomiast zdaniem największą umiejętnością inspektora było dobre opanowanie delikatnej sztuki zdobywania względów pod płaszczykiem rozdzielania ich!

— Chodzi o Bal Zwycięstwa — mówił dalej Japp zachęcającym tonem. — No, Poirot, na pewno ma pan ochotę w to wdepnąć!

Poirot uśmiechnął się do mnie.

— Z całą pewnością ma na to ochotę mój przyjaciel Hastings. Właśnie rozprawiał na ten temat, n'est-ce pas, *mon ami*?

— Jasne — odrzekł protekcjonalnie Japp, patrząc w moją stronę — że pan też dołoży swój kamyczek. A pana, Poirot, mogę zapewnić, że ten, kto zgłębi ten przypadek, będzie miał prawdziwy powód do dumy. Ale do rzeczy. Przypuszczam, że zna pan najważniejsze fakty?

— Tylko z gazet. A wyobrażenia dziennikarzy może czasem wprowadzić w błąd. Więc proszę mi streścić tę historię.

Japp założył nogę na nogę i zaczął:

— Jak wszystkie ptaszki ćwierkają, w ostatni wtorek odbył się Wielki Bal Zwycięstwa. Co prawda, teraz każdy jubel w tancbudzie nazywa się szumnie „balem”, ale tu chodzi o prawdziwy bal. Impreza odbyła się w Colossus Hali. Był tam cały Londyn, łącznie z młodym lordem Cronshaw i jego paczką.

— Czy mógłbym prosić o dossier lorda? To znaczy, powinienem, zdaje się, powiedzieć „życiorys”...? Nie, raczej „dane osobowe”...

— Był piątym wicehrabią Cronshaw. Miał dwadzieścia pięć lat. Bogaty, nieżonaty, bardzo interesował się teatrem i miał wielu przyjaciół w środowisku aktorskim. Ostatnio krążyły słuchy, że zaręczył się z panną Courtenay z teatru Albany, niezwykle fascynującą osobą. Przyjaciele mówili na nią Coco.

— Dobrze. *Continuez!**

— Był to bal maskowy. Towarzystwo lorda Cronshaw składało się z sześciu osób: on sam, jego stryj Eustace Beltane, piękna wdowa z Ameryki pani Maiłaby, młody aktor Chris Davidson z żoną, no i wreszcie panna Coco Courtenay. Wszyscy oni przebrali się za bohaterów starej włoskiej komedii, czy czegoś takiego...

— Chodzi o komedię *dell'arte* — mruknął Poirot. — Wiem.

— Tak czy owak, kostiumy zostały skopiowane z kompletu porcelanowych figurek wchodzących w skład kolekcji pana Beltane. Lord Cronshaw był Arlekinem, Beltane — Punchinello; pani Maiłaby była jego parą, czyli Pulcinellą; Davidsonowie przebrali się za Pierrota i Pierrette, zaś panna Courtenay wstąpiła jako Colombina... * Tego wieczora dosyć wcześnie okazało się, że coś jest nie tak. Lord Cronshaw był wyraźnie rozdrażniony i zachowywał się co najmniej dziwnie. Kiedy nasza szóstka usiadła do kolacji w małym, specjalnie na tę okazję wynajętym gabinecie, wszyscy zauważyli, że panna Courtenay i lord Cronshaw nie rozmawiają ze sobą. Na twarzy panny Coco widać było ślady łez i w ogóle niewiele jej brakowało do ataku hysterii. Posiłek upłynął w wyjątkowo nieprzyjemnej atmosferze, a kiedy dobiegł końca i wszyscy opuścili gabinet, panna Courtenay podeszła do Chrisa Davidsona i głośno poprosiła, aby odwiózł ją do domu, gdyż ma „potąd tego balu”. Młody aktor wahał się, zerkając na lorda Cronshaw, aż wreszcie zaciągnął go z powrotem do gabinetu, zapewne po to, by jakoś na niego wpłynąć.

Jednak wszelkie wysiłki mające na celu pogodzenie zwaśnionych stron okazały się próżne, w związku z czym Davidson wezwał taksówkę i odwiózł łkającą pannę Courtenay do jej mieszkania. Choć bardzo zdenerwowana, panna Coco nie zwierzyła się Davidsonowi ze swych problemów, tylko co chwilę powtarzała, że „Cronch jeszcze tego pożałuje!” I to jest jedyna wskazówka sugerująca, że jej śmierć mogła nie być przypadkowa. To stanowczo za mało! Kiedy Davidsonowi udało się w końcu uspokoić trochę pannę Courtenay, na powrót do Colossus Hali było już zbyt późno. Dlatego Chris Davidson pojechał niezwłocznie do swego mieszkania w Chelsea, gdzie niedługo później zjawiła się jego żona. Od niej dowiedział się o tragedii, do której doszło po jego wyjściu.

Z tego co wiadomo, lord Cronshaw z minuty na minutę stawał się coraz bardziej rozdrażniony. Trzymał się z daleka od swych przyjaciół. Właściwie przez resztę wieczoru prawie nikt go nie widział. Tuż po wpół do drugiej zapowiedziano wielki kotylicjon połączony ze zrzuceniem masek. Właśnie wtedy kapitan Digby, kolega lorda, który wiedział, kto kryje się pod maską Arlekina, zauważył go stojącego w loży i obserwującego scenę.

„Co tak stoisz i gapisz się jak cieleń na malowane wrota? — zawołał kapitan. — Zejdź na dół! Zaraz zaczniesz się prawdziwa zabawa!”

„Dobrze! — odrzekł Cronshaw. — Ale zaczekaj na mnie, bo nie odnajdę cię w tym tłumie!”

Odwrócił się i wyszedł z loży, zaś kapitan Digby czekał na niego wraz z panią Davidson. Minęło dziesięć minut, a lorda Cronshaw w dalszym ciągu nie było; Digby zaczął tracić cierpliwość.

„Czy ten facet myśli, że będę czekał na niego całą noc?” — wykrzyknął.

W tym momencie podeszła do nich pani Maiłaby. Wyjaśnili jej, co się dzieje.

„No cóż — stwierdziła piękna wdowa. — Zachowuje się dziś, jakby go osa ugryzła. Chodźmy, trzeba go odnaleźć.”

Rozpoczęto poszukiwania, jednak nie przyniosły rezultatu. Dopiero po pewnym czasie pani Maillaby przyszło do głowy, że może lord Cronshaw ukrył się w gabinecie, w którym jedli kolację. Pobiegli tam zaraz — i co zobaczyli? Rzeczywiście Arlekina, tyle że rozciągniętego na podłodze, z nożem wbitym w serce.

Japp przerwał, zaś Poirot pokiwał głową ze znawstwem.

— *Une belle affaire!** I oczywiście brak wszelkich śladów? Zresztą, skąd miałyby być...?

— No cóż — kontynuował inspektor. — Resztę pan zna. Rano okazało się, że tragedia ma jeszcze dalszy ciąg. Gazety podały, że popularną aktorkę, pannę Courtenay znaleziono martwą w jej łóżku. Śmierć nastąpiła wskutek przedawkowania kokainy. Problem tylko, czy był to wypadek, czy też samobójstwo? W trakcie przesłuchania pokojówka denatki potwierdziła, że jej pani zażywała kokainę. Dlatego przyjęto, iż śmierć nastąpiła przypadkowo. Jednak nie możemy wykluczyć samobójstwa. Śmierć panny Courtenay martwi nas szczególnie, gdyż teraz nie ma nikogo, kto znałby powód sprzeczki narzeczonych. Aha, jeszcze jedno. Przy zamordowanym znaleziono emaliowane pudełeczko z napisem Coco zrobionym z brylantów. Było do połowy wypełnione kokainą. Służąca potwierdziła, że należało do panny Courtenay. Podobno prawie nigdy się z nim nie rozstawała, ponieważ zawierało zapas narkotyku, od którego panna Coco była coraz bardziej uzależniona.

— Czy lord Cronshaw też był uzależniony?

— Wręcz przeciwnie. Był nieprzejednanym wrogiem narkotyków.

Poirot pokiwał głową, zastanawiając się nad czymś.

— Ale skoro pudełko znaleziono przy nim, to musiał wiedzieć, że panna Courtenay jest narkomanką. To daje do myślenia, prawda, drogi przyjacielu?

— No... — odparł Japp niezdecydowanie. Uśmiechnąłem się.

— Cóż — powiedział Japp — to już wszystko. Co pan o tym myśli?

— Czy nie znalazł pan żadnego śladu, o którym nie pisano w gazetach?

— Owszem. Było tam coś takiego. — Japp wyjął z kieszeni niewielki przedmiot i wręczył go Poirotowi. Był to pompon ze szmaragdowego jedwabiu. Zwisało z niego kilka nierównych nitki, tak jakby został od czegoś oderwany. — Znaleźliśmy to w zaciśniętej ręce denata — wyjaśnił inspektor.

Poirot oddał pompon bez słowa komentarza, po czym spytał:

— Czy lord Cronshaw miał jakichś wrogów?

— O ile nam wiadomo, żadnych. Wszyscy bardzo go lubili.

— Kto skorzysta na jego śmierci?

— Jego stryj, Eustace Beltane, dziedziczy tytuł oraz posiadłości. Jest pewien drobiazg, który może świadczyć przeciw niemu. Kilka osób twierdzi, iż słyszało gwałtowną wymianę zdań dobiegającą z gabinetu. Jednym z kłócących się miał być właśnie Eustace Beltane. Na dodatek, narzędziem zbrodni był nóż stołowy, który leżał na stole. To może wskazywać na zabójstwo w trakcie kłótni.

— A co na ten temat mówi sarn pan Beltane?

— Twierdził, że zbeształ pijanego kelnera. A także, że awantura ta miała miejsce tuż po pierwszej. Wie pan, zeznanie kapitana Digby dość dokładnie określa moment zabójstwa. Minęło przecież tylko dziesięć minut od jego rozmowy z lordem Cronshaw do momentu odnalezienia ciała.

— Przypuszczam, że pan Beltane jako Punchinello miał garb i nosił werbel?

— Nie orientuję się w szczegółach dotyczących kostiumów — odparł Japp, patrząc ze zdziwieniem na Poirota. — Poza tym nie rozumiem, co to ma do rzeczy?

— Naprawdę nie? — W uśmiechu Poirota dostrzegłem coś złośliwego. Mówił spokojnie dalej, a w jego oczach pojawiły się zielone ogniki, które nauczyłem się już rozpoznawać. — W tym gabinecie jest kotara, prawda?

— Tak, ale...

— I jest za nią wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić się tam człowiek?

— Tak, rzeczywiście... Jest tam zasłonięta wnęka... Ale skąd pan o niej wie? Przecież jeszcze pan tam nie był? A może się mylę?

— Nie, drogi Jappie, nie byłem. Wyczarowałem tę kotarę we własnej mózgowicy. Bez niej cały dramat pozbawiony byłby sensu. Ale niech mi pan powie, czy wezwano lekarza?

— Oczywiście, że tak. Natychmiast. Lecz nic już nie dało się zrobić. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Poirot niecierpliwie pokiwał głową.

— Tak, tak, rozumiem. Czy lekarz stwierdził przyczynę zgonu?

— Tak.

— A czy nie mówił nic o jakichś nietypowych objawach? Czy nie zwrócił uwagi na coś dziwnego, coś, co wydało mu się nienormalne? Japp wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

— Tak, *monsieur* Poirot. Nie wiem, do czego pan pije, ale rzeczywiście, lekarz zwrócił uwagę na sztywność ciała, której nijak nic potrafił wyjaśnić.

— Aha! Mon Dieu! Japp, to przecież daje do myślenia, czyż nie?

Mina Jappa świadczyła o czymś wręcz przeciwnym.

— Może myśli pan o truciźnie, ale po co truć kogoś, kogo się zasztyletowało?

— To rzeczywiście byłoby idiotyczne — zgodził się Poirot.

— Czy jest może coś, co chciałby pan zobaczyć? Na przykład miejsce zbrodni?

Poirot machnął ręką.

— Nie, skądże znowu. Wyjaśnił mi pan to, co najbardziej mnie interesowało... Mianowicie poglądy lorda Cronshaw na narkotyki.

— A więc nie ma nic, co chciałby pan zobaczyć?

— Tylko jedna rzecz.

— To znaczy?

— Kolekcja porcelanowych figurek, z których skopiowano kostiumy.

Japp ponownie wytrzeszczył oczy.

— Pan jest naprawdę dziwny!

— Czy może pan to dla mnie załatwić?

— Jeśli pan chce, możemy pojechać na Berkeley Square. Pan Beltane — a raczej jego lordowska mość, jak powinienem go teraz tytułować — nie powinien mieć nic przeciwko temu.

Chwilę później siedzieliśmy w taksówce. Nowego lorda Cronshaw nie było akurat w domu, lecz na prośbę Jappa zaprowadzono nas do „porcelanowej komnaty”, gdzie znajdowały się perły kolekcji. Japp dość bezradnie rozejrzał się dookoła.

— Nie mam pojęcia, jak pan chce je znaleźć. Lecz Poirot bez słowa ustawił przed kominkiem krzesło, po czym wskoczył na nie jak zwinny wróbel. Nad lustrem, na niewielkiej półce stało sześć figurek z porcelany. Poirot przyjrzał się dokładnie każdej z nich.

— *Les voilà! Comedia dell'arte!* — mówił, oglądając figurki. — Trzy pary! Arlekin z Colombiną, Pierrot i Pierrette — bardzo elegancyjcy w bieli i zieleni — no i Punchinello z Pulcinellą — w fiołkowo-żółtych strojach. Szczególnie podoba mi się strój Punchinella: koronkowe mankiety, falbanki, garb i cylinder. Tak jak myślałem, bardzo skomplikowany.

Odstawił figurki na miejsce i zeskoczył na podłogę.

Japp nie wyglądał na zadowolonego, lecz ponieważ Poirot wyraźnie nie miał ochoty niczego wyjaśniać, robił dobrą minę do złej gry. Mieliśmy już wychodzić, kiedy zjawił się gospodarz. Zostaliśmy mu przedstawieni.

Szósty wicehrabia Cronshaw okazał się przystojnym mężczyzną około pięćdziesiątki, o gładkich manierach. Sprawiał wrażenie podstarzałego rozpustnika. Od razu poczułem do niego niechęć. Przywitał nas łaskawie, powiedział coś na temat niezwyklej sławy Poirota i oddał się do naszej całkowitej dyspozycji.

— Policja stara się jak może — powiedział Poirot.

— Ja jednak bardzo się obawiam, że śmierć mego bratanka nigdy nie zostanie wyjaśniona. Cała ta sprawa wydaje mi się bardzo tajemnicza.

Poirot spojrział na niego przenikliwie.

— Pański bratanek nie miał żadnych wrogów?

— Żadnych. Tego jestem pewien. — Przerwał na chwilę. — Jeśli ma pan jakieś pytania, na które mógłbym odpowiedzieć...

— Tylko jedno. — Głos Poirota był bardzo poważny. — Czy kostiumy na bal były dokładnie skopiowane z pańskich figurek?

— W najdrobniejszych szczegółach.

— Dziękuję panu. To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć. Życzę przyjemnego dnia.

— I co dalej? — spytał Japp, kiedy wyszliśmy na ulicę. — Wie pan, muszę się teraz zameldować się w Scotland Yardzie...

— *Bien!* Nie będę więc pana zatrzymywał. Jeśli i o mnie chodzi, załatwię jeszcze tylko jeden drobiazg i...

— I co?

— I sprawa będzie zakończona.

— Co?! Pan chyba żartuje! Wie pan, kto zamordował lorda Cronshaw?

— *Parfaitement* *.

— A więc, kim jest zabójca? Czy to Eustace Beltane?

— Ależ *mon ami*, przecież zna pan moją małą słabostkę! Staram się zawsze trzymać wszystkie

nitki w garści aż do ostatniej chwili. Ale bez obawy, wyjaśnię wszystko w odpowiednim czasie. Ja nie pragnę zaszczytów... Przypadną one panu, pod warunkiem, że pozwoli mi pan rozegrać *denouement** na mój własny sposób.

— To rozsądna propozycja — odparł Japp. — Oczywiście pod warunkiem, że *denouement* kiedykolwiek nastąpi! Strasznie tajemniczy z pana człowiek... — Poirot uśmiechnął się. — No cóż, w takim razie do zobaczenia. Na mnie czas.

Ruszył w dół ulicy, zaś Poirot zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Dokąd jedziemy? — spytałem, nie mogąc opanować ciekawości.

— Do Chelsea, odwiedzić państwa Davidsonów. Podał kierowcy adres.

— Co myślisz o nowym lordzie Cronshaw? — spytałem.

— A co powie mój przyjaciel Hastings?

— Nie ufam mu.

— Myślisz, że jest takim „złym wujkiem” z książek, tak?

— A ty nie?

— Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że był dla nas bardzo miły — odparł Poirot wymijająco.

— Widocznie miał swoje racje.

Poirot spojrział na mnie, ze smutkiem pokiwał głową i mruknął pod nosem coś, co brzmiało jak: „Żadnej metody”.

Mieszkanie państwa Davidsonów znajdowało się na trzecim piętrze. Powiedziano nam, że pan Davidson wyszedł, ale w domu jest jego żona. Wprowadzono nas do długiego, niskiego pomieszczenia z jaskrawymi draperiami w stylu orientalnym. Powietrze wydawało się ciężkie i duszne, przesycone słodkawym zapachem kadzidełek. Prawie natychmiast zjawiała się pani Davidson. Była niską blondyneczką, której kruchość mogłaby wzruszać, gdyby nie przenikliwy błysk jej niebieskich oczu, świadczący o wyrachowaniu i przebiegłości.

Gdy Poirot wyjaśnił jej, że zajmujemy się sprawą zabójstwa lorda Cronshaw, ze smutkiem pokiwała głową.

— Biedny Cronch... I biedna Coco! Oboje tak bardzo ją lubiliśmy! Jej śmierć okryła nas straszną żałobą... O co chce mnie pan pytać? Czy koniecznie muszę jeszcze raz przeżyć wydarzenia tego strasznego wieczoru?

— Ależ *madame*, proszę mi wierzyć, że nie mam zamiaru niepotrzebnie ranić pani uczuć. Inspektor Japp udzielił mi wszelkich niezbędnych informacji. Chciałbym jedynie obejrzeć państwa kostiumy z balu. Pani Davidson spojrzała na Poirota cokolwiek zdziwiona, on zaś spokojnie kontynuował:

— Wie pani, pracuję według systemu, który obowiązuje w moim kraju. Zawsze przeprowadzamy tak zwaną „rekonstrukcję zbrodni”. Do tego zaś potrzebne mi są szczegóły dotyczące kostiumów.

Pani Davidson chyba nadal miała jakieś wątpliwości.

— Słyszałam trochę na temat rekonstrukcji zbrodni — powiedziała. — Ale nigdy nie przypuszczałam, że szczegóły są aż tak ważne. Zaraz przyniosę te kostiumy.

Wyszła z pokoju, a po chwili wróciła, niosąc stroje z delikatnego, białego i zielonego atłasu. Poirot wziął je od niej, obejrzał dokładnie, po czym oddał, kłaniając się elegancko.

— *Merci, madame!** Widzę, że zgubiła pani jeden z zielonych pomponów... ten z ramienia.

— Tak, urwał mi się na balu. Podniosłam go i dałam na przechowanie nieszczęsnemu lordowi Cronshaw.

— Zdarzyło się to po kolacji, prawda?

— Tak.

— Niedługo przed tymi tragicznymi wydarzeniami, tak?

W jasnych oczach pani Davidson dostrzegłem niepokój.

— Ależ skąd. Długo przed nimi. To stało się zaraz po kolacji.

— Rozumiem. To już chyba wszystko. Nie będziemy dłużej sprawiać pani kłopotu. *Bonjour, madame.**

— Tak — odezwałem się, kiedy wyszliśmy na ulicę. — To chyba wyjaśnia tajemnicę pomponu.

— To ciekawe.

— Co? Co masz na myśli?

— Widziałeś, Hastingsie, jak oglądałem suknię?

— Tak.

— *Eh bien*, ten brakujący pompon nie został oderwany, jak twierdziła pani Davidson, lecz wręcz przeciwnie — odcięty. Odcięty nożyczkami! Wszystkie nitki były równe.

— Dobry Boże! — wykrzyknąłem. — To wszystko staje się coraz bardziej skomplikowane!

— Ależ skąd, mój drogi — odparł Poirot. — Wszystko staje się coraz prostsze.

— Poirot! — wrzasnałem. — Któregoś dnia po prostu cię zabiję! Ten twój zwyczaj mówienia o wszystkim, że jest dziecinnie proste, doprowadza mnie do szaleństwa!

— Ale przecież, kiedy już wszystko ci wyjaśnię, zgadzasz się ze mną. Prawda, *mon ami*?

— Tak. I to właśnie tak bardzo mnie denerwuje. Wtedy wydaje mi się, że sam mogłem na to wpaść.

— Bo i mógłbyś, Hastingsie, mógłbyś. Gdybyś tylko zadał sobie odrobinę trudu i uporządkował swe myśli. Bez odpowiedniej metody...

— Tak, tak, wiem — przerwałem mu pospiesznie, gdyż jego skłonność do rozwijania tego tematu była mi znana aż nadto dobrze. — Powiedz mi, co masz zamiar teraz robić? Czy naprawdę planujesz zrekonstruować wydarzenia?

— Ależ skąd. Można powiedzieć, że dramat dobiega końca. Przed nami ostatni akt — arlekinada...

Termin tajemniczego przedstawienia Poirot wyznaczył na wtorek. Bardzo mnie zaintrygowały przygotowania do tego wydarzenia. W jednym końcu pokoju zawieszono biały ekran, a z obu jego stron ciężkie zasłony. Następnie pojawił się mężczyzna z aparaturą oświetleniową, a wreszcie grupa aktorów, którzy zniknęli w sypialni Poirota, pełniącej tego wieczora funkcję garderoby.

Krótko przed ósmą zjawił się Japp. Był w nie najlepszym humorze. Odniosłem wrażenie, iż nie bardzo podoba mu się plan Poirota.

— Trochę to melodramatyczne, jak wszystkie te jego pomysły — powiedział. — Ale myślę, że nie zaszkodzi, a może rzeczywiście oszczędzi nam zbędnych wysiłków. Poirot wspaniale poradził sobie z tą sprawą. Oczywiście, podejrzewałem dokładnie to samo, co on... — od razu wyczułem, że Japp nieco naciąga fakty — ...ale skoro obiecałem, że pozwolę mu rozegrać finał tak, jak zechce, muszę dotrzymać słowa. Aha, oto i pozostali.

Najpierw wszedł nowy lord Cronshaw w towarzystwie ładnej brunetki, pani Mailaby, którą widziałem po raz pierwszy. Sprawiała wrażenie mocno zdenerwowanej. Za nimi weszli państwo Davidsonowie. Także Chrisa Davidsona nigdy przedtem nie widziałem. Był przystojnym, rzucającym się w oczy brunetem i jak na aktora przystało, zachowywał się bardzo swobodnie.

Krzesła ustawiono tak, aby wszyscy siedzieli przodem do białego, silnie oświetlonego ekranu. Poirot zgasił światło, zostawiając tylko reflektor skierowany na ekran. Z mroku dobiegł głos Poirota:

— *Messieurs, mesdames*, słówko wprowadzenia. Za chwilę zobaczą państwo sześć postaci przesuwających się po kolei przed ekranem. Znacze je. Są to: Pierrot i Pierrette; błazen Punchinello i elegancka Pulcinella; piękna, roztańczona Colombina, no i Arlekin — zjawa ukryta za maską.

Po tym krótkim wprowadzeniu zaczęło się przedstawienie. Wymienione przez Poirota postaci pojawiały się kolejno przed ekranem, zatrzymywały się na moment, po czym znikaly. Wreszcie

zapalono światło i dało się słyszeć westchnienie ulgi. Wszyscy byli zdenerwowani, obawiali się czegoś, nie wiedząc czego. Ja osobiście odniosłem wrażenie, iż przedstawienie minęło bez żadnego odzewu ze strony zebranych. Jeśli był wśród nas morderca i Poirot liczył, że samo pojawienie się znajomej postaci zmusi go do zdradzenia się, to — co było zresztą do przewidzenia — pomylił się. Jednak Herkules Poirot nie wydawał się niezadowolony. Wystąpił naprzód, rozpromieniony.

— A teraz, panie i panowie, czy będziecie tak uprzejmi i zechcecie po kolei powiedzieć mi, co zobaczyliście przed chwilą? Może najpierw pan, milordzie?

Lord Cronshaw wyglądał na zdezorientowanego.

— Pan wybaczy, ale nie bardzo rozumiem.

— Proszę mi po prostu powiedzieć, co pan przed chwilą zobaczył?

— Ja... No cóż... Powiedziałbym, że przed ekranem przeszło sześć postaci w strojach charakterystycznych dla starej włoskiej komedii... Tamtego wieczoru, my...

— Mniejsza o tamten wieczór, milordzie — przerwał mu Poirot. — Chodziło mi właśnie o pierwszą część pańskiej wypowiedzi. *Madame* — zwrócił się do pani Mailaby — czy zgadza się pani z tym, co powiedział lord Cronshaw?

— Ja... ? Tak, oczywiście.

— Zgadza się pani, że widzieliście państwo sześć postaci z komedii dell'arte?

— Tak, przecież to oczywiste.

— *Monsieur* Davidson? Pan także?

— Tak.

— *Madame*?

— Tak.

— Hastingsie? Inspektorze? Wy też? Wszyscy jesteście tego samego zdania? — Popatrzył na nas. Jego twarz pobladła trochę, zaś oczy zrobiły się bardzo zielone. — A jednak wszyscy się mylicie! Wasze oczy was okłamały! Tak samo jak wtedy, na Balu Zwycięstwa. Widzieć coś na własne oczy niekoniecznie znaczy widzieć prawdę. Trzeba nauczyć się patrzeć oczami umysłu! Puścić w ruch szare komórki! Wiedźcie więc, że dziś, podobnie jak tamtego wieczora, widzieliście nie sześć postaci, ale pięć! Patrzcie!

Ponownie zgasło światło. Przed ekranem pojawiła się jakaś postać. Pierrot!

— Kto to? — spytał Poirot. — Czy to Pierrot?

— Tak — odpowiedzieliśmy chórem.

— A teraz?

Szybkim ruchem mężczyzna zrzucił strój Pierrota. I nagle przed ekranem stał Arlekin! W tej samej chwili rozległ się zduszony okrzyk i łomot przewracanego krzesła.

— Niech cię diabli! — warknął Davidson. — Niech cię wszyscy diabli! Jak na to wpadłeś?

Szczęknięły kajdanki, a następnie Japp powiedział spokojnie:

— Christopherze Davidson, aresztuję pana pod zarzutem zamordowania wicehrabiego Cronshaw. Wszystko, co pan od tej pory powie, może być użyte przeciwko panu.

Jakiś kwadrans później podano wyszukana kolację, w czasie której uśmiechnięty od ucha do ucha Poirot rozplątywał się w gościnności i gorliwie odpowiadał na wszelkie pytania.

— To było naprawdę bardzo proste. Pompon w zaciśniętej ręce denata nasuwał podejrzenie, że pochodzi ze stroju zabójcy. Od razu wykluczyłem Pierrette, gdyż zabójstwo za pomocą zwykłego stołowego noża wymaga sporej siły, i skupiłem się na Pierrocie. Lecz przecież Pierrot opuścił bal na prawie dwie godziny przed morderstwem. Tak więc musiał albo wrócić na bal w celu zabicia lorda Cronshaw, albo, *eh bien*, zabić go jeszcze przed wyjściem. Czy było to niemożliwe? Kto widział lorda po kolacji? Tylko pani Davidson. Jej zeznanie — jak zresztą przypuszczałem — było wierutnym kłamstwem, sfabrykowanym w celu uwiarygodnienia historyjki o pomponie. Odcięła go od własnego kostiumu i przyszyła mężowi w miejsce oderwanego. Lecz w takim razie co z Arlekinem, którego widziano w łóżu? Ktoś musiał się pod niego podszyć... Dotąd nie wykluczałem możliwości, że to pan Beltane był mordercą. Ale garb, będący przecież elementem jego kostiumu, uniemożliwiał mu granie podwójnej roli: Punchinella i Arlekina. Z drugiej strony Davidsonowi, człowiekowi młodemu, wzrostu tego samego co ofiara, nie nastęczało to żadnych trudności. Tym bardziej, że jest przecież aktorem.

Lecz martwiła mnie jedna rzecz. Przecież lekarz nie mógł nie zauważyć różnicy między człowiekiem martwym od dwóch godzin, a zabitym mniej więcej przed dziesięcioma minutami! *Eh bien*, lekarz zauważył ją! Tyle że przecież nikt go nie spytał wręcz: „Od jak dawna ten człowiek nie żyje?” Przeciwnie, to jego poinformowano, że dziesięć minut wcześniej widziano denata całego i zdrowego. Dlatego lekarz wspominał tylko w akcie zgonu o nienaturalnym zeszytnieniu ciała, którego nie potrafił wyjaśnić!

Teraz już wszystko zdawało się potwierdzać moją teorię. Davidson zabił lorda Cronshaw zaraz po kolacji, kiedy — jak zapewne państwo pamiętają — wrócił z nim do gabinetu. Następnie odwiózł do domu pannę Courtenay, wcale do niej nie wstępując, i pospiesznie powrócił na bal — lecz już jako Arlekin, a nie Pierrot. Wystarczyło tylko zrzucić zewnętrzny kostium.

Stryj zamordowanego pochylił się do przodu. Był wyraźnie zakłopotany,

— Ale skoro tak — powiedział — to musiał już przed balem zaplanować to morderstwo. Nie rozumiem, jaki, do licha, mógł mieć motyw?

— Ha! I tu właśnie dochodzimy do drugiej tragedii — tej dotyczącej panny Courtenay. Był pewien drobiazg, który wszyscy przeoczyli. Panna Courtenay zmarła w wyniku przedawkowania kokainy... Lecz przecież jej zapas narkotyku znaleziono przy ciele lorda Cronshaw. Skąd więc wzięła zabójczą dawkę? Tylko jedna osoba mogła ją w nią zaopatrzyć: Davidson. I to tłumaczy wszystko. Także jej przyjaźń z Davidsonem i żądanie, aby to właśnie on odwiózł ją do domu. Lord Cronshaw, który był niemal fanatycznym wrogiem narkotyków, odkrył nałóg swojej narzeczonej. Podejrzewał, że to Davidson zaopatruje ją w kokainę. Ten oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, jednak lord Cronshaw zdecydował się za wszelką cenę zmusić pannę Courtenay do wyjawienia prawdy. Prawdopodobnie potrafiliby wybaczyć nieszczęsnej dziewczynie, lecz z całą pewnością nie komuś, kto utrzymuje się z handlu narkotykami. Tak więc Davidson stanął przed groźbą zdemaskowania oraz kompletnej ruiny. Dlatego przyszedł na bal z zamiarem uciszenia lorda za wszelką cenę.

— Czy w takim razie śmierć Coco była wypadkiem?

— Przypuszczam, że był to wypadek starannie wyreżyserowany przez Davidsona. Panna Courtenay była wściekła na swego narzeczonego, po pierwsze za to, że czynił jej wyrzuty, a po drugie, że zabrał jej kokainę. Davidson zaopatrzył ją w narkotyk i prawdopodobnie zasugerował zwiększenie dawki „na złość staremu Cronchowi”.

— Jeszcze jedno — spytałem. — Skąd wiedziałeś o zasłonie i wnęcie?

— Ależ, *mon ami*, to akurat było zupełnie oczywiste. Przecież po gabinecie kręcili się kelnerzy, więc ciało nie mogło przez cały czas leżeć tam, gdzie je znaleziono. Stąd wniosek, że w pomieszczeniu musiało być miejsce nadające się na skrytkę. Pomyślałem, że zapewne jest to zasłonięta wnęka. Davidson wciągnął tam zwłoki, a później, po tym jak w loży zwrócił na siebie uwagę, wyciągnął i ułożył na podłodze. Wtedy pozostało mu tylko ulotnić się. To był jeden z najmądrzejszych ruchów... Ten Davidson to sprytny facet.

Z zielonych oczu Poirota wyczytałem nieomylnie to, czego nie dopowiedział: „...ale nie tak sprytny, jak Herkules Poirot!”

Tajemnica domku myśliwskiego

— Może jednak — mruknął Poirot — tym razem jeszcze nie umrę.

Jako że słowa te pochodziły z ust osoby, której grypa dopiero zaczynała przechodzić, uznałem je za objaw cennego optymizmu. Najpierw zachorowałem ja, a później zaraził się ode mnie Poirot. Teraz siedział w łóżku, oparty o stos poduszek, z szyją owiniętą wełnianym szalem i popijał jakąś wyjątkowo wstrętną *tisane*, którą przygotowałem dokładnie według jego instrukcji. Z wyraźną lubością przyglądał się rządowi ustawionych według wielkości buteleczek z lekarstwami.

— Tak, tak — mówił dalej. — Jeszcze raz uda mi się dojść do siebie... Mnie, Herkulesowi Poirot, postrachowi złoczyńców! Wyobraź sobie, *mon ami*, że doczekałem się wzmianki w „Plotce Towarzyskiej”. Tak! Oto ona: *Hej, przestępcy! Spokojnie wychodźcie z ukrycia! Bierzcie się do dzieła! Herkules Poirot — a wiercie, dziewczęta, on naprawdę ma w sobie coś z Herkulesa! — nasz ulubiony detektyw nie może was dorwać! A dlaczego? Bo jego dorwała... grypa!*

Roześmiałem się.

— Punkt dla ciebie, Poirot. Stajesz się osobą publiczną. Ale na twoje szczęście ostatnio nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

— To prawda. Musiałem odrzucić kilka spraw, ale bez żalu.

W tej chwili nasza gospodyni wsunęła głowę do pokoju.

— Na dole jest jakiś pan. Mówi, że natychmiast musi się widzieć z *monsieur* Poirotem albo z panem, kapitanie Hastings. To chyba jakaś gruba ryba... i w ogóle wygląda na dżentelmena, więc wzięłam od niego wizytówkę.

Wręczyła mi kartonik.

— Roger Havering — przeczytałem na głos.

Poirot ruchem głowy wskazał na półkę z książkami. Posłusznie sięgnąłem po egzemplarz *Kto jest kim*. Poirot wziął go ode mnie i szybko odnalazł to, czego szukał:

Drugi syn piątego barona Windsor. W 1913 poślubił Zoe, czwartą córkę Williama Crabba.

— Hmm — zastanowiłem się. — Coś mi się wydaje, że to ta, która występowała we „Frivolity”. Tyle że wtedy nazywała się Zoe Carrisbrook. O ile pamiętam, niedługo przed wojną wyszła za kogoś z wyższych sfer.

— Czy nie miałbyś ochoty, Hastingsie, zejść na dół i wysłuchać, na czym polega kłopot naszego gościa? I przeproś go w moim imieniu.

Roger Havering miał około czterdziestu lat, był mężczyzną dobrze zbudowanym i bardzo eleganckim. Natomiast jego twarz zdradzała wielkie poruszenie.

— Kapitan Hastings? Jest pan współpracownikiem pana Poirota, prawda? *Monsieur* Poirot musi koniecznie jeszcze dziś udać się ze mną do Derbyshire.

— Przykro mi, ale to niemożliwe — odrzekłem. — Pan Poirot jest chory i leży w łóżku. Ma grypę.

Gościowi zrzęda mina.

— Mój Boże! To dla mnie straszny cios.

— Czy to poważna sprawa?

— Dobry Boże, tak! Mój wuj, najlepszy przyjaciel, jakiego w życiu miałem, został dzisiejszej nocy zamordowany!

— Tutaj, w Londynie?

— Nie, w Derbyshire. Dostałem dziś rano telegram od żony. Natychmiast zdecydowałem się przyjść tutaj i prosić pana Poirota o zajęcie się tą sprawą.

— Zechce pan chwileczkę zaczekać? — powiedziałem, gdyż przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Pobiegłem na górę i pośpiesznie zaznajomiłem Poirota z sytuacją. Dalsze słowa dosłownie wyjął mi z ust.

— Rozumiem... Rozumiem. Chcesz sam tam pojechać, zgadza się? Dobrze, dlaczego nie? W końcu poznałeś już chyba moje metody pracy. Wszystko, o co chcę cię prosić, to abyś codziennie kontaktował się ze mną i składał mi dokładny raport. No i wypełniał dokładnie wszystkie moje polecenia. Z chęcią przystałem na te warunki.

Godzinę później siedziałem w wagonie pierwszej klasy pociągu Midland Railway.

— Przede wszystkim, kapitanie Hastings — mówił mój towarzysz — musi pan wiedzieć, że domek myśliwski, do którego właśnie jedziemy i gdzie miała miejsce ta tragedia, jest niewielką chatką w samym sercu wrzosowisk Derbyshire. Na stałe mieszkamy niedaleko Newmarket, a w Londynie wynajmujemy mieszkanie na sezon. Domkiem opiekuje się gospodyni, która doskonale daje sobie ze wszystkim radę. Oczywiście na czas sezonu łowieckiego przywozimy ze sobą kilku służących z Newmarket. Mój wuj, Harrington Pace — może orientuje się pan, iż moją matką była niejaka panna Pace z Nowego Jorku — od trzech lat mieszkał z nami. Jego stosunki z moim ojcem, a także z bratem, nigdy nie układały się zbyt dobrze. Jeśli o mnie chodzi, zawsze byłem kimś w rodzaju syna marnotrawnego i to właśnie, zamiast odpychać, pociągało go do mnie. Oczywiście jestem człowiekiem ubogim, zaś mój wuj bardzo bogatym, więc to on dyktował warunki. Ale choć bywał

wymagający i pedantyczny, to żyło się nam z nim dobrze. Dwa dni temu wuj, trochę zmęczony naszymi szaleństwami w mieście, zaproponował, abyśmy wpadli na dzień lub dwa do Derbyshire. Żona wysłała telegram do pani Middleton, naszej gospodyni, i jeszcze tego samego popołudnia wyjechaliśmy. Wczoraj wieczorem musiałem powrócić pilnie do miasta, natomiast żona z wujem zostali w Derbyshire. Dziś rano otrzymałem telegram. Wręczył mi go:

Natychmiast przyjeżdżaj—stop—wuj Harringtona zamordowano wczoraj wieczorem—stop—sprowadź dobrego detektywa—stop—przyjedź jak najszybciej—stop—Zoe.

— A więc nie zna pan na razie żadnych szczegółów?

— Nie. Przypuszczam, że podaje wieczorna prasa. Policja z pewnością jest już na miejscu.

Około trzeciej po południu pociąg wjechał na małą stacyjkę Elmer's Dale. Aby dotrzeć do niewielkiego budynku z szarego kamienia, położonego w samym środku dzikich wrzosowisk, musieliśmy jeszcze odbyć pięćmilionową podróż.

— Dostyc odludne miejsce — zauważyłem. Havering pokiwał głową.

— Tak. Muszę sprzedać ten dom. Nie mógłbym już w nim mieszkać.

Otworzywszy bramę, ruszyliśmy wąską ścieżką w stronę dębowych drzwi, kiedy nagle pojawiła się skądś znajoma mi postać.

— Japp!—krzyknąłem.

Inspektor Scotland Yardu uśmiechnął się do mnie przyjaźnie, po czym zwrócił się do mego towarzysza:

— Pan Havering, o ile się nie mylę? Przesłano mnie z Londynu, abym zajął się tą sprawą. Czy mógłbym prosić pana na słówko?

— Moja żona...

— Rozmawiałem już z nią, proszę pana. A także z gospodynią. Nie zajmę panu dużo czasu, tym bardziej, że chciałbym jak najszybciej wrócić do wioski. Tu już obejrzałem wszystko, co trzeba.

— Nie wiem nic, co...

— Wiem — odparł Japp. — Ale są dwie czy też trzy rzeczy, o które chciałbym pana spytać. Kapitan Hastings pójdzie do domu i poinformuje pańską żonę, że zaraz pan przyjdzie. A właśnie, kapitanie Hastings, co pan zrobił ze swoim małym przyjacielem?

— Leży chory w łóżku. Ma grypę.

— Naprawdę? Szczerze współczuję. Bez niego musi się pan czuć jak wóz bez konia, prawda?

Po tym raczej kiepskim żarcie wszedłem do domu. Musiałem zadzwonić, ponieważ Japp zatrzasnął za sobą drzwi. Po chwili czekania otworzyła je kobieta w średnim wieku, ubrana na czarno.

— Pan Havering za chwilę przyjdzie — powiedziałem. — Rozmawia z inspektorem Jappem. Przyjechałem z Londynu, aby zająć się tą sprawą. Może zechce mi pani krótko opowiedzieć, co się wydarzyło?

— Proszę, niech pan wejdzie — odparła i zamknęła za mną drzwi. Staliśmy teraz w słabo oświetlonym holu. — Po kolacji zjawił się ten człowiek. Powiedział, że chce rozmawiać z panem Pace'em. Ponieważ podobnie jak on mówił z amerykańskim akcentem, pomyślałam, że jest to jeden z jego przyjaciół. Wprowadziłam go do pokoju, w którym trzymamy broń, a później poszłam po pana. Mężczyzna nic przedstawił się, co teraz wydaje mi się dziwne. Pan Pace był trochę zaskoczony, ale przeprosił panią i poszedł sprawdzić, o co chodzi. Wróciłam do kuchni, lecz usłyszałam podniesione głosy, jak gdyby się kłócili, więc znowu wyszłam do holu. Pani akurat też wyszła... I właśnie w tym momencie rozległ się huk wystrzału. Pobieglyśmy do drzwi. Były zamknięte na zamek, więc obeszlśmy dom dookoła, żeby zajrzeć przez okno. Było otwarte, a w środku leżał pan Pace.

— A co z tamtym mężczyzną?

— Musiał uciec przez okno.

— Co wydarzyło się później?

— Pani Havering posłała mnie po policję. Bite pięć mil marszu! Posterunkowy spędził tu całą noc, a rano zjawił się ten inspektor z Londynu.

— Jak wyglądał mężczyzna, który chciał rozmawiać z panem Pace'em?

Gospodyni zastanowiła się.

— Był w średnim wieku, miał ciemną brodę, a ubrany był w lekki płaszcz. Poza tym, że mówił z amerykańskim akcentem, nie było w nim nic szczególnego.

— Rozumiem. Czy teraz mógłbym porozmawiać z panią Havering?

— Jest na górze, proszę pana. Czy mam ją poprosić?

— Jeśli można. Proszę jej powiedzieć, że pan Havering jest na dworze z inspektorem Jappem oraz że chciałbym zadać jej kilka pytań.

— Dobrze, proszę pana.

Płonałem z niecierpliwości, by poznać fakty. Japp miał nade mną przynajmniej trzy godziny przewagi. To, że tak bardzo spieszył się do wsi, dodało mi tylko zapału, by deptać mu po piętach. ' Na szczęście pani Havering nie kazała mi czekać zbyt długo. Po paru minutach usłyszałem na schodach jej lekkie kroki. Ujrzałem piękną, młodą kobietę, ubraną w jaskrawoczerwony sweter, który podkreślał chłopcę smukłość jej ciała. Na głowie miała także czerwony skórzany kapelusz.

Nawet niedawna tragedia nie zdołała zdusić jej tryskającej energią osobowości.

Przedstawiłem się krótko.

— Oczywiście słyszałam wiele o panu i pańskim przyjacielu, panu Poirot. Dokonaliście razem wielu wspaniałych rzeczy, nieprawdaż? Bardzo dobrze, że mąż sprowadził pana tak szybko. Teraz pewnie zechce mi pan zadawać pytania? To chyba najlepszy sposób na zaznajomienie się z całą tą straszną sprawą.

— Dziękuję, pani Havering, bardzo chętnie. A więc, czy pamięta pani, o której zjawił się ten mężczyzna?

— Musiało być tuż przed dziewiątą. Właśnie skończyliśmy kolację i siedzieliśmy przy kawie i papierosach.

— Pani mąż wyjechał już wtedy do Londynu, tak?

— Tak. Pociągiem o szóstej piętnaście.

— Czy na stację pojechał samochodem, czy poszedł?

— Nie mamy tu samochodu. Ale ktoś z warsztatu w Elmer's Dale odwiózł męża na stację.

— Czy w zachowaniu pana Pace'a nie zauważyła pani niczego dziwnego?

— Nie. Zachowywał się normalnie pod każdym względem.

— Dobrze... A czy potrafi pani opisać tego mężczyznę?

— Niestety nie. Nie widziałam go. Pani Middleton wprowadziła go prosto do pokoju, w którym trzymamy broń, po czym przysłała powiedzieć wujowi, że ma gościa.

— A jak zareagował wuj?

— Wydawał się trochę zaniepokojony, ale natychmiast wyszedł. Po jakichś pięciu minutach usłyszałam podniesione głosy. Wybiegłam do holu i tam niemal zderzyłam się z panią Middleton. Wtedy rozległ się strzał. Drzwi pokoju były zamknięte od środka, więc musiałyśmy obiec dookoła cały dom. Zajęło nam to chwilę. W tym czasie morderca zdążył uciec. Biedny wuj — tu jej głos zadrżał — leżał na ziemi z przestrzeloną głową. Od razu wiedziałam, że nie żyje. Posłałam panią Middleton po policję. Nie dotykałam niczego, aby nie zatrzeć śladów. Pokiwałam głową z uznaniem.

— Dobrze. A czy wie pani, z jakiej broni strzelano?

— Mogę się tylko domyślać, kapitanie Hastings. Na ścianie wisiała para pistoletów mojego męża. Jednego z nich brakowało. Zwróciłam na to uwagę policji. Drugi zabrali do ekspertyzy. Kiedy wyjmą kulę z ciała, będziemy mieć pewność.

— Czy mógłbym zobaczyć ten pokój?

— Oczywiście. Policja już tam była. Zabrano też ciało.

Zaprowadziła mnie na miejsce zbrodni. W tym momencie do holu wszedł jej mąż. Pani Havering przeprosiła mnie i pobiegła do niego. Zostałem sam na sam ze swymi myślami.

Muszę przyznać, że byłem głęboko zawiedziony. W powieściach kryminalnych rezultatem takich oględzin jest zwykle mnogość tropów, natomiast mnie nie udało się trafić na nic niezwykłego, oczywiście poza plamą krwi na dywanie, tam gdzie upadła ofiara. Z wielką starannością obejrzałem cały pokój; zrobiłem także kilka fotografii moim niewielkim aparatem. Następnie spojrzałem za okno, jednak ziemia była tak dokładnie zdeptana, że nie było mowy o żadnych śladach. Nie, zdecydowanie nie ma tu już nic do oglądania. Muszę teraz niezwłocznie wyruszyć do Elmer's Dale i skontaktować się z Jappem. Pożegnałem się z gospodarzami i odjechałem tym samym samochodem, który zabrał nas z dworca.

Jappa znalazłem w Matlock Arms. Razem z nim poszedłem obejrzeć zwłoki. Harrington Pace był niskim, szczupłym mężczyzną, starannie ogolonym i już na pierwszy rzut oka wyglądającym na Amerykanina. Strzelono do niego z tyłu, z niewielkiej odległości.

— Musiał się na chwilę odwrócić — stwierdził Japp — i wtedy ten człowiek chwycił pistolet i strzelił. Ten, który dała nam pani Havering, był naładowany. Przypuszczam, że drugi także. To zadziwiające, jak głupie rzeczy robią niektórzy ludzie. Trzymać na ścianie nabitą broń!

— Co pan myśli o tej sprawie? — spytałem, gdy opuściliśmy to przygnębiające pomieszczenie.

— No cóż, najpierw miałem oko na Haveringa. O tak! — potwierdził, usłyszawszy mój okrzyk zdziwienia. — Havering ma niejasną przeszłość. Kiedy był jeszcze w Oxfordzie, zdarzyła się pewna podejrzana historia dotycząca podpisu na jednym z czeków jego ojca. Oczywiście sprawę zatuszowano. Poza tym Havering ma obecnie spore długi — i to takie, do których nie mógłby przyznać się wujowi, aczkolwiek można być pewnym, że testament jest na jego korzyść. Tak więc podejrzewałem go i dlatego chciałem z nim pomówić, jeszcze zanim spotka się z żoną. Jednak ich zeznania dokładnie się pokrywały. Byłem też na stacji i upewniłem się, że Havering wyjechał pociągiem o osiemnastej piętnaście. Do Londynu dojechał około dwudziestej drugiej trzydzieści. Twierdzi, że bezpośrednio z dworca udał się do swego klubu. Jeżeli i to się zgadza... no cóż, nie mógł przecież zastrzelić wuja tutaj o dziewiątej, jeśli nawet przyczepił sobie czarną brodę.

— No właśnie, miałem właśnie zapytać, co sądzi pan o tej czarnej brodzie?

Japp mrugnął okiem.

— Myślę, że bardzo szybko urosła. W każdym razie gdzieś pomiędzy Elmer's Dale a domkiem myśliwskim. Wszyscy Amerykanie, których zdarzyło mi się spotkać, starannie się golą. Wydaje mi się, że mordercy należy szukać wśród pochodzących z Ameryki znajomych pana Pace'a. Rozmawiałem najpierw z gospodynią, a później z panią Havering i ich zeznania w pełni się pokrywały. Żałuję tylko, że pani Havering nie widziała tego mężczyzny. To bystra kobieta i mogłaby

zauważyć coś, co pomogłoby nam w śledztwie.

Siadłem i napisałem długi, drobiazgowy raport dla Poirota. Zanim go wysłałem, dowiedziałem się jeszcze paru istotnych szczegółów.

Ze zwłok wydobyto kulę i stwierdzono, że została wystrzelona z identycznego pistoletu jak ten, który wisiał na ścianie. Sprawdzono także dokładnie, co robił pan Havering fatalnego wieczora. Jego zeznania całkowicie się potwierdziły. Trzecia wiadomość była wprost sensacyjna. Pewien mieszkający w Ealing* mężczyzna, przechodząc Haven Green po drodze na stację kolejową, zauważył pomiędzy torami owiniętą w szary papier paczkę. Podniósł ją i stwierdził, że jest w niej pistolet. Zaniósł go na posterunek policji. Jeszcze przed wieczorem okazał się parą do tego, który wisiał na ścianie w domku myśliwskim. Brakowało w nim jednej kuli.

Oczywiście wszystko to znalazło się w moim raporcie. Już następnego ranka, w trakcie śniadania, otrzymałem depezę od Poirota:

Oczywiście mężczyzna z czarną brodą to nie Havering—stop—tylko ty albo Japp mogliście wpaść na taki pomysł—stop—opisz mi dokładnie gospodynię oraz jej ubrania—stop—to samo dotyczy pani Havering—stop—nie trać czasu na robienie zdjęć wnętrza—stop—są niedoświetlone i bardzo nieciekawe.

Styl tej depezy wydał mi się zbytecznie krotochwilny. Odniosłem też wrażenie, iż Poirot odrobinę mi zazdrości. W końcu znajdowałem się w centrum wydarzeń i mogłem pociągać za różne sznurki. A już prośba o dokładny opis gospodyni oraz pani Havering była wprost śmieszna. Jednak zgodnie z umową wykonałem polecenie tak dokładnie, jak potrafiłem.

O jedenastej nadeszła odpowiedź:

Niech Japp aresztuje gospodynię zanim będzie za późno.

Oszupiały, skontaktowałem się z Jappem. Zaklął cicho, ale odparł:

— Poirot zna się na rzeczy. Jeśli tak radzi, coś w tym musi być. Ledwie zauważyłem tę kobietę. Nie wiem, czy mogę się posunąć aż do aresztowania, ale każę ją śledzić. Zbieramy się stąd. Trzeba się jej przyjrzeć.

Było już jednak za późno. Pani Middleton, kobieta w średnim wieku, która wydawała się taka zwyczajna i godna szacunku, dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Został tylko jej kuferek. Zawierał zwykłe, nie rzucające się w oczy ubrania, nic, co pomogłoby w ustaleniu jej tożsamości.

Również pani Havering nie była w stanie udzielić nam zbyt wielu informacji na jej temat.

— Zatrudniłam ją mniej więcej trzy tygodnie temu — wyjaśniła — kiedy poprzednia gospodyni, pani Emery, odeszła. Przysłała ją do mnie agencja pani Selbourne z Mount Street. To znana i dobra firma. Wszystkich swoich służących zatrudniam za jej pośrednictwem. Zgłosiło się parę chętnych, lecz ona wydała mi się najbardziej godna zaufania. Miała dobre referencje. Od razu zdecydowałam

się ją zatrudnić i zaraz zawiadomiłam o tym agencję. Nie mogę uwierzyć, że coś z nią było nie w porządku. To taka spokojna i cicha kobieta.

Sprawa wydawała się bardzo tajemnicza. Było jasne, że pani Middleton nie mogła zamordować pana Pace'a. W chwili kiedy padł strzał, znajdowała się razem z panią Havering w korytarzu. Jednak musiała mieć jakiś związek z mordercą, gdyż w przeciwnym razie nie wzięłaby tak nagle nóg za pas.

Natychmiast wysłałem depezę do Poirota, proponując, że wrócę do Londynu i dowiem się w agencji pani Selbourne, kim jest tajemnicza pani Middleton.

Wkrótce nadeszła odpowiedź:

Nie ma sensu pytać w agencji—stop—na pewno nigdy o niej nie słyszeli—stop—dowiedz się, w jaki sposób dostała się za pierwszym razem ze stacji do domku.

Chociaż nic z tego nie rozumiałem, wykonałem polecenie. Liczba środków transportu w Elmer's Dale była ograniczona. W miejscowym warsztacie mieli dwa stare fordys. Poza tym na stacji były dwie dorożki. Tamtego dnia żaden z tych pojazdów nie został wynajęty. Poproszona o wyjaśnienie pani Havering powiedziała, że dała kobiecie dość pieniędzy, aby mogła wynająć jakiś pojazd i dojechać do domku. Przed stacją stał zwykle jeden z fordów. Owego fatalnego wieczora nikt na stacji nie zauważył przybycia nikogo obcego, z brodą czy bez. Wynikało z tego, że morderca przyjechał w pobliże myśliwskiego domku własnym pojazdem, którym zapewne wcześniej przywiózł tajemniczą gospodynię. Pewnie trzymał go gdzieś w pobliżu, w przewidywaniu ucieczki. Powinienem chyba dodać jeszcze, że przewidywania Poirota co do agencji pani Selbourne potwierdziły się. Kobieta o nazwisku Middleton nigdy nie figurowała w ich księgach. Natomiast otrzymali prośbę pani Havering o pomoc w znalezieniu gospodyni. Wysłali do niej kilka kobiet i po jakimś czasie otrzymali list informujący, że zdecydowała się na jedną z kandydatek. Pani Havering nie podała jednak jej nazwiska.

Cokolwiek przygnębiony powróciłem do Londynu. Kiedy zjawiłem się w domu, Poirot siedział przy kominku, ubrany w jaskrawy jedwabny szlafrok. Przywitał się ze mną niezwykle wylewnie:

— Hastingsie, przyjacielu! Jakże się cieszę, że znów cię widzę! Z ręką na sercu, strasznie się za tobą stęskniłem. Ale opowiadaj... Czy dobrze się bawiłeś? Pobiegałeś sobie tu i tam ze starym poczciwym Jappem? Naśledziłeś się do woli?

— Poirot! — wrzasnąłem. — Cała ta sprawa to jakaś czarna magia! Nigdy nie zostanie rozwiązana!

— Prawdą jest, że nie przyczyni nam ona dodatkowej sławy.

— Tak. To twardy orzech do zgryzienia.

— No, tak się składa, że dobrze sobie radzę z rozgryzaniem twardych orzechów. Zaiste, jestem prawdziwą wiewiórką! I wiem, kto zamordował pana Harringtona Pace'a! Niepokoi mnie coś zupełnie innego.

— Wiesz?! Wiesz, kto jest mordercą?

— Twoje błyskotliwe odpowiedzi na moje depesze pomogły mi rozwiązać tę zagadkę... Drogi Hastingsie, przeanalizujmy jeszcze raz całą tę sprawę. Metodycznie i po kolei. Pan Harrington Pace jest posiadaczem sporej fortuny, która po jego śmierci niewątpliwie trafi w ręce siostrzeńca. Teraz punkt pierwszy: siostrzeniec znajduje się w strasznych tarapatkach finansowych. Punkt drugi: tenże siostrzeniec znany jest z... nazwijmy to, dość swobodnego podejścia do zasad moralnych. Punkt trzeci...

— Ale przecież nie ma żadnych wątpliwości, iż Roger Havering w chwili morderstwa jechał pociągiem do Londynu!

— *Precisement!* Niemożliwe jest także, by pan Pace został zastrzelony przed wyjazdem Haveringa do Londynu, gdyż lekarz musiałby to rozpoznać. Musimy więc wyciągnąć wniosek, że to nie Havering zabił swego wuja. Ale jest jeszcze jego żona, Hastingsie.

— To wykluczone! W momencie wystrzału stała z gospodynią w korytarzu. — A tak, z gospodynią... Ale gospodyni zniknęła.

— Zostanie odnaleziona.

— Wątpię... W tej gospodyni jest coś ulotnego, nie uważasz, *mon ami*? Od razu zwróciłem na to uwagę.

— Przypuszczam, że odegrała swoją rolę, a następnie się ulotniła.

— A jaka była jej rola?

— Przypuszczalnie miała wpuścić do domu swego współnika! Tego z czarną brodą!

— O nie, Hastingsie! To nie to! Jej rolą było zapewnienie pani Havering alibi na moment wystrzału! I nie zostanie nigdy odnaleziona, gdyż po prostu nie istnieje! Nie ma takiej osoby, jak pisze wasz wielki Szekspir.

— To akurat Dickens — mruknąłem, nie potrafiąc ukryć uśmiechu satysfakcji. — Ale o co ci chodzi, Poirot?

— O to, że Zoe Havering była przed ślubem aktorką, a także o to, że ty i Japp widzieliście gospodynię jedynie w ciemnym holu. Była to według was kobieta w średnim wieku, ubrana na czarno, o cichym, niemal stłumionym głosie. Wreszcie nikt: ani ty, ani Japp, ani miejscowy policjant, nie widział jednocześnie pani Middleton i pani Havering! To była bardzo łatwa rola dla tej sprytniej i odważnej kobiety. Pod pretekstem sprowadzenia swej pani idzie na górę, zakłada jaskrawy sweter i kapelusz z przypiętymi do niego czarnymi lokami. Jeszcze tylko parę drobnych zabiegów kosmetycznych i na schodach pojawia się piękna pani Havering. Nikt nie zwraca szczególnej uwagi na gospodynię. Bo i po co? Nie ma podstaw, aby podejrzewać ją o współudział w morderstwie. No i alibi gotowe!

— A co w takim razie z pistoletem znalezionym w Ealing? Przecież pani Havering nie miała czasu, by go tam zawieźć.

— To było zadanie Rogera Haveringa. Ale tutaj popełnili błąd. Właśnie to naprowadziło mnie na ich trop. Ktoś, kto morduje za pomocą nie swojej broni, nie będzie jej wiozł ze sobą, lecz jak najszybciej się jej pozbędzie. No cóż, motyw jest oczywisty: przestępcy chcieli skupić zainteresowanie policji na miejscu odległym od Derbyshire. Pragnęli też, by ekipa śledcza jak najszybciej wyniosła się z domku myśliwskiego. Oczywiście pana Pace'a nie zastrzelono z broni znalezionej w Ealing. Roger Havering zabrał pistolet ze ściany, oddał gdzieś jeden strzał, po czym wróciwszy do Londynu, poszedł prosto do klubu, by zapewnić sobie alibi. Następnie na krótko udał się do Ealing, co zajęło mu nie więcej niż dwadzieścia minut, zostawił paczkę tam, gdzie ją później znaleziono i wrócił do miasta. A tymczasem ta czarująca istota, pani Havering, spokojnie zastrzeliła Pace'a po kolacji. Pamiętasz chyba, że strzelono mu w tył głowy? To także wydało mi się dość podejrzane! Następnie załadowała pistolet i odwiesiła go na miejsce. Później zostało jej już tylko odegrać tę komedię!

— To niewiarygodne — mruknąłem, zafascynowany. — A jednak...

— A jednak prawdziwe. *Bien sur*, przyjacielu, taka właśnie jest prawda. Ale pociągnięcie tej słodkiej parki do odpowiedzialności to zupełnie inna sprawa. No cóż, Japp musi zrobić wszystko, co w jego mocy... Opisałem mu dokładnie cały tok rozumowania, ale obawiam się, Hastingsie, że tylko los będzie w stanie ich ukarać. Albo *le bon Dieu*^{*}, jeśli wolisz...

— Zło pleni się bujnie jak wawrzyn.

— Ale do czasu, Hastingsie, do czasu.

Przecucia Poirota potwierdziły się. Japp, mimo że przekonany o winie Haveringów, nie zdołał zebrać dość dowodów, by postawić ich przed sądem.

Fortuna pana Pace'a trafiła więc w ręce jego morderców. A jednak Nemezis dopadła ich. Któregoś dnia przeczytałem w gazecie, że państwo Havering zginęli w katastrofie samolotu lecącego do Paryża. Sprawiedliwości stało się zadość.

* Cierpliwości! Już przybywamy!

* Naprzód!

* Rosenbank (ang.) — dosł. klomb róż (przyp. tłum.).

* tłum. Anna Bańkowska.

* tu: dokładnie.

* Moje gratulacje

* bezapelacyjnie.

* głupstwo!

* właściwie

* naprzód

* Ależ tak.

* dla dobrej cioci.

* ot, tak!

* Ładna mała pensjonarka!

* ładny posąg.

* Dość nieciekawych osobników!

* Nie trafiła dobrze!

* Proszę mi wybaczyć.

* Dokładnie tak!

* Jaka szkoda!

* tzn. 2,5 szylinga (przyp. tłum.).

* choroba morska.

* elitą

* L&NWR — London and North West Railway (ang.) — dawna nazwa linii kolejowej Londyn — Północny Zachód (przyp. tłum.).

* Londyńska ulica znana z renomowanych gabinetów lekarskich (przyp. red.).

* W samą porę.

* Sprawy...

* Dobrze, proszę pana.

* wielką damę.

* Mój Boże, co za kobieta!

* oczywiście.

* Skrócona wersja opowiadania pt. Tajemnica hiszpańskiej skrzyni, zamieszczonego w zbiorze pt. Zagadka gwiazdkowego puddingu, który ukazał się nakładem Phantom Press International w r. 1993 w tłumaczeniu Magdaleny Złotowskiej.

* Ulica londyńska, dawniej znana z magazynów meblowych (przyp. Red.)

* To szkoda!

* To prawda.

* Znakomicie!

* Ależ tak... ależ tak!

* Zimna krew.

* Opowiadanie to zostało wcześniej opublikowane jako *Zagadka gwiazdkowego puddingu* w tomie opowiadań pod tym samym tytułem, który ukazał się w 1993 r. nakładem Phantom Press International w tłumaczeniu Magdaleny Złotowskiej.

* Wszystkie nowoczesne wygodny.

* Fortnum and Mason —jeden z najwytworniejszych sklepów z artykułami spożywczymi w Londynie (przyp. red.).

* Dzielnica Londynu zamieszkała głównie przez cyganerie artystyczną (przyp. red.).

* To zupełnie naturalne.

* Pudding gotuje się w kąpielu wodnej (przyp. red.).

* Kto tam?

* zapalenia płuc

* ziółka

* moje dziecko

* prawda, mój przyjacielu?

* Proszę dalej!

* Autorka się myli. Z wymienionych postaci tylko Arlekin, Colombina i Pulcinella występowali we włoskiej komedii dell'arte, przy czym Pulcinellą to mężczyzna. Od niego wywodzi się Punchinello, bohater angielskiego teatru lalkowego z końca XVII w., natomiast Pierrot i Pierrette należeli do postaci XIX-wiecznej francuskiej pantomimy (przyp. red.).

* Ładna historia!

* Z całą pewnością.

* finał

* Dziękuję pani!

* tu: Życzę pani miłego dnia.

* Dzielnica Londynu (przyp. red.).

* dobry Bóg